

CHARLES DICKENS

DAWID

COPPERFIELD

Charles Dickens

Dawid Copperfield

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843226

David Copperfield:

Аннотация

„David Copperfield” to angielska powieść obyczajowa Karola Dickensa, oparta na motywach autobiograficznych. Opisując dzieje małego Davida, Dickens po raz pierwszy dotknął bolesnej rany własnego dzieciństwa: konieczności podjęcia pracy zarobkowej w fabryce w wieku 12 lat, kiedy dziecko powinno się uczyć. Miłośnicy Londynu cenią tę powieść jako żywą kronikę miasta, opisującą miejsca i budynki, które istniały w czasach młodości pisarza, a potem zostały przekształcone lub usunięte z krajobrazu szybko zmieniającej się metropolii (niektóre nie istniały już w roku wydania powieści, 1850). Ceniony za swoje poczucie humoru i umiejętność tworzenia – dzięki kilku wyrazistym rysom – niezapomnianych, charakterystycznych postaci, Dickens zaludnił nimi karty tej powieści. Należą do nich ekscentryczna ciotka Betsey Trotwood, uczuciowa, korpulentna niania Peggotty, zdziecinniały staruszek o słabym rozumie i wielkim sercu, pan Dick, surowy, okrutny pan Murdstone i jego stalowa siostra czy piskorzowaty, podstępny i tajemniczy Uriah Heep (mroczny ten typ użył swego imienia nazwie brytyjskiego zespołu rockowego z lat 70., z kolei swą fizycznością posłużył ponoć Dickensowi do stworzenia tej postaci sam Jan Chrystian Andersen). Dziecinna żona głównego

bohatera, Dora, to literacki portret pierwszej miłości Dickensa, Marii Beadnell, na małżeństwo z którą nie wyrazili zgody jej rodzice i wysłali dziewczynę do szkoły w Paryżu. Czyżby pan Micawber, niepoprawny dłużnik, nieustannie ścigany przez swych wierzycieli i ciągle wystawiający nowe weksle bez pokrycia, nosił jakieś cechy ojca Dickensa?

Содержание

Dawid Copperfield	5
Tom I	5
Rozdział I. Przychodzę na świat	5
Rozdział II. Zaczynam pojmować	22
Rozdział III. Zmiana	44
Rozdział IV. Popadam w niełaskę	65
Rozdział V. Wysyłają mnie z domu	93
Rozdział VI. Rozszerzam koło mych znajomości	117
Rozdział VII. Pierwsze szkolne półrocze	127
Rozdział VIII. Wakacje. Zwłaszcza jedno błogie popołudnie	152
Rozdział IX. Pamiętna rocznica urodzin	174
Rozdział X. Zaczynam zarabiać na życie	190
Rozdział XI. Zaczynam życie na własną rękę, co mi nie smakuje	219
Rozdział XII. Zdobywam się na stanowczy krok	242
Rozdział XIII. Następstwa tego kroku	254
Rozdział XIV. Ciotka moja czyni postanowienie	281
Rozdział XV. Nowy początek	303
Конец ознакомительного фрагмента.	313

Charles Dickens

Dawid Copperfield

Dawid Copperfield

**Dzieje, przygody, doświadczenia
i zapiski Dawida Copperfielda juniora,
rodem z Blunderstone (których nigdy
ogłaszać drukiem nie zamierzał)**

Tom I

Rozdział I. Przychodzę na świat

Czy sam zostanę bohaterem niniejszej powieści czy miejsce to zajmie kto inny, następne rozstrzygną stronice. W każdym razie zaczynam od początku, to jest od chwili mego urodzenia. Zgodnie z tym, co słyszałem i w co wierzę, wypadek ten miał miejsce w piątek o północy. Zegar bił właśnie dwunastą godzinę i jednocześnie ozwało się kwilenie nowo narodzonego, co

właśnie, przez mamkę¹ i pewną mądrą matronę z sąsiedztwa, od miesięcy już kilku i zanim osobiście poznać mię² mogła, wielce w istnieniu moim zainteresowaną, zgodnie uznane zostało za zapowiedź po pierwsze nieosobliwej³ doli w świat wchodzącego człowieka, po drugie uzdolnienia tegoż człowieka do widywania duchów i strachów, właściwości niechybnie wrodzonej, jak to utrzymywały obie doświadczone niewiasty, i zwykłej dzieciom obojga płci, zrodzonym w piątkowych nocnych godzinach.

Co do pierwszego wniosku, historia mego życia wykaże, o ile był prawdziwym. Co do drugiego zauważę, że dotąd nie zdarzyło mi się sprawdzić jego słuszności, na co się zresztą bynajmniej⁴ nie uskarżam.

Urodziłem się, jak to mówią, w czepku⁵, którego sprzedaż ogłoszono w dziennikach za skromną cenę piętnastu gwinei. Czy

¹ *mamka* – kobieta wynajmowana do wykarmienia piersią noworodka (niemowlęcia). [przypis edytorski]

² *mię* – daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

³ *niosobliwy* (daw.) – nieszczególny, nie najlepszy. [przypis edytorski]

⁴ *bynajmniej* – wcale; jak najmniej. [przypis edytorski]

⁵ *w czepku urodzony* – powiedzenie odnoszące się do rzadkich wypadków, kiedy dziecko rodzi się wraz z workiem owodniowym (lub tylko z fragmentem błony okrywającej głowę); w jęz. pol. przen. wyrażenie oznacza „urodzony pod szczęśliwą gwiazdą”, „od urodzenia mający wyjątkowe szczęście w życiu”; odpowiednikiem po ang. jest idiom „*born with a silver spoon in one's mouth*”, w tekście oryg. jednak pojawia się dosł. „*born with a caul*”; cały akapit stanowi żartobliwą grę (w tł. pol. nabierającą dodatkowych znaczeń) z tym wyrażeniem: dziecko rodzi się w świecie, gdzie wszystko jest na sprzedaż i podlega ścisłej wycenie oraz mechanizmom rynkowym. [przypis edytorski]

to, że żeglarze w nieosobliwych w tym czasie znajdowali się interesach, czy że osłabła wiara w podobne praktyki i bardziej niż czepkom zaufano korkowym pasom, nie wiem, dość, że się zgłosił jeden tylko nabywca, pewien adwokat, ofiarujący za wystawiony na sprzedaż przedmiot dwa funty w gotówce i tyleż winem, lecz odmawiający stanowczo zabezpieczenia się od utonięcia w wyższej cenie. Że zaś nawet piwnica biednej mojej matki była do sprzedania, nie dobito targu i dopiero w dziesięć lat później czepki puszczo w okolicy, którąśmy zamieszkiwali, na loterię, w pięćdziesięciu biletach, półkorony każdy, z dopłatą przez wygrywającego pięciu szylingów. Byłem obecny przy tym i pamiętam niemiłe uczucie, jakiegom doznał wobec podobnego rozporządzania się częścią mej osoby. Fant wygrany został przez starą damę z koszyczkiem w ręku. Pamiętam, jak niechętnie dostawała⁶ z niego należną dopłatę drobnymi, co zabrało nieskończenie wiele czasu i było powodem wielu arytmetycznych zawikłań. Dama ta, co jest faktem niezwykłym i wartym pamięci, istotnie nie utonęła, lecz na własnym łóżku godnie umarła w dziewięćdziesiątym drugim roku życia. Wypada jednak dodać, że się trzymała stale ładu, a nawet wyklinała niezbożność żeglarzy i innych podobnych niegodziwców, usiłujących – jak mówiła – „wykrętami” naruszyć naturalny bieg rzeczy. Na próżno tłumaczono jej, że z tej to właśnie walki z naturalnym biegiem rzeczy osiągnano znaczne korzyści, a między innymi herbatę, którą szczególnie lubiła; na

⁶ *dostawać* – tu: wydobywać, wyjmować. [przypis edytorski]

wszelkie dowodzenia odpowiadała ona nieodmiennie: „Wykręty to, ateuszowskie wykręty”.

A teraz bez wykrętów do rzeczy, to jest do mego przyjscia na świat.

Urodziłem się w Blunderstone, w hrabstwie Suffolk. Jestem pogrobowcem, gdyż ujrzałem światło dzienne w sześć miesięcy po zamknięciu na zawsze powiek mego ojca. Nie mogłem się nigdy pogodzić z myślą, że mój ojciec nie widział mnie nawet. Dotąd też pamiętam żal, który mnie zdejmował, ilekroć pomyślałem o samotnej jego mogile. Zwłaszcza w słotną i ciemną noc, gdy w jasnym i ciepłym naszym mieszkaniu płonął ogień na kominie, dostrzegałem coś bezlitosnego, jak mi się nieraz zdawało, w tych szczelnie zamkniętych naszych drzwiach i oknach.

Najbogatszą osobą w naszej rodzinie była ciotka mego ojca, a tym samym moja cioteczna babka, o której opowiem więcej w odpowiednim czasie – panna Trotwood albo też panna Betsey, jak ją nazywała biedna moja matka, gdy się zdobyła na odwagę, co zdarzało się niezmiernie rzadko, wzmiankowania tej imponującej osoby. Panna Betsey wyszła za mąż za człowieka młodszego od siebie i niezwyklej urody, na którym, niestety, nie sprawdziło się przysłowie o pięknej duszy w pięknym mieszkającej ciele. Utrzymywano, jakoby źle obchodził się z żoną, bił ją, a nawet przy drażliwej jakiejś pieniężnej kwestii chciał z drugiego piętra oknem wyrzucić. Taka niezgodność temperamentów skłoniła ciotkę mego ojca do

rozstania się z mężem za wszelką cenę. Mąż, przyszedłszy w ten sposób do posiadania kapitału, wyjechał do Indii, gdzie, wedle przechowanego w rodzinie podania, widywano go jeżdżącego na słoniu, w towarzystwie księżniczki hinduskiej jakoby. Bądź co bądź, w dziesięć lat potem doszła wieść o jego zgonie. Jak wieść tę przyjęła ciotka, nikt nie wie. Wróciła po śmierci męża do panińskiego swego nazwiska, nabyła mały na brzegu morza stojący domek i osiadłszy w nim z jedną tylko służącą, wiodła życie samotne i zamknięte.

Zrazu ojciec mój był jej ulubieńcem, lecz odkąd nie mogła mu wybaczyć ożenienia się z „woskową lalką”, jak nazywała moją matkę, tyle tylko o niej wiedząc, że nie ma jeszcze lat dwudziestu, przestał ją widywać. Ojciec mój, znacznie od żony starszy i słabego zdrowia, zmarł w rok po ożenieniu, a na sześć miesięcy, jak to już mówiłem, przed moim przyjściem na świat.

Tak się rzeczy miały w wieczór tego dnia, który pozwałam sobie nazwać pamiętnym. Nie roszcząc wszelako najmniejszej pretensji do oceniania na podstawie świadectwa własnych zmysłów istniejącego wówczas stanu rzeczy ani nawet do pamięci własnym nabytej doświadczeniem, powtarzam, co słyszałem.

Otóż matka moja, siedząc przed kominkiem, słaba i przygnębiona, przez łzy spoglądała na ogień, rozmyślając nad sobą i nad tym drobnym wyczekiwany gościem – sierotą, którego przyjście na świat powitać miał płonący na kominku ogień. W pogodne, lecz wietrzne marcowe popołudnie siedziała

tak cicha i wystraszona, wąpiąc, czy przeżyć zdoła zbliżającą się chwilę krytyczną. Podnosząc głowę, dla otarcia łez, spojrzała wypadkiem⁷ w okno i dostrzegła przechodzącą przez ogród nieznaną kobietę.

Od razu zgadła, że był to nie kto inny, tylko panna Betsey. Słońce, przedzierając się przez ogrodzenie, oświecało idącą śmiało, wprost przed siebie postać kobiecą, która zbliżywszy się do domu, dała niezbity już dowód tożsamości. Ojciec mój mawiał nieraz, że jego ciotka nie stosuje się w niczym do utartych zwyczajów. Toteż i tym razem zamiast zadzwonić u drzwi domu, zbliżyła twarz do okna, aż nos jej, jak utrzymywała moja matka, spłaszczył się i pobieleł zupełnie. Widok ów tak dalece przeraził biedaczkę, że zapewne temu to niezwykłemu zjawieniu się ciotki Betsey zawdzięczam przyjsście me na świat w fatalnym dniu piątkowym.

Matka moja porwała się z krzesła, szukając schronienia w głębi pokoju, gdzie ją panna Betsey, przewracając oczy, niby głowa Saracena⁸ na starym holenderskim zegarze, spostrzegła i przywołała do drzwi ruchem przywykłej do rozkazywania osoby. Matka moja drzwi otworzyła.

– Zapewne pani Copperfield – zauważyła panna Betsey, wchodząc do pokoju i spoglądając na żałobne szaty i zmienioną kibić mojej matki.

⁷ *wypadkiem* (daw.) – przypadkowo. [przypis edytorski]

⁸ *Saracen* – Maur; przen. też: poganin, niewierny; w europejskich sztukach wizualnych popularny motyw orientalny. [przypis edytorski]

– Tak jest – odrzekła cicho zagadnięta.

– Trotwood – przedstawiła się nowo przybyła. –
Przypuszczam, żeś musiała⁹ coś o mnie słyszeć?

Matka moja odpowiedziała twierdząco wprawdzie, lecz bez
zbytniego entuzjazmu.

– Widzisz mnie przed sobą we własnej osobie – dorzuciła
nowo przybyła.

Obie usiadły u kominka. Po kilku chwilach nieprzerwanego
przez ciotkę Betsey milczenia matka moja wybuchnęła płaczem.

– Ts... ts... ts... – upominała ją ciotka – uspokój się, uspokój.

Długo biedna kobieta nie mogła się uspokoić.

– A teraz zdejm¹⁰ ten czepek – zadecydowała przybyła – niech
ci się przypatrzę.

Matka moja tak była przerażona, że gdyby nawet i chciała, nie
śmiałyby sprzeciwić się dziwnemu nieco żądaniu swego gościa.

Drżącą ręką sięgając po wdowi czepek, w pośpiechu
rozzuciła włosy, które spłynęły na jej twarz i ramiona.

– Ależ to dziecko! Istne dziecko! – zawołała panna Betsey.

Istotnie matka moja była młoda, a wyglądała jeszcze
młodziej. Spuściła tedy głowę, przyznając się do tego
mimowolnego grzechu, i łkając upewniała ciotkę, że na
nieszczęście młodą jest, zbyt młodą na wdowę, na matkę... jeśli

⁹ *żeś musiała* – inaczej: że musiałaś (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką
czasownika). [przypis edytorski]

¹⁰ *zdejm* – dziś: zdejmij. [przypis edytorski]

notabene¹¹ przeżyć zdołała to, co jej grozi... Zdawało się jej przy tym, że gdy tak skarżyła się, płacząc rzewnie, czuła przesuwaną się po swych włosach pieszczotliwą i miękką kobiecą rękę. Musiało to być jednak przywidzenie. Gdy podniosła załzawione oczy, ciotka siedziała na krześle prosta i sztywna, z założonymi na piersiach rękoma, z nogą wspartą o kratę kominka.

– Ha! – ozwała się po chwili – „Wroni Bór”, dlaczego mianowicie „Wroni Bór”?

– Pani ma zapewne na myśli nazwę tej miejscowości? – spytała moja matka.

– Dlaczego mianowicie „Wroni Bór” – powtarzała panna Betsey. – Przy waszej niepraktyczności, „Domów Wzór” brzmiałoby stosowniej.

– Nazwę tę – odrzekła moja matka – mąż mój wybrał jako odpowiednią.

Właśnie wiatr tak zachrząścił w starych drzewach ogrodu, że mimo woli wzrok rozmawiających zwrócił się w tę stronę. Wiązy, pochylając się ku sobie na kształt borów szepczących zwierzenia, zatrzęsły się gwałtownie, jak gdyby odepchnąć chciały ciężką i straszną jakąś tajemnicę, na wiatr puszczając rozbijały¹² gałęzie. Z najwyższych strącone, a zawisłe tam stare wronie gniazdo spadło, podobne do szczątków rozbitego na burzliwym morzu okrętu.

¹¹ *notabene* (z łac. *nota bene*: zwróć dobrze uwagę) – tu w znaczeniu: zresztą. [przypis edytorski]

¹² *rozbijały* – dziś: bujający się, rozbujany. [przypis edytorski]

– Gdzie są ptaki? – spytała panna Betsey.

– Ptaki? – powtórzyła, budząc się z zamyślenia, moja matka.

– Wrony, gdzie się podziały? – pytała ciotka.

– Nie widziałam ich, odkądśmy tu zamieszkali¹³ – odrzekła moja matka i dodała – Myśleliśmy, to znaczy pan Copperfield sądził, że miejsce to jest dla nich stosowne. Widać jednak gniazda były stare i od dawna już puste.

– Mam go, mam Dawida, jak gdybym go widziała – zawołała ciotka – miejsce nazwać od gniazd i ufać, że ponieważ są gniazda, będą i ptaki. Liczyć na ptasią fantazję, to mi praktyczność!

– Pan Copperfield – przerwała matka moja – nie żyje i jeśli pani ośmiela się mówić o nim w podobny sposób, w mojej obecności...

Biedna kobieta próbowała stawić czoło naszej ciotce, zdolnej pokonać o wiele silniejszego od słabej tej istoty wroga! Matka moja padła osłabiona na krzesło, z którego usiłowała powstać, a gdy przysła do siebie czy też może została ocucona przez pannę Betsey, ta stała u okna. Wieczór zapadał coraz głębszy i gdyby nie płonący na kominku ogień, rozmawiające kobiety nie mogłyby siebie widzieć.

– Hm! – zaczęła ciotka Betsey, wracając obojętnie na uprzednio zajmowane przy kominku miejsce – a kiedyż to spodziewasz się?...

– Czuję się słaba – wyjęknęła moja matka – nie wiem, co mi

¹³ *odkądśmy tu zamieszkali* – inaczej: że odkąd tu zamieszkaliśmy (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

jest, pewnie nie przeżyję tego...

– O! o! – uspokajała ciotka – napij się tylko herbaty.

– Gdyby mi to pomogło!

– Pomoże, niewątpliwie pomoże, wyobrażasz sobie więcej, niż jest. Jak na imię tej dziewczynie?

– Sama nie wiem jeszcze, czy to będzie dziewczynka – zauważyła naiwnie moja matka.

– Niech nieba mają w swej pieczy to dziecko – zawołała ciotka, bezwiednie powtarzając sentencję wypisaną na pewnej szufladzie szafy w pokoju mojej matki, w której złożono początek mego doczesnego dobytku – wcale nie to miałam na myśli. Myślałam o służącej.

– Peggotty – odrzekła moja matka.

– Peggotty – powtórzyła z pewnym oburzeniem ciotka – chcesz we mnie wmówić, mała, że chrześcijańska dusza została ochrzczona podobnym imieniem?

– To jest jej nazwisko – odrzekła słabnąc moja matka – po nazwisku nazywał ją mój mąż, gdyż Peggotty nosi moje imię.

– Peggotty! – zawołała panna Betsey otwierając drzwi – podawaj prędzej herbatę. Twoja pani zaśląbła, nie marudźże¹⁴!

Wydawszy ten rozkaz tonem osoby przywykłej do rozkazów i rzuciwszy badawcze spojrzenie na wychodzącą z kuchni ze świecą w rękę, zdziwioną tym nieznanym i rozkazującym głosem służącą, ciotka Betsey wróciła na poprzednie miejsce, podniosła brzeg sukni, nogę położyła na kratce kominka, a obie ręce

¹⁴ *nie marudźże* – konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że*. [przypis edytorski]

złożyła na kolanach.

– Mówiłaś dopiero – zaczęła – o dziewczynce. Nie wątpię też ani na chwilę, że będzie to dziewczynka. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki...

– Może będzie to chłopczyk – wtrąciła nieśmiało moja matka.

– Nie zaprzeczaj mi – odparła ciotka – wiem, co mówię. Przeczucie mnie nie myli. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki rozciągam nad nią opiekę, będę jej chrzestną matką i proszę, aby się nazywała Betsey Trotwood Copperfield. W życiu tej Betsey Trotwood nie powinno być omyłek i niech nikt się nie ośmieli zażartować z uczuć *tej* Betsey Trotwood. Wychowamy ją starannie, będziemy strzec, aby zaufania i serca nie trwonіła na darmo. *Moja* to już rzecz.

Za każdym z powyższych zdań ciotka potrząsała głową, jak gdyby z myśli i pamięci zrzucić chciała ciężar dawnych cierpień. Tak się przynajmniej zdawało mojej matce, gdy patrzyła na nią przy niepewnym blasku ognia, zbyt słaba zresztą, zbyt wystraszona i niespokojna o siebie, aby zdawać sobie sprawę z tego, co widziała lub mówiła.

– Czy Dawid dobry był dla ciebie, moje dziecko? – spytała ciotka po krótkim milczeniu. – Czyście byli szczęśliwi?

– Bardzo szczęśliwi – odrzekła moja matka. – Był chyba zbyt dobry dla mnie.

– Pieścił cię, psuł zapewne.

– Teraz gdym została sama i opuszczona na tym świecie, teraz wiem, że w istocie tak było – załkała biedna kobieta.

– Ts... nie płacz, no nie płacz – pocieszała ją panna Betsey – nie byliście, widzisz, dobraną parą. Jak gdyby były dobrane pary! Dlatego pytałam. Sierotą byłaś, co?

– Sierotą.

– Nauczycielką, zdaje mi się.

– Nauczycielką dzieci w rodzinie, którą pan Copperfield odwiedzał czasem. Zauważył mnie i był zawsze bardzo dla mnie dobry... oświadczył się... przyjął oświadczyń i takeśmy się pobrali¹⁵ – kończyła, ze zwykłą sobie prostotą, matka moja.

– Dziecię! Biedne dziecię! – mruzczała panna Betsey, pochylając nad ogniem zmarszczone czoło. – Czy ty w ogóle coś umiesz?...

– Przepraszam panią – wyjęknęła znów moja matka.

– Jak dom prowadzić, na przykład? – kończyła ciotka Betsey.

– Słabo – odrzekła – o wiele mniej niż bym chciała. Dawid uczył mnie...

– Niby sam się znał na tym! No! – wtrąciła ciotka.

– Chciałam korzystać, chciałam z całego serca, a on był tak dobry, wyrozumiały, cierpliwy i gdyby nie...

Łkanie przerwało mowę mej matce.

– Prowadziłam rachunki starannie, co wieczór sprawdzaliśmy je razem – ciągnęła moja matka, łkając ciągle.

– Uspokój się, no, uspokój, nie płacz tak – mówiła ciotka.

– I nigdy najmniejsze nie zaszło między nami

¹⁵ *takeśmy się pobrali* – inaczej: tak się pobraliśmy (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

nieporozumienie – kończyła płacząc matka moja. – Czasem tylko zarzucał mi, że moje trójki zbyt są podobne do piątek, że laseczki przy siódmkach i dziewiątkach zbyt kręte...

– Uspokój się, nie płacz tak – upominała ciotka. – Może ci to zaszkodzić i nie tylko tobie, lecz i mojej chrzestnej córce.

Ostatni ten wzgląd uspokoił nieco moją matkę. Czuła się zresztą coraz słabszą. Zapanowało milczenie przerywane pochrząkiwaniem ciotki.

– Dawid – rzekła ona wreszcie – posiadał rentę. Czy zapewnił ci jaki fundusz?

– Był tak dobry, że pomyślał o mnie i część renty przelał na moje imię.

– Na jaką sumę?

– Sto pięć funtów rocznie.

– Mogło być gorzej – zauważyła ciotka.

Tymczasem z biedną moją matką tak źle już było, że wnosząca herbatę i świecę Peggotty przelekła się na dobre. Pomogła swej pani natychmiast przejść do sypialnego pokoju, wysyłając jednocześnie po doktora swego siostrzeńca, Hama Peggotty, którego od dni już kilku w przewidywaniu tej konieczności przechowywała w kuchni bez wiedzy mojej matki.

I doktor, i wezwana do pomocy niewiasta zdziwili się wielce niespodziewanym widokiem obcej damy, siedzącej u kominka z groźną miną, przewieszonym przez lewą rękę kapeluszem i uszami pełnymi waty. A że ani moja matka w tej chwili nie mogła udzielić żadnych objaśnień, ani też Peggotty nie umiała

wytłumaczyć, zjawisko pozostało tajemniczym, do czego też przyczyniała się niemało wielka ilość wyciąganej z kieszeni i do uszu przez nieznajomą pakowanej waty.

Doktor wróciwszy z pokoju chorej i przekonawszy się zapewne, że zmuszony będzie spędzić kilka godzin z nieznajomą, usiłował być uprzejmy i towarzyski. Był to najspokojniejszy i najłagodniejszy pod słońcem człowieczek, starał się jak najmniej zabierać wszędzie miejsca, chód jego był cichy, jak stąpanie ducha w *Hamlecie*, głowę przechylał skromnie na ramię. Nie nazwałby złym słowem psa ani nawet na wściekłego psa nie potrafiłby burknąć, dałby mu choć jedno, choć pół, choć cząstkę dobrego słowa, a mowa jego, jak i kroki, była cicha i powolna. Nie, za nic w świecie, nawet dla wściekłego psa nie byłby on szorstki i ostry.

Toteż pan Chillip, spoglądając uprzejmie na moją ciotkę i zwracając pytanie do nieznajomej zatykającej uszy watą, spytał najuprzejmiej, dotykając przy tym swego lewego ucha:

– Miejscowe zapewne cierpienie?

– Co takiego? – odrzekła ciotka, wyciągając watę z ucha, niby korek.

Szorstkość pytania tak bardzo przeraziła łagodnego doktora, że o mało, jak zapewniał potem, nie stracił głowy. Niemniej jednak ze zdwojoną uprzejmością powtórzył pytanie:

– Miejscowe zapewne zapalenie?

– Głupstwo! – odrzekła ciotka, zatykając znów ucho.

Doktorowi nie pozostawało nic innego jak usiąść i przyglądać

się wpatrzonej w ogień nieznajomej, dopóki nie wezwano go znów do chorej. Po kwadransie wrócił do bawialnego pokoju.

– Co, a jakże tam? – spytała ciotka wyciągając wate.

– Pomyślnie, wcale pomyślnie – odrzekł – pomaleńku zbliżamy się do końca.

– Ba! – wstrząsnęła wzgardliwie głową i znów zakorkowała ucho.

Raziło to, strasznie raziło doktora, jak upewniał potem, lecz cóż miał począć? Siedział tedy cicho i spoglądał na nieznajomą, która nie odwracała twarzy i oczu od ognia. I tak siedzieli naprzeciw siebie godzin parę, zanim znów nie wezwano doktora do chorej. Gdy wrócił:

– I jakże tam? – spytała ciotka wyjmując wate z jednego ucha.

– Nieźle, łaskawa pani! Postępujemy powoli, postępujemy.

– Ta-a-k! – warknęła, a doktor utrzymywał, że tak go przestraszyła tym mruknięciem, że wołał odtąd siedzieć na schodach po ciemku i nadto w strasznym przeciągu, niż dotrzymywać dalej towarzystwa nieznajomej.

Ham Peggotty, uczęszczający do szkółki i biegły w katechizmie, a co za tym idzie – wiarygodny świadek, opowiadał nazajutrz, że wszedłszy przypadkiem do pokoju, w którym znajdowała się panna Betsey, został natychmiast pochwycony w szpony przechadzającej się niespokojnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju damy. Dochodziły tu głosy i jęki, których zapewne wata zgłuszyć nie zdołała, i Ham padł ofiarą zdenerwowania panny Betsey. Porwała go za kołnierz,

miotając nim, targała go za włosy i za uszy, szarpała, co zresztą potwierdzone zostało przez własną jego ciotkę, Peggotty, która widziała Hama po północy, wkrótce po wyjściu ze szpon panny Betsey, i zapewniała, że był niemal tak czerwony, jak moja, drobniutka wówczas, osóbką.

Dobry doktor Chillip niezdolny był do zemsty, toteż skoro mu czas na to pozwolił, wszedł do pokoju, w którym przebywała nieznajoma, i zbliżając się do niej z uprzejmym uśmiechem:

– Rad jestem – rzekł – że mogę powinszować pani...

– I cóż? – przerwała mu ciotka.

Przeraził się biedak i starał się ułagodzić nieznajomą ukłonami i uśmiechem.

– Zwariował czy co? – wrzasnęła niecierpliwie ciotka Betsey.

– Nie możesz mi pan odpowiedzieć?

– Uspokój się, droga pani. Nie ma się już czego trwożyć – uspokajał ją z uśmiechem doktor.

I dziwił się długo potem, i za cud niemal poczytywał, że go nie odepchnęła i tylko wstrząsnęła głową, ale to tak, że umilkł na razie. Po chwili dopiero, przyszedłszy do słowa, począł ją znów uspokajać:

– Rad jestem, że mogę powinszować łaskawej pani. Wszystko odbyło się szczęśliwie, nader¹⁶ szczęśliwie.

Ciotka Betsey nie spuszczała oka z mówiącego.

– Jakże się ona miewa? – spytała zakładając ręce na piersi.

– Nieźle, wcale nieźle, i spodziewam się, że niebawem wróci

¹⁶ *nader* – nadzwyczaj; bardzo. [przypis edytorski]

do sił – upewniał lekarz – zważywszy zwłaszcza okoliczności, w jakich się to odbyło... Dziwnie szczęśliwie wszystko poszło. Możesz ją pani odwiedzić choć zaraz, nie zaszkodzi to jej wcale.

– Ależ ja pytam o *nią* – zawołała niecierpliwiąc się panna Betsey.

Doktor przechylił głowę na ramię, uprzejmie uśmiechając się do nieznajomej.

– Jak się ma nowo narodzona? – wyjaśniła ciotka.

– Sądziłem... wiadomo już pani... jest to chłopiec – rzekł doktor.

Ciotka Betsey nie odrzekła na to ani słowa. Wziąwszy kapelusz za wstążki, uderzyła nim doktora po twarzy i odwróciwszy się, wyszła, aby już nie wrócić. Zniknęła, jak rozgniewana wróżka lub jedna z tych nadprzyrodzonych istot, które, obdarzony szczególnym darem, miałem widywać. Nie wróciła. Spoczywałem w kołysce, a matka moja na łóżku, lecz Betsey Trotwood Copperfield rozplynęła się we mgłach, z których dopiero com zstąpił¹⁷ w rzeczywistość. Wyptywające z okien naszych światło rozświetlało mroczne szlaki podobnym mnie pielgrzymom. Oświetlało też wzgórze usypane nad popiołami tego, bez którego nie mógłbym istnieć.

¹⁷ *dopiero com zstąpił* – inaczej: dopiero co zstąpiłem (przykład konstrukcji zdaniowej z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Rozdział II. Zaczynam pojmować

Pierwsze przedmioty, które się rysują wyraźnie na tle mego najwcześniejszego dzieciństwa, gdy się w nie cofam wspomnieniem, są: matka moja z pięknymi włosami i młodocianą postacią i Peggotty, o której kibici nie ma co mówić, a której czarne oczy zdawały się rzucać cień na całą twarz, a policzki tak były rumiane, ramiona okrągłe i jędrne, że mi się dziwnym zdawało, iż ptaszki nie dziobią ich chętniej niż jabłka na drzewie.

Zdaje mi się, że pamiętam je obie od chwili, gdy klękały albo przysiadały na ziemi, a ja próbowałem utrzymać się na nóżkach. Pozostało mi raczej wrażenie dotknięcia wskazującego palca Peggotty, za który chwytałem, gdym się chwiał, a który od ukłuć igły był szorstki niby tarka.

Może mi się tak zresztą tylko zdaje. Chociaż sądzę, że pamięć nasza sięga dalej, niż zwykliśmy przypuszczać, jak również spostrzeżenia dzieci uderzają niezwykłą trafnością. Sądzę nawet, że dorośli ludzie, posiadający ów dar spostrzegawczości, nie nabyli go z biegiem czasu, lecz przechowali z dni dziecięcych. Ludzie podobnym obdarzeni darem zachowują dziwną świeżość i wrażliwość, łatwość cieszenia się, które są przeciw właściwościami wieku dziecięcego.

Zarzuca mi może niektórzy, że odbiegam od tematu, lecz przekonanie powyższe, własnym nabyte doświadczeniem,

niech służy za poparcie niniejszej opowieści: czy jako dziecko posiadałem dar spostrzegawczości, czy też jedynie zachowałem wierne i świeże wspomnienie dni dawno ubiegłych – w opowiadaniu mym opierać się muszę bez względu na to na obu tych właściwościach.

Pierwszym tedy wrażeniem pozostałym z dni dziecięcych są, jakem to już rzekł: matka moja i Peggotty. Cóż pamiętam nad to? Zobaczymy.

Niby spoza mgły wyłania się dom nasz. Stary mi się wydawał i znany, dokąd sięgam pamięcią. Na dole była kuchnia z wyjściem na tylne podwórze. Na środku podwórza gołębnik bez gołębi, w kąteczku psia buda bez psa, a wszędzie pełno ptactwa, które mnie przestraszało wojowniczym swym zachowaniem. Pamiętam zwłaszcza jednego koguta. Piejąc na pieńku, zdawał się nie spuszczać ze mnie oka. Drżałem spoglądając spoza drzwi kuchni, bo taki groźny mi się wydawał. O gęsi przesładującej mnie sykaniem i wyciągniętą szyją śniłem po nocach, jak podróżny śni o dzikich bestiach.

Z kuchni do drzwi wejściowych wiódł nieskończenie długi, jak mi się zdawało, korytarz. Położona przy nim ciemna spizarenka mijana bywała przyśpieszonym krokiem, pod wieczór zwłaszcza, bo kto wie, co się kryć mogło w tych garnkach, słojach i pudłach od herbaty, gdy promień świecy nie rozpraszał mroków izdebki wydającej woń mydła, octu, pieprzu, świec i palonej kawy, wszystko razem, niby jedno tchnienie, za każdym uchycieniem drzwi. Były też w domu dwa bawialne

pokoiki, ten, w którym przesiadywaliśmy zwykle wieczorami z matką moją i Peggotty, gdyż Peggotty po skończonej pracy dotrzymywała nam towarzystwa i wchodziła w skład rodziny, i drugi, obszerniejszy i wytworniejszy, w którym przesiadywaliśmy tylko w niedzielę. Pokój ten wydawał mi się ponury, dlatego może, że mi Peggotty opowiedziała raz, nie wiem już kiedy, bardzo dawno, o pogrzebie mego ojca i w żałobę ubranym zgromadzeniu. Pewnego niedzielnego wieczoru matka moja czytała nam o wskrzeszeniu Łazarza. Przeraziło to mnie okropnie. Musiano wyjąć mnie z łóżeczka i pokazać przez okno cmentarz w oddali, ze wszystkimi zmarłymi spoczywającymi spokojnie pod nienaruszonymi mogiłami i łagodnym światłem miesiąca.

Nie znam głębszej zieleni niż zieleni trawy tego cmentarza, ani większego cienia niż cień rosnących tam drzew, ani spokoju większego niż spokój nagromadzonych w owym miejscu mogił. Z rana, klęcząc na moim postaniu za parawanem, przy łóżku mojej matki, widziałem trzody pasące się opodal i różowy odbłask słońca na zegarze słonecznym i nieraz myślałem, że i ono cieszy się pewnie, że znów może pokazywać godzinę.

W kościele mieliśmy ławkę z wysokim oparciem, tuż przy oknie, skąd dojrzeć można było dom nasz; korzystała z tego Peggotty, aby zobaczyć, czy nie stał się on czasem pastwą płomieni lub złodziei. Lecz to, co wolno było Peggotty, mnie zabronione było surowo i gdy stawałem na ławce, ta sama Peggotty zwracała mnie twarzą do stojącego u ołtarza księdza.

Znałem go dobrze, jego i białe pokrycie na ołtarzu, toteż nudziło mi się wciąż na to patrzeć. A gdyby przerwał nabożeństwo i spytał, co robię?... Mrowie przechodziło mnie na samą tę myśl. Musiałem przecież czymś się zająć. Patrzyłem na moją matkę, lecz ta udawała zawsze, że nic nie widzi. Spoglądałem w stronę stojącego u ołtarza chłopaka, który robił do mnie wtedy miny. Spoglądałem na słup słoneczny wpadający przez otwarte na oścież drzwi kościoła i dostrzegałem owieczkę, nie zbłąkaną ludzką, lecz najzwyczajszą pod słońcem owieczkę, usiłującą wejść do świątyni. Czułem, że jeśli będę się jej dłużej przyglądał, ulegnę pokusie przemówienia głośno, a wówczas co będzie?... Prędko tedy odwracałem oczy i wpatrywałem się z kolei w tablice marmurowe pokrywające ściany kościoła. Myślałem przy tym o niedawno zmarłym panu Bodgers i o tym, jaki żal ścisnąć musiał serce pani Bodgers, i o tym, dlaczego nie zawezwano do chorego doktora Chillipa. A jeśli wzywano go, czemu mu nie pomógł i jak mu przykro być musi co tydzień przypominać to sobie? Spoglądałem wówczas na doktora siedzącego w odświętnym krawacie przed amboną i myślałem, że byłaby ona doskonałym miejscem do zabawy. Gdyby, na przykład, drugi chłopiec atakował ambonę jak twierdzę, aksamitne poduszki służyć mogły za kartacze¹⁸, jakże wygodnie

¹⁸ *kartacz* (z niem. *Kartätsche*) – tu: pocisk; daw. pocisk artyleryjski o charakterystycznej budowie: w lekkiej obudowie kryjący do kilkuset tzw. lotek (początkowo były to niewielkie kamienie, później pociski ołowiane), co powodowało, że podczas strzału obudowa pękała, a lotki siały spustoszenie wśród piechoty przeciwnika na dość dużym obszarze; kartaczy używano od połowy XV w. do XIX

byłoby ciskać je z góry! Pomału, pomału kłoniłem senną główkę, powieki mi się kleiły, zdawało mi się, że słyszę księdza, jak śpiewa kołysankę, lecz wkrótce nie słyszałem już nic, spadałem z ławki i Peggotty wynosiła mnie przerażonego z kościoła.

Widzę nasz dom, ozdobione kratą okna sypialni, otwarte dla wpuszczenia świeżego powietrza, stare więzy u bramy i kołyszące się na nich, powichrzzone wronie gniazda. Widzę na dziedzińcu, o parę stóp za pustym gołębnikiem, tuż obok psiej budy, owianej ćmą motyli, bramę zamkniętą na kłódkę, a tam dalej na gałęziach drzew owoce obfitsze i soczystsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Pamiętam, jak matka moja zbierała je do koszyka, a ja, udając niewzruszonego, zrywałem ukradkiem agrest po agrestcie.

Wiatr rozwiął wiosenną i letnią pogodę i oto nastały długie zimowe wieczory. Bawimy się i tańczymy sobie dokoła kominka, a na kominku płonie wesoły ogień! Gdy matka moja zmęczona pada na fotel, widzę, jak naokoło delikatnych paluszków owija rozrzucone pasma włosów i poprawia stanik sukni. O! matka moja była bardzo ładna, wiedziała o tym i nikt też lepiej ode mnie nie wiedział, jak bardzo lubiła zawsze i wszędzie ładnie wyglądać. Pozostało w mojej pamięci i to, żeśmy oboje z matką bali się trochę Peggotty, która też nami kierowała dowolnie.

Wieczoru pewnego siedziałem z Peggotty przed kominkiem. Pamiętam, czytałem jej coś na głos o krokodylach. Musiałem

w.; w literaturze polskiej znajduje się opis wybuchu kartacza zapisany został m.in. w *Reducie Ordon*a Mickiewicza. [przypis edytorski]

czytać niezwykle wyraźnie lub też poczciwa Peggotty słuchać musiała z niezwykłym natężeniem uwagi, gdyż pod koniec miała niejasne wyobrażenie, że krokodyle należą do świata roślinnego. Zmęczyło mnie to głośnie czytanie, spać mi się chciało, lecz postanowiwszy doczekać się powrotu matki, będącej gdzieś w odwiedzinach, wolałem paść jak nieżywy na stanowisku, niż położyć się do łóżka. Powoli Peggotty zaczęła dziwnie jakoś nabrzmiewać i rosnąć w moich snem klejących się oczach. Przetarłem powieki. Zacząłem przypatrywać się uważnie, jak szyla. Patrzyłem na kawałek wosku, o który ocierała nitki, jakże staro wyglądał, porysowany głęboko we wszystkich kierunkach! Patrzyłem na maleńką chatkę, pod której słomianą strzechą kryła się miarka, na skrzyneczkę do roboty z wymalowaną na niej katedrą świętego Pawła¹⁹ o czerwonej kopule, na brązowy naporstek błyszczący na palcu Peggotty i na nią samą, a wszystko to razem wzięte wydawało mi się nieskończenie piękne. Pomału, pomału wszystko to zacierało się, bladło, na chwilę znikło mi zupełnie z oczu.

– Peggotty – spytałem nagle, szeroko otwierając powieki – czy byłaś kiedyś zameżną?

¹⁹ *katedra świętego Pawła* (ang. *St Paul's Cathedral*) – trzecia co do wielkości największa katedra na świecie (po Bazylice św. Piotra w Rzymie i katedrze w Lourdes); jedna z najbardziej charakterystycznych budowli Londynu; w dzisiejszej swej postaci, świątyni w stylu barokowo-klasycystycznym, na planie krzyża, zwieńczonej monumentalną kopułą o średnicy 50 m. została wzniesiona w 1710 r. wg projektu Christophera Wrena na miejscu staroż. świątyni rzym. i normandzkiej katedry zniszczonej podczas pożaru miasta w 1666 r. [przypis edytorski]

– Jezus, Maria! – zawołała zniecierpliwiona zagadnięta Peggotty – skąd się paniczowi przyśniło małżeństwo!

Głos jej i sposób, w jaki powyższe słowa wypowiedziała, zbudziły mnie zupełnie. Przestała szyc, opuściła igłę, wpatrzyła się we mnie.

– Pytam cię, Peggotty – powtórzyłem – czyś była kiedyś zamężną? Jesteś przecie bardzo przystojna, nieprawdaż?

Wydawała mi się ładna, tylko w inny sposób niż moja matka, w innym zupełnie rodzaju. W saloniku na podnóżku był wymalowany przez moją matkę na czerwonym aksamicie bukiet kwiatów. Otóż tło to zdawało mi się podobne do cery Peggotty. Podnóżek był wprawdzie miękki, a skóra Peggotty chropowata, lecz to nie stanowiło wielkiej różnicy.

– Ja przystojna! – zawołała Peggotty. – Patrzcie go! Wcale nie jestem ładna, kochanku! Skąd ci się wzięło to zamięście?

– Sam nie wiem! Wszak nie można, Peggotty, żenić się na raz z kilku osobami, prawda?

– Oczywiście, że nie – brzmiała szybka odpowiedź.

– Ale jeśli jedna osoba umrze, to czy można znów się ożenić?

– Zapewne... jeśli ci się podoba. To zależy, czy kto chce.

– A co ty o tym myślisz? – spytałem, wpatrując się w nią ciekawie, dlatego tylko, że się bacznie wpatrywała we mnie.

– Jak widzisz – odrzekła po chwili wahania, odwracając ode mnie oczy i pochylając się nad robotą – nie wyszłam za mąż ani się też za mąż wybieram. Oto moje zdanie.

– Nie gniewaj się, Peggotty! – rzekłem po chwili milczenia,

gdyż istotnie zdawało mi się, że ją rozgniewałem. Myliłem się widocznie. Odrzuciwszy bowiem robotę, porwała mnie w objęcia i przycisnęła z całej siły do piersi moją kędzierzawą główkę. Uścisk musiał być serdeczny, Peggotty, będąc bowiem otyłą, przy każdym gwałtownym ruchu zwykła była tracić²⁰ guziki od sukni, i tym razem aż dwa potoczyły się w najciemniejszy kąt pokoju.

– No, a teraz wróćmy do tych krokodyli – rzekła, nie mogąc sobie poradzić z tą niezwykłą nazwą. – Zaciekawieś mnie, paniczu.

Nie pojmowałem, dlaczego Peggotty wyglądała tak jakoś niezwykle ani dlaczego tak nagle zbudziło się w niej zainteresowanie krokodylami, niemniej wróciliśmy do tych potworów i z rozbudzoną uwagą z mej strony składaliśmy ich jaja w gorącym piasku, uciekaliśmy przed nimi, narażając ich nieobrotność na tysiące zwrotów, wchodziliśmy za nimi do wody jak rodowici Egipcjanie, rzucaliśmy na nich kłody drzewa i tak dalej, i tak dalej. Ja przynajmniej oddawałem się tym niebezpiecznym ćwiczeniom z zapałem, gdyż co do Peggotty, to zdawała się być roztargniona, bo kłuła się ustawicznie igłą w rękę i twarz.

Skończyliśmy z krokodylami i zabraliśmy się właśnie do aligatorów, gdy zadzwoniono u drzwi. Otworzyliśmy. Matka moja wracała do domu, a wyglądała ładniej niż kiedykolwiek.

²⁰ *zwykła była tracić* – forma czasu zaprzeszczonego dla czynności wielokrotnej, ponawianej; dziś tylko: traciła. [przypis edytorski]

Odprowadzał ją mężczyzna z pięknymi czarnymi włosami i bakami, który ostatniej niedzieli towarzyszył nam w drodze powrotnej z kościoła. Gdy matka moja wzięła mnie w objęcia i czule ucałowała, pan ten rzekł, że szczęśliwszy jestem od monarchy, czy coś podobnego. Pamięć nie dopisuje mi w tym względzie.

– Co pan mówi? – spytałem go poprzez ramię mojej matki.

Pogładził mię²¹ łaskawie po włosach. A jednak było coś w jego twarzy czy głosie, co mi się nie podobało. Może zazdrościłem, że jego ręka, dotykając mnie, dotykała zarazem ręki mej matki; odepchnąłem ją.

– Och! Davy! – upomniała mnie matka.

– Kochany chłopiec – zaśmiał się nieznajomy. – Nie dziwi mnie wcale to jego przywiązanie do pani.

Nigdy przedtem nie widziałem na twarzy mej matki tak pięknego rumieńca! Łagodnie strofowała mnie za nieuprzejmość i przyciskając do piersi, zwróciła się do nieznajomego z podziękowaniem, że trzymał się, towarzysząc jej. Wyciągnęła przy tym do niego dłoń, a gdy jej dotykał, spojrzęła, zdaje mi się, na mnie.

– Pożegnajmy się, mój ładny chłopczyku – rzekł nieznajomy, pochylając się (widziałem to!) nad ręką mej matki.

– Dobranoc – odrzekłem.

– Bądźmy przyjaciółmi – zaśmiał się nieznajomy. – Daj mi

²¹ *mię* – daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

rączkę!

Prawa moja ręka była w ręku mej matki, wyciągnąłem lewą.

– Któż podaje lewą rękę! – śmiał się nieznajomy.

Matka uwolniła moją prawą rękę, lecz byłem zdecydowany nie podać jej temu panu. Podałem mu znów lewą, uściskał ją, powiedział, że jestem grzecznym i miłym dzieckiem, czy coś podobnego, i odszedł.

Widzę go odchodzącego! Widzę złowieszcze spojrzenie jego czarnych oczu, które padło na nas, zanim zniknął za drzwiami.

Peggotty, która milczała przez cały ten czas, wiodła²² nas do pokoju. Matka moja nie usiadła, jak zwykle, w fotelu, lecz pozostała w drugim końcu pokoju, nucąc coś z cicha.

– Spodziewam się, że pani przyjemnie spędziła wieczór – spytała Peggotty, stając nieruchomo jak beczka na środku pokoju, z lichtarzem w ręku.

– Dziękuję ci, duszko – odrzekła wesoło moja matka. – Bardzo przyjemnie.

– Nowe znajomości, lub coś podobnego, przynoszą zwykle rozrywkę...

– A tak, istotnie.

Peggotty nie ruszała się z miejsca, a matka moja nuciła dalej. Drżąc, słyszałem wprawdzie głosy, lecz nie rozumiałem znaczenia słów. Gdym się przebudził z tej drzemki, ujrzałem obie, matkę moją i Peggotty, zalane łzami i rozmawiające żywo.

– Nie takiego by życzył pan Copperfield – mówiła stanowczo

²² *wwieść* (daw.) – wprowadzić. [przypis edytorski]

Peggotty. – Nie takiego, ręczyć za to mogę.

– Boże mój – łkała moja matka. – Doprowadzasz mnie do rozpacz! Widział to kto, aby służąca tak traktowała swą panią, niby jakie dziewczątko! Wiesz przecie, że byłam mężatką.

– Wiem – odrzekła Peggotty.

– Jakże śmiesz tedy... to jest nie jak śmiesz, lecz jak masz serce mówić mi takie gorzkie słowa? Przecież wiesz, że nie mam na świecie nikogo, kto by się za mną ujął.

– Tym bardziej nie można dopuścić – twierdziła Peggotty – aby to nastąpiło. Nie, nie powinno to nastąpić za nic, za żadną cenę w świecie.

Mówiąc to, gestykulowała tak patetycznie, jak gdyby miała za chwilę cisnąć trzymany w ręku lichtarz.

– O! – wołała moja matka, coraz rześistszymi zalewając się łzami – jakże jesteś okrutna, jak niesprawiedliwa! I mówisz o tym wszystkim, jak gdyby to było ułożone, skończone, gdy cię upewniam po raz setny może, że są to zwykłe grzeczności! Mówisz o uwielbieniu, Bóg wie o czym jeszcze! Cóżem temu winna, co poradzę, powiedz proszę: czy mogę zabronić ludziom, aby na mnie patrzyli, mam sobie twarz posypać popiołem, zeszpecić siebie, oparzyć, pokrajać lub coś podobnego? Chciałabyś tego, powiedz? Pewna jestem, że tego byś tylko chciała!

Peggotty zdawała się przyjmować słowa te do serca.

– A moje dziecko, mój ukochany synek – łkała moja matka, zbliżając się do fotela, na którym drzemałem, i okrywając mnie

pocałunkami. – Czy zasłużyłam na to, aby mi zarzucano brak przywiązania do mego skarbu?

– Nikt nigdy nie śmiałyby zarzucić pani czegoś podobnego – rzekła Peggotty.

– Zarzucałaś, sama wiesz dobrze, że zarzucałaś! Jasno to wynika ze wszystkiego, coś dopiero mówiła. Wiesz przecie dobrze, że zeszłego miesiąca odmówiłam sobie nowego parasola i używam ten stary, zielony, cały w dziurach. Co? Może mi zaprzeczysz? Wszystko przez przywiązanie do dziecka!

Tu matka zwróciła się do mnie i, przykładając pieszczotliwie twarz do mej twarzy, mówiła z cicha:

– Davy, czy jestem złą, okrutną, samolubną matką? Powiedz, moje kochanie? Powiedz, że jestem zła, bez serca, okrutna, a Peggotty kochać cię będzie, bo to widzisz, kochanie Peggotty więcej warte od mego. Ja cię nie kocham... co? Prawda?

Wszyscyśmy płakali, a ja najgłośniejsz, lecz wszyscy jednak szczerze. Serce mi się krajało i boję się, czym pod wpływem żalu nie nazwał czasem Peggotty „zwierzęciem”.

Pocziwa Peggotty była tak rozszalona, że potraciła u sukni wszystkie guziki. Pękały jeden po drugim na jej wstrząsanych łkaniem piersiach, gdy klęcząc przy fotelu, usiłowała porwać mnie w objęcia.

Położyliśmy się tego wieczoru w wielkim strapieniu. Łkając, długo nie mogłem zasnąć, a przewracając się w łóżku, widziałem pochyloną nade mną matkę. Zasnąłem wreszcie w jej objęciach i spałem smacznie.

Nie pamiętam już, czy owego nieznanego ujrzałem następnej niedzieli, czy po dłuższym upływie czasu. Nie ręczę za ścisłość dat. Dość, żeśmy go spotkali w kościele i że znów towarzyszył nam w drodze powrotnej do domu. Wszedł wraz z nami, aby obejrzeć osobliwe jakieś geranium kwitnące w bawialnym pokoju. Nie zdaje mi się, aby zwrócił nań szczególną uwagę, tylko przed odejściem prosił moją matkę o zerwanie i danie mu jednego kwiatka. Prosiła go, aby sam to uczynił, lecz nie wiem czemu, nie chciał tego zrobić i matka moja musiała sama mu podać zerwany kwiat. Zapewniał, że się z kwiatem tym nigdy już nie rozstanie! Pomyślałem, że chyba zwariował, bo czyż nie wiedział, że kwiaty więdną po dwóch albo trzech dniach?

W tym samym czasie Peggotty zaczęła jakoś mniej przesiadywać z nami wieczorem. Matka moja wprawdzie poważała ją jak i przedtem, bardziej może niż przedtem i nic nie zakłócało panującej pomiędzy nami trojgiem harmonii, ale jednak istniało coś, co zdawało się krępować nas wzajemnie. Co to było? Sądziłem, że może Peggotty umyślnie robi na złość mojej matce, kładąc na co dzień najlepsze, w szafie dotąd zamykane suknie lub wychodząc często w odwiedziny do sąsiadów. W każdym razie, nie mogłem dojść, co to wszystko ma znaczyć.

Stopniowo przyzwyczałem się do widoku pana z czarnymi bakami. Nie lubiłem go, zazdrościłem mu czegoś, sam nie wiedziałem czego, i to bez żadnego powodu, bo gdybym nawet

był starszy, przez myśl by mi nie przeszło, że ja i Peggotty powinniśmy wystarczyć mojej matce. Teraz jasno przypominam sobie tysiące drobiazgów, oderwanych wrażeń, które złożyły się na ową antypatię żywioną do niego.

Pewnego jesiennego poranku znajdowałem się wraz z moją matką przy wejściu do ogrodu, gdy pan Murdstone – znałem go już z nazwiska – przejeżdżał tamtędy konno. Na widok mojej matki wstrzymał konia, powitał ją, oznajmiając, że jedzie do Lowestoftu, żeby zobaczyć się z przybyłymi parowcem przyjaciółmi. Uprzejmie zaproponował, że weźmie mnie z sobą na konia.

Pogoda była prześliczna, koń wyglądał na tak zadowolonego i wesołego, że i mnie zdjęła nieopanowana chęć do tej nieoczekiwanej przejażdżki. Pobiegłem na górę, do Peggotty, aby mnie²³ ubrała, a tymczasem pan Murdstone zsiadł z konia i wiodąc go za uzdę przechadzał się powoli wzdłuż głogowego szpaleru, po drugiej zaś stronie przechadzała się moja matka. Pamiętam, jakeśmy się z Peggotty przypatrywali²⁴ im z okienka mego pokoiku, jak się zbliżali ku sobie i pochylali nad głogowym, dzielącym ich szpalerem, i jak nagle Peggotty, wzór łagodności, wpadła w straszliwą złość, targając moje włosy, które właśnie miała zaczesać.

²³ *mnie* – daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

²⁴ *jakeśmy się (...) przypatrywali* – inaczej: jak się przypatrywaliśmy (konstrukcja zdaniowa z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

Wkrótce potem dzielny koń unosił mnie wraz z jeźdźcem przez zielone błonia. Pan Murdstone podtrzymywał mnie prawą ręką, a ja zachowywałem się spokojnie, tylko że siedząc tak przed nim, nie mogłem oprzeć się chęci obrócenia głowy od czasu do czasu, aby spojrzeć mu w twarz. Miał on ten rodzaj czarnych, płtykich oczu – braknie mi dosadniejszego słowa dla opisanía oczu nieposiadających głębokości spojrzenia – które w zamyśleniu, przy pewnym świetle, wydają się chwilami, jakby były ze szkła. Kilkakrotnie zauważyłem to z pewnym przestraczem, spoglądając na niego i gubiąc się w domysłach, nad czym mógł się tak głęboko zastanawiać? Widziane też z bliska włosy jego i baki wydały mi się jeszcze stokroć czarniejsze. Kwadratowy zarys dolnej części twarzy i ślady silnego, ale starannie ogolonego zarostu, przypominały mi woskowe figury widziane przed pół rokiem. Równa i gęsta brew, smągła cera (niechby przepadł z tą swoją cerą i niechby wspomnienie jego wraz z nim przepadło!) sprawiały, że pomimo wstrętu, jaki we mnie obudził, wydał mi się pięknym mężczyzną. Nie wątpiłem, że biedna moja matka uważa go za takiego.

Zatrzymaliśmy się w hotelu nad morzem, gdzie w osobnym pokoju zastaliśmy dwóch panów palących cygara. Każdy z nich leżał, zajmując najmniej cztery krzesła. Obaj mieli na sobie grube ubrania. W kącie, związane razem, leżały odzież i przybory wioślarskie wraz z chorągiewką.

Obaj, powstając na nasze powitanie, zatoczyli się na nogach w dziwny sposób i zawołali:

– Halloa! Murdstone! Myśleliśmy, żeś umarł.

– Nie tak prędko – odrzekł pan Murdstone.

– Któż to znów ten żółtodziób? – spytał jeden z nich, spoglądając na mnie.

– Jest to Davy.

– Davy? Jaki Davy? Jones, co?

– Copperfield – odrzekł pan Murdstone.

– Ach, tak – zawołał nieznajomy – jest to więc urocze uosobienie obowiązków pani Copperfield, owej ładnej wdówki, co?

– Quinion – zauważył pan Murdstone – bądź uważniejszy z łaski swojej. Ktoś jest bardzo domyślny.

– A kto mianowicie? – zaśmiał się nieznajomy.

Słuchałem odpowiedzi z natężoną uwagą.

– Nikt inny jak Brooks z Sheffield – rzekł pan Murdstone.

Ucieszyłem się, słysząc tę odpowiedź, sądziłem bowiem z początku, że to o mnie mowa. Było jednak widocznie coś bardzo zabawnego w owym wzmiankowanym panu Brooks z Sheffield, gdyż słysząc jego nazwisko, obaj nieznajomi roześmieli się serdecznie. Pan Murdstone wtórował im i przeszła dobra chwila czasu, zanim ten, którego nazwano Quinion, zapytał:

– A jakie jest zdanie Brooksa z Sheffield w wiadomej sprawie?

– Sądzę – odrzekł pan Murdstone – że na razie nie domyśla się, o co chodzi. Jednak na ogół nie okazuje najmniejszej

przychylności.

Znów się roześmieli, po czym pan Quinion zadzwonił na służbę i kazał podać wina, utrzymując, że wypada wypić zdrowie Brooksa. Gdy podano wino, nalał mi kieliszek, dał parę sucharków i zawołał:

– Niech diabli porwą Brooksa z Sheffield!

Toast wywołał ogólne zadowolenie. Śmiano się tak szczerze dokoła mnie i ja też się śmiałem, co zdawało się bawić nieskończenie obecnych panów. Słowem, było wesoło.

Poszliśmy na wybrzeże. Patrzyliśmy przez teleskop. Wprawdzie nic dojrzeć nie mogłem, zapewniałem jednak, że widzę doskonale, po czym wróciliśmy do hotelu na uroczysty obiad. Obaj nieznajomi nie wypuszczali cygar z ust, a sądząc z zapachu ich ubrań, musieli palić bezustannie od chwili, w której ubrania te wyszły z rąk krawców. Muszę dodać, że w czasie przechadzki wstąpiliśmy na parostatek, gdzie panowie ci weszli do kajuty po jakieś papiery. Wydali mi się bardzo zajęci; śledziłem ich przez okienko, gdyż pozostawili mnie na pokładzie z miłym jakimś chłopakiem, o dużej, rudymi włosami pokrytej głowie, ubranym w mały, błyszczący kapelusz i kamizelkę z napisem na piersiach „Skylark”. Sądziłem z początku, że było to nazwisko chłopaka i że mieszkając na pokładzie, z braku drzwi zmuszony był wywieszać na piersiach swą kartę. Gdym go nazwał: panem Skylark, zaśmiał się i objaśnił mi, że jest to nazwa okrętu.

Zauważyłem też w dniu tym, że pan Murdstone jest

poważniejszy i powściągliwszy od swych towarzyszy. Tamci byli niesłychanie weseli i rozmowni. Ciągłe żartowali między sobą, rzadko kiedy z żarcikami zwracali się do pana Murdstone. Wydawał mi się inteligentniejszy i chłodniejszy od nich; musieli się go też bać trochę. A może przypisywałem im własne swe uczucia i wrażenia. Zdawało mi się jednak, że pan Quinion mówiąc spoglądał na niego spode łba, tak jak gdyby bał się powiedzieć czegoś, co by mu się mogło nie podobać, a raz nawet, gdy pan Passnidge nadto się rozpędził, trącił go nieznacznie w kolano, wskazując ostrzegawczo na pana Murdstone, siedzącego w ponurym zamyśleniu. Zresztą nie przypominam sobie, aby on śmiał się tego dnia, oprócz wypadku, gdy była mowa o Brooksie z Sheffield, co było zresztą własnym jego pomysłem.

Wreszcie przed wieczorem wróciłem do domu. Pogoda była prześliczna i znów matka moja przechadzała się długo wzdłuż głogowego szpaleru, mnie zaś wysłano na górę, bym wypił herbatę. Gdy pan Murdstone odjechał, matka wypytywała mnie długo i dokładnie o wycieczkę, o to, co tam robiono i co mówiono. Gdy powiedziałem, co powiedzieli o niej, roześmiała się, nazwała tych panów „wietrznikami”, lecz nie zdaje mi się, aby naprawdę była na nich rozgniewana. Spytałem ją, czy zna niejakiego Brooksa z Sheffield. Odpowiedziała, że nie zna, lecz przypuszcza, że musiała być mowa o jakimś fabrykancie noży i widelców.

Mamże²⁵ mówić o jej drogiej twarzy? Pamiętam ją tak zmienioną i wiem, że już nie istnieje. Ale czyż mogę powiedzieć, że jej nie ma, skoro mi staje w pamięci wyraźna, jak żadna inna twarz dojrzana w ulicznym tłumie? Mamże pisywać o blasku jej urody, że zgasł, że nie istnieje, skoro widzę go dotąd w pamięci, jak widziałem tego wieczoru? Mamże wyznać, że się zmieniła, jeśli we wspomnieniach moich pozostała taka, jaką była wówczas. Młodość jej i świeżość zachowałem w sercu i w pamięci niczym nienaruszoną wierność.

I dziś ją widzę taką, jaką była owego wieczoru, klęczącą obok mego łóżeczka, z pochyloną na dłoni głową, uśmiechniętą.

– Jak to oni mówili, Davy? Powtórz, proszę, nie mogę sobie przypomnieć...

– „Urocze” – zacząłem, lecz matka położyła mi palec na ustach.

– Nie, nie – zawołała śmiejąc się – nie tak, z pewnością nie tak mówili.

– Ale tak właśnie mówili, mamó, i dodawali: „tej ładnej pani Copperfield”.

– Nie, nie mówili „ładnej”.

– Mówili, naprawdę mówili, „tej ładnej wdówki”.

– Co za pustogłowy – śmiała się matka moja, kryjąc twarz w dłoniach. – Mówić takie rzeczy! Zabawne doprawdy! I co jeszcze, Davy?...

²⁵ *mamże* – konstrukcja z partykułą pytającą; inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

– Co, mamó?

– Nie wspominaj o tym Peggotty, gniewałaby się. Ja sama gniewam się na tych wietrzników. Nie trzeba, aby Peggotty wiedziała o tym.

Przyrzekłem, że nic nie powiem. Ucałowaliśmy się raz i drugi, i trzeci, i nie wiem już który... Słodko zasnąłem.

Teraz, po tak długim okresie czasu²⁶, zdaje mi się, że propozycja Peggotty, o której właśnie mam mówić, uczyniona była nazajutrz po tym pamiętnym wieczorze, w rzeczywistości musiało to nastąpić w parę miesięcy później.

Było to znów wieczorem. Siedzieliśmy jak zwykle z Peggotty w bawialnym pokoju, w nieodstępnym towarzystwie pończochy, bawełny, kawałka wosku, skrzyneczki do robót, ozdobionej na wieczku wizerunkiem katedry świętego Pawła i książki z krokodylami. Peggotty, spoglądając na mnie, kilkakrotnie otwierała usta, żeby mi coś powiedzieć (myślałem, że się po prostu zamyśliła). W końcu rzekła:

– Paniczu! A gdyby panicz pojechał ze mną na parę tygodni w odwiedziny do mego brata, do Yarmouth? To by dopiero był bal!

– Czy brat twój to przyjemny człowiek? – spytałem.

– Ach! Jaki przyjemny! – zawołała, podnosząc ręce. – A poza tym jest morze, są statki, łodzie, są rybacy, zatoka, jest Am do zabawy.

²⁶ *okres czasu* – błąd logiczny i stylistyczny; dziś popr.: czas a. okres; „(...) po tak długim czasie”. [przypis edytorski]

Peggotty miała na myśli bratanka swego, Hama, o którym wspominałem na początku tej opowieści.

Zachwycony perspektywą wyżej wymienionych rozkoszy, odpowiedziałem jej, że odwiedziny w Yarmouth byłyby prawdziwym „balem”, tylko, co powie na to mama?

– Gotowa jestem iść o zakład, że pozwoli – potwierdziła Peggotty, przypatrując mi się bacznie. – Poproszę ją sama, gdy wróci do domu.

– Ale jakże ona poradzi tu sobie bez nas? – rzekłem, opierając łokcie na stole dla lepszego poparcia argumentu. – Nie może przecież pozostać tak sama.

Jeśli Peggotty łowiła wówczas opuszczone w pończosze oczko, oczko to musiało być niewidzialne doprawdy.

– Mówię ci, Peggotty, że nie może pozostać sama.

– Bóg z tobą, dziecię – rzekła wreszcie, podnosząc oczy. – Wiesz przecie, że ją na parę tygodni zaprasza pani Grayper, u której mają zebrać się goście.

O jeśli tak, to nie miałem nic już przeciw zamierzonej wycieczce i z niecierpliwością czekałem powrotu matki od pani Grayper (sąsiadki, u której bywała), aby pozyskać jej zezwolenie. Zgodziła się na propozycję Peggotty prędzej, niż sądziłem, i tegoż jeszcze wieczoru omówione zostały wszystkie warunki zamierzonych odwiedzin.

Wkrótce też nadszedł dzień wyjazdu, nadszedł dziwnie szybko nawet dla mnie, trawionego gorączką wyczekiwania i bojącego się, czy trzęsienie ziemi, spadające skały lub tym

podobne kataklizmy nie staną w poprzek mym projektem. Mieliśmy z Peggotty odjechać po wczesnym śniadaniu, wynajętym wózkiem. Wiele bym dał za to, gdyby pozwolono mi spać w obuwiu i podróżnym ubraniu.

Dziś boleję, chociaż dotykam tego pobieżnie za ledwie, że z tak lekkim sercem opuszczałem dnia tego dom mój, nie domyślając się, że opuszczam go na zawsze. Miło mi wspomnieć, że gdy wózek stanął już u bramy, a matka uściskała mnie na drogę, wezbrana w mym sercu czułość spłynęła łzami... Miło mi wspomnieć, że matka moja rozplakała się także i długo, długo tuliła mię²⁷ w objęciach...

Miło mi wspomnieć, że gdyśmy odjeżdżali, wybiegła jeszcze za bramę i zawołała, aby wstrzymano konie, gdyż chciała pocałować mnie raz jeszcze. Myślę o przywiązaniu i czułości, z jaką spoglądała wówczas na mnie.

Gdy odjeżdżaliśmy, stała na drodze, a pan Murdstone zbliżył się do niej i zdawał się upominać ją, aby nie poddawała się wzruszeniu. Oglądając się za matką moją, dziwiłem się tylko, co mu do tego. W tę samą co ja stronę spoglądająca Peggotty nie wyglądała bynajmniej²⁸ na zadowoloną, jak to wnosić mogłem z wyrazu jej twarzy.

Jadąc patrzyłem czas jakiś na Peggotty i popadając w marzenie, pytałem siebie, czy czasem, jak to w bajce bywa,

²⁷ *mię* – daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

²⁸ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

nie chce uwieść mnie gdzieś i zostawić. Wówczas odnalazłbym drogę za pomocą gubionych co chwila przez nią guzików jej stanika.

Rozdział III. Zmiana

Koń nasz był najleniwszym ze wszystkich koni, jakie kiedykolwiek widziałem, i przez całą drogę włókł się ze spuszczoną w dół głową, jakby naumyślnie ociągając się z przybyciem na miejsce przeznaczenia. Wyobrażałem sobie nawet, że pozwala sobie parszkając wyrażać jakieś w tym względzie uwagi, lecz woźnica upewnił mnie, że jest to tylko zwykły kaszel.

Woźnica kiwał się na siedzeniu z opuszczonymi na kolana rękami i podobnie jak koń spuszczał głowę. Chociaż powiadam, że „wiózł” nas, przekonany jestem, że koń dowlóknąłby się do Yarmouth i bez jego pomocy. Woźnica zresztą nie przemówił ani słowem; pogwizdywał tylko od czasu do czasu.

Peggotty miała na kolanach kosz z prowiantem, którego wystarczyłoby nam do samego Londynu chyba. Jedliśmy też dużo, a spali jeszcze więcej. Peggotty, śpiąc, opierała głowę na rączce od kosza, którego ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni. Nie uwierzyłbym zaś nigdy, że słaba kobieta może tak głośno chrapać, gdybym na własne tego nie słyszał uszy.

Tyleśmy razy zbaczali²⁹ z drogi, tak długo u wrót jakiejś

²⁹ *tyleśmy razy zbaczali* – inaczej: tyle razy zbaczaliśmy (konstrukcja z ruchomą

gospody wypakowaliśmy mające tam pozostać łóżko, że zmęczony już byłem i szczerze zadowolony, gdyśmy ujrzeli Yarmouth. Zaspany i poziewający spoglądałem na rozległe wybrzeże, dziwiąc się, że jeśli istotnie, jak to uczy geografia, ziemia jest kulista, to jakim sposobem znaleźć się na niej mógł taki obszar płaszczyzny? Myślałem, że Yarmouth znajduje się chyba na jednym z biegunów.

W miarę jak, zbliżając się, mogliśmy okiem objąć całą tę prostą linię na horyzoncie, ośmieliłem się zauważyć, że tu i ówdzie kilka wzgórków dodałoby krajobrazowi malowniczości, jako też, że ładniej byłoby, jeśliby ład był czymkolwiek przedzielony od morza, a miasto i woda nie tak zmieszane razem niby grzanki z bulionem, na co Peggotty odrzekła z niezwykłym przejęciem, że trzeba rzeczy brać takimi, jakimi są, co zaś do niej, to się szczydzi rodzinnym swym miastem.

Toteż, gdyśmy wjechali w ulicę (która mi się dziwną jakąś wydała) i poczuli zapach ryb, smoły, pakuł, dziegciu i ujrzeli idących żeglarzy i turkocące po bruku wozy, poczułem, że nie docenił zrazu tak znakomitego miasta, i natychmiast wyznałem to Peggotty. Słuchała moich zachwyków z przyjemnością i zapewniła, iż jest rzeczą powszechnie wiadomą (zapewne miejscowym mieszkańcom), że Yarmouth jest najpiękniejszym miejscem pod słońcem.

– Otóż i Am! – zawołała. – Wyrósł do niepoznania!

Ham oczekiwał naszego przybycia przy gospodzie; powitał

mnie jak starego znajomego. Zrazu nie poczuwałem się do tej znajomości, bo istotnie nie był on pod naszym dachem od nocy mych urodzin. Znajomość pomiędzy nami nawiązała się szybko, od chwili gdy mnie zdjął z wózka, aby zanieść do swego domu. Był z niego chłopak wysoki i barczysty, o dziecinniej, wesołej twarzy i wijących się, jasnych włosach, które czyniły go podobnym do baranka. Odziany był w surdut z żaglowego płótna i sztywne spodnie, które równie dobrze same stać by mogły. Trudno też właściwie powiedzieć, że miał na głowie kapelusz, było to raczej coś na kształt strzechy pokrywającej rudere.

Ham ze mną i naszym kuferkiem na barkach i Peggotty z drugim kuferkiem w ręku mijaliśmy ulice usłane wiórami, kupami piasku, mijaliśmy kuźnie, warsztaty powroźników i tym podobne miejsca, zanim doszliśmy do owej pustej równiny, która zdziwiła mnie, gdyśmy wjeżdżali do Yarmouth. Tu Ham zawołał:

– Oto i nasz dom.

Obejrzałem się dokoła. Jak okiem sięgnąć, wybrzeże, morze, ład, woda, lecz ludzkiego mieszkania ani śladu. Nieopodal tylko czerniała łódź, wysoka i głęboka, z żelazną, sterczącą nad nią na kształt komina rurą, z której wychodził lekki kłęb dymu.

– Czyżby łódź miała być domem? – spytałem.

– A tak – odrzekł Ham.

Sam widok pałacu Aladyna nie mógłby mnie w większy zachwyty wprowadzić niż myśl zamieszkania we wnętrzu łodzi. Z boku wycięte były takie małe, ładne drzwiczki i okienka,

a wszystko to pokryte dachem; najzwyczajniejsza pod słońcem łódź, która tysiąc razy pływała po morzu i nie służyła z początku za mieszkanie dla ludzi na lądzie. To mnie właśnie zachwycało. W innym razie pomieszczenie to wydałoby mi się ciasne, duszne, niewygodne; teraz robiło wrażenie doskonałego schronienia.

Wewnątrz było czysto i przytulnie. Stał stół, zegar drewniany, szafka. Na szafce podparta Biblią stała taca z wymalowaną na niej damą z parasolem, przechadzającą się z dzieckiem ubranym jak żołnierz i wywijającym biczem. Gdyby przypadkiem taca się przewróciła, stukłaby niezliczoną ilość spodków i filiżanek ustawionych wokół Biblii.

Na ścianach wisiały kolorowe ryciny. Ilekroć oglądałem później podobne dzieła sztuki, zawsze stawał mi w pamięci dom brata Peggotty. Był tam Abraham³⁰ w czerwonym płaszczu i Izaak³¹ w błękitnej chlamidzie, Daniel³² żółto

³⁰ *Abraham* – biblijny patriarcha, ojciec narodu żydowskiego (hebr. znaczenie jego imienia to: „ojciec narodów”); swego długo wyczekiwanego syna Izaaka był gotów złożyć w ofierze Bogu na górze Moria (wg tradycji utożsamianej późn. ze wzgórzem świątynnym w Jerozolimie), lecz dawszy dowód swej wiary i bojaźni bożej (hebr. Akeda: „związanie”, „ofiarowanie”), został w ostatniej chwili powstrzymany od tego przez anioła, wysłannika Jahwe. [przypis edytorski]

³¹ *Izaak* – postać biblijna, syn Abrahama, ojciec Ezawa i Jakuba. [przypis edytorski]

³² *Daniel* – postać biblijna występująca w Ks. Daniela i Ks. Machabejskiej Starego Testamentu; prorok na dworze babilońskim (króla Nabuchodonozora) i perskim (królowie Dariusz i Cyrus) w VII/VI w. p.n.e., słynący przede wszystkim z umiejętności tłumaczenia snów i wizji apokaliptycznych, cieszący się szczególną opieką Jahwe; w Księdze Daniela (6,2–29) znajduje się opowieść o tym, jak za czasów króla Dariusza Daniel został wrzucony do jaskini lwów za to, że nie zaprzestał swych zwykłych praktyk religijnych mimo 30-dniowego zakazu wszelkich modlitw,

odziany pomiędzy lwami o zielonej sierści, a nad kominkiem wisiał wizerunek statku „Sarah Jane”, z prawdziwym malutkim drewnianym sterem przyklejonym z wierzchu, który wydał mi się ostatnim wyrazem sztuki, przedmiotem wzbudzającym zazdrość. Na suficie były haki, o niewiadomym mi przeznaczeniu, różne zaś pudła i pudełka zastępowały kanapy i krzesła.

Wszystko to objąłem jednym ciekawym rzutem oka; tymczasem Peggotty, otwierając małe drzwiczki, ukazała mi mój pokój sypialny. Było to rozkoszne schronienie w dziobie łodzi, z oknem zrobionym w otworze, przeznaczonym niegdyś na ster. Do ściany przybite wisiało wąskie, jak raz dla mnie odpowiednie lustro w ramach wyklejonych muszlami. Pod lustrem stało wąskie łóżeczko, a na stoliku, tuż obok, bukiet traw morskich. Ściany były bielutkie, kapa rozesłana na łóżku olśniła mnie prawie. Po całym domu rozchodził się tak silny zapach ryb, że kiedy wyjąłem z kieszeni chustkę do nosa, zdawało mi się, że ją dopiero co zdjął z morskiego raka. Gdy się zwierzyłem z tego odkrycia Peggotty, oznajmiła mi, że brat jej handluje rakami i podobnymi morskimi przysmakami, które też potem ujrzałem spoczywające w wielkim nagromadzeniu, w drewnianej skrzyni niedaleko łodzi.

Przy wejściu do domu spotkała nas wielce uprzejma niewiasta, niemłoda, w białym fartuchu, z dala już witająca nas ukłonami,

zwierzęta jednak cudownym zrządzeniem nie wyrządziły mu najmniejszej krzywdy.
[przypis edytorski]

jako też prześliczna – prześliczną mi się przynajmniej wydała – dziewczeczka z błękitnymi na szyi paciorkami, która jednak zaraz uciekła i schowała się, gdy ją chciałem pocałować. Gdyśmy się już posilili gotowaną rybą polaną roztopionym masłem i kartoflami, a dla mnie przygotowano jeszcze kotlet – nadszedł niemłody, o przyjemnej twarzy mężczyzna. Ponieważ nazywał Peggotty „dziewczką”, a na jej okrągłych i rumianych policzkach złożył głośny pocałunek, od razu domyśliłem się, że był jej bratem, i rzeczywiście przedstawiono mi go jako pana Peggotty, gospodarza domu.

– Miło mi poznać panicza – rzekł. – Prości jesteście ludzie, ale szczerzy.

Odpowiedziałem mu, że mnie tu wszystko nieskończenie zachwyca.

– Jak zdrowie mamy? – spytał. – Czy dobrze wygląda?

Odpowiedziałem, że matka moja wygląda doskonale i przesyła mu swe ukłony, co zresztą było moim wymysłem.

– Bardzo jestem wdzięczny, dziękuję!... – rzekł pan Peggotty. – I jeśli panicz zechce tu spędzić czas jakiś z nami – tu skinął głową w stronę siostry – z Hamem i Emilką, będzie to dla nas prawdziwy zaszczyt.

Po uprzejmym tym powitaniu pan Peggotty poszedł umyć się w miednicy pełnej gorącej wody, utrzymując, że zimna nie zdoła go oczyścić. Wrócił po chwili zmieniony na korzyść, lecz tak przy tym rumiany, że mimo woli pomyślałem, iż twarz jego posiada właściwość raków i homarów, a mianowicie pod

wpływem gorącej wody z brunatnej w czerwoną się zmienia.

Po herbacie, przy zamkniętych drzwiach i oknach, bo na dworze zapadła noc zimna i mglista, mieszkanko w łodzi wydało mi się bardziej jeszcze przytulne i miłe. Słyszając, jak wiatr szaleje nad morzem, myśląc o mgłach, które zalegają bezbrzeżne równiny, oczarowany byłem płonącym na kominku ogniem, w chatce zrobionej z prostej łodzi, na bezludnym wybrzeżu. Mała Emilka, ośmielona, siedziała teraz tuż przy ogniu obok mnie na najniższym i najwęższym z kuferków. Po drugiej stronie kominka pani Peggotty w białym fartuszku robiła pończochę, Peggotty szyła, mając przed sobą na stole swą nieodłączną skrzyneczkę do robót z wizerunkiem katedry świętego Pawła i równie nieodłączny kawałek wosku. Ham, po udzieleniu mi pierwszej lekcji jakiejś gry, usiłował przypomnieć sobie wróżenie ze starych, zbrukanych³³ kart, zostawiając na nich odciski swego dużego palca. Pan Peggotty palił w milczeniu fajkę. Czułem, że nastąpiła chwila nawiązania rozmowy i bliższej znajomości.

– Panie Peggotty – rzekłem.

– Co, paniczu? – odrzekł.

– Czy dlatego pan syna swego nazwał Ham, że mieszkacie w domu podobnym do arki?

– Nie, paniczu, nie ja mu dawałem to imię.

– Któż go tak nazwał?

– Jego ojciec!

– To nie pan jesteś jego ojcem?

³³ zbrukany – dziś raczej: pobrudzony, zabrudzony. [przypis edytorski]

– Nie. Ojcem jego był brat mój, Joe.

– Umarł? – spytałem nieśmiało po chwili.

– Utonął.

Dziwiło mię to, że Ham nie był synem pana Peggotty, i gubiłem się w domysłach nad stopniem pokrewieństwa łączącego go z resztą obecnych. Zdecydowałem się na nowe pytanie.

– Ale mała Emilka – rzekłem, rzucając spojrzenie na dziewczynkę – jest pańską córką?

– Nie, paniczu, szwagier³⁴ mój, Tom, był jej ojcem.

Nie mogłem powstrzymać się znów od poprzedniego pytania:

– Umarł?

– Utonął.

Nastąpiła chwila milczenia. Czułem pewne utrudnienie w nawiązaniu na nowo rozmowy, ale ciekawość przemogła.

– A pan ma dzieci? – spytałem.

– Nie mam – odrzekł śmiejąc się. – Jestem kawalerem.

– Kawalerem? – zawołałem zdziwiony i wskazując kobietę w białym fartuchu, robiącą pończochę, dodałem:

– A to, któż to taki?

– Pani Gummidge.

– Pani Gummidge?...

Tu Peggotty, moja własna Peggotty, skinęła na mnie tak wymownie, że zaprzestałem dalszych pytań i w milczeniu rozeszliśmy się na spoczynek. Za zamkniętymi szczelnie

³⁴ szwagier – mąż siostry. [przypis edytorski]

drzwiami mego pokoiku wyjaśniła mi, że Ham i Emilka są sierotami, które wuj przygarnął, zaś pani Gummidge jest wdową po jego towarzyszu i współniku, człowieku ubogim, ale uczciwym jak złoto, a pewnym jak stal – było to ulubione porównanie Peggotty.

– I brat mój – dodała – ubogi jest i uczciwy jak złoto, a jak stal pewny i wpada w gniew, gdy wspomina się przy nim o jego dobroczynności. Wówczas uderza pięścią tak, że mu się aż raz zdarzyło stół rozbić, i klnie straszliwie, nieużywanymi przez nikogo innego słowy³⁵.

Wzruszyła mnie dobroć serca mego gospodarza. Zасыpiając slyszalem, jak pani Gummidge układała się do snu w sąsiedniej kajucie, a Ham i Emilka zawieszali hamaki na hakach dojrzanych przeze mnie u sufitu w głównej izbie. Zapadając w coraz głębszy sen, slyszalem niejasno wycie wiatru szalejącego nad równiną i zacząłem się trochę bać, że podnoszące się fale mogą nas zalać. Uspokoiła mnie myśl, że ostatecznie znajduję się na łodzi i pod opieką doświadczonego zapewne żeglarza, przygotowanego na wszelkie wypadki.

Nic się jednak nie wydarzyło poza tym, że nadszedł ranek. Skoro pierwsze promienie odbiły się w wiszącym nad mym posłaniem i w ramki z muszli oprawnym lusterku, porwałem się na nogi, a w chwilę potem zbierałem już z małą Emilką kamyki nad zatoką.

– Prawdziwy z ciebie żeglarz chyba? – spytałem ją, nie

³⁵ słowy (daw.) – forma N. lm; dziś: słowami. [przypis edytorski]

myśląc wcale, co mówię, lecz chcąc powiedzieć coś niezwykle uprzejmego, zachwycony widokiem płynącego żagla, co się odbił w jej jasnym oku.

– O nie! – rzekła, kręcąc główką. – Boję się morza.

– Boisz się! – zawołałem zuchowato i patrząc z góry na potężny ocean, dodałem z przechwałą – Ja się wcale nie boję.

– Gdybyś wiedział, jakie ono bywa okrutne – ciągnęła dziewczynka. – Widziałam to nieraz! Widziałam łodzie o wiele większe od naszej, potrzaskane...

– Ale to nie w tej przecie łodzi...

– ...ojciec utonął – dokończyła dziewczynka. – Nie, tamtej nie widziałam nigdy.

– A swego ojca? – spytałem.

Wstrząsnęła główką:

– Nie pamiętam.

Uderzyło mnie to istniejące pomiędzy nami podobieństwo. Zacząłem opowiadać jej, że i ja nigdy nie widziałem mego ojca, że szczęśliwi żyliśmy we dwoje z moją matką i żyjemy, i żyć tak będziemy zawsze, zawsze... i o mogile ojca na pobliskim cmentarzu, ocienionej drzewami, pod których pełnymi śpiewających ptaków gałęzmi przechadzamy się często. Tu występowała stanowcza różnica między sierocą dolą małej Emilki i moją. Straciła ona matkę wcześniej jeszcze niż ojca i nie wiedziała, gdzie w głębokościach bezbrzeżnego morza leży jego mogiła.

– Zresztą – dodawała, szukając pilnie w piasku muszli

i świecących kamyków – ojciec twój był zapewne panem, mama damą, mój ojciec zaś był rybakiem, moja mama córką rybaka i wuj Dan jest rybakiem.

– Czy panu Peggotty Dan na imię? – spytałem.

– Wuj Dan – odrzekła, skłaniając główkę w kierunku łodzi.

– Jest on zapewne bardzo dobry?

– Dobry! Gdybym była wielką damą, sprawiłabym mu kapotę ciepłą, z niebieskiego aksamitu z brylantowymi guzikami, nankinowe³⁶ spodnie, czerwoną aksamitną kamizelkę, kapelusz z piórem, złoty zegarek, srebrną fajkę i dałabym mu tyle, ot tyle pieniędzy.

Upewniłem ją, że wuj jej zasługuje na wszystkie wyżej wymienione skarby, chociaż w rzeczy samej nie mogłem go sobie przedstawić w wytwornym stroju wymyślonym dlań przez wdzięczną i kochającą sierotkę. Wyliczając te bajeczne skarby, Emilka podniosła główkę i wpatrzyła się w szafir niebios. Niebawem jednak wróciliśmy z tej krainy marzeń do rzeczywistości, to jest do muszelek i kamyków.

– Chciałabyś być wielką i bogatą damą? – spytałem.

Zaśmiała się wesoło.

– Czemu nie – odrzekła – i bardzo. Bylibyśmy panami, ja, wujcio, Ham i nawet pani Gummidge. Nie dbalibyśmy o słoty i burze... to jest nie dbalibyśmy dla siebie, lecz żałowalibyśmy

³⁶ *nankin* – rodzaj tkaniny bawełnianej o gęstym splocie płóciennym (tj. wątek i osnowa przeplatają się naprzemiennie, równomiernie, każda nić z każdą), z której od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie (pierwotnie o barwie jasnożółtej); nazwa jest eponimem i pochodzi od chińskiego miasta Nankin. [przypis edytorski]

zawsze bardzo biednych rybaków i pomagalibyśmy im w nieszczęściu, dawali pieniądze.

Przypuszczenie to było wielce przyjemne i wydało mi się dlatego bardzo prawdopodobne, szczerą napełniając mnie radością. Wyrażałem to tak gorąco Emilce, że się ośmieliła zapytać:

– A co, teraz boisz się morza?

Spokojne było w tej chwili i wcale niestraszne. Gdyby jednak nadpłynęła fala, uciekłbym prawdopodobnie co tchu, pomny na to, co mi dopiero opowiadała o losie rybaków. To mi nie przeszkadzało upewnić ją, że się wcale nie boję, i że ona sama mniej się lęka zapewne, jeśli, jak mówiła, zbliża się do drewnianego ogrodzenia u stromego w tym miejscu wybrzeża.

– Tego się nie lękam – rzekła. – Boję się, gdy morze huczy i szumi. Wówczas oboje, ja i Ham, truchlejemy na myśl samą, na jakie niebezpieczeństwo wuj nasz jest narażony. Zdaje się nam czasem, że go słyszymy, jak woła o ratunek. Oto dlaczego wołałabym być wielką panią. Ale tak, to się wcale nie boję morza, ani trochę, spójrz tylko.

Pobiegła naprzód i wskoczyła na spróchniałą belkę sterczącą nad głęboką tonią. Widzę ją – i gdybym był malarzem, oddałbym wiernie spojrzenie, jakie zatopiła w oddali, a które mi na zawsze zostało w pamięci.

Po chwili jasna, rumiana, tryumfująca podbiegła do mnie i zapomniałem o strachu, jaki mnie zdjął przed chwilą, i o tym, że krzyknąłem, wołając o ratunek, chociaż nikogo

nie było w pobliżu. W wiele lat później, myśląc o tym i o tajemniczych zagadnieniach istnienia, wobec tego objawu pociągu do niebezpieczeństwa, pytałem siebie nieraz, czy nie lepiej by wyszła na tym, jeśliby życie straciła w tej chwili? Pytałem siebie, czy gdyby wówczas odstonione³⁷ przede mną zostały przyszłe koleje jej życia i gdybym dziecięcym rozumieniem obliczyć mógł ich rozciągłość, a ode mnie zależało ratować ją od niebezpieczeństwa, czy dobrze bym zrobił ratując? A był czas, w którym na pytanie, czy nie lepiej wyszłaby na tym, jeśliby ją morskie w tej chwili pochłoneły fale, zmuszony byłem odpowiedzieć we własnym sumieniu: tak, byłoby lepiej.

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków. Odbiegłem od nich wspomnieniem, wróćmy zatem do rzeczy.

Biegaliśmy długo po wybrzeżu, zbierając i dzwigając tysiące przedmiotów, które się nam wydawały nieskończenie ciekawe, wrzucając nazad³⁸ do wody wyrzucone na brzeg rybki i inne żyjątka, pewien zresztą nie jestem, czy im w ten sposób wielką oddawaliśmy usługę. Po powrocie do domu, w cieniu, przy składzie lin, zamieniliśmy z Emilką niewinnego, ale serdecznego całusa i w najlepszych humorach stawiliśmy się na śniadanie!

– Niby dwie rodzone jagódki – zauważył pan Peggotty.

Kochałem się w małej Emilce, kochałem się w tej małej dziecinie tak tkliwie i czule, z takim zapomnieniem siebie, jak się może w dojrzałym wieku nie kochałem już nigdy. Dziś

³⁷ *odstoniony* – dziś raczej: odstonięty. [przypis edytorski]

³⁸ *nazad* – z powrotem. [przypis edytorski]

jeszcze marzy mi się ta drobna błękitnooka dziecina niby coś nadprzyrodzonego, anielskiego. Jeśliby jej kiedy w pogodny letni wieczór wystrzeliły nagle skrzydła z ramion, nie byłbym bynajmniej tym zdziwiony.

Przechadzaliśmy się po wybrzeżu dłoń w dłoń godzinami całymi. Dnie nam mijały tak, jak gdyby sam czas zmienił się był w dziecię, aby igrać z nami. Pani Gummidge i Peggotty wpadały w zachwyty nad nami i szeptały pomiędzy sobą co wieczór, spoglądając na nas: „Cudo! Istne cudo!”. Pan Peggotty uśmiechał się, patrząc na nas spoza kłębow dymu swej fajki, a Ham zżymał się³⁹ tylko lub wyszczerzał zęby. Byliśmy dla nich rodzajem rozkosznej zabawki, cackiem, widowiskiem, czymś w rodzaju Koloseum⁴⁰ w mikroskopijnych rozmiarach.

Spostrzegłem niebawem, że pani Gummidge nie zawsze bywała uprzejma i przyjemna. Owszem. Humor jej nie odznaczał się równością, a gderania jej i wyrzekania wypełniały ciasne mieszkanko. Współczułem jej szczerze, niemniej zdarzały się chwile, w których myślałem, że dobrze byłoby, aby pani Gummidge posiadała własne apartamenty dla schronienia się tam w chwilach złego humoru.

Pan Peggotty uczęszczał czasem do gospody zwanej „Chętna Dusza”. Dowiedziałem się o tym z ust pani Gummidge pewnego

³⁹ zżymać się – niecierpliwic się; denerwować, złościć się. [przypis edytorski]

⁴⁰ *Koloseum* – wybudowany w I w. n.e. w Rzymie amfiteatr (zw. Amfiteatrem Flawiuszów); wysoki na niemal 50 m, o obwodzie przekraczającym 500 m, stanowi jedną z najbardziej efektownych i reprezentatywnych budowli miasta, obiekt przyciągający turystów co najmniej od 2. poł. XVIII w. [przypis edytorski]

wieczoru, wkrótce po naszym przybyciu. Spojrzawszy na zegar pomiędzy ósmą a dziewiątą, oświadczyła nagle, że pan Peggotty udał się do gospody, a nadto, że od rana wiedziała, iż na tym się skończy.

Pani Gummidge była w złym humorze od rana, a przed obiadem, gdy piec zaczął dymić, wybuchła wielkim płaczem, wołając, że jest biedną, nieszczęśliwą, opuszczoną istotą.

– Przejdzie to zaraz – uspokajała ją Peggotty – zresztą przykre to jest zarówno i dla nas.

– Lecz ja bardziej na tym cierpię – odparła pani Gummidge.

Dzień był chłodny i wietrzny. Kąt, zwykle zajmowany przez wdowę u kominka, był najcieplejszy, fotel najwygodniejszy, ale tego dnia widocznie jej to nie zadowalało. Ciągłe się uskarżała na zimno, na przebiegające po plecach dreszcze. Płakała nawet i wyrzekała na swą nieszczęsną dolę.

– Istotnie jest zimno, wszyscy to czujemy – zauważyła Peggotty.

– Lecz ja to czuję bardziej niż ktokolwiek inny – odrzekła pani Gummidge.

Podobnie było przy obiedzie. Zaraz po mnie, a uważano mnie za gościa, podawano półmiski pani Gummidge, lecz nic nie mogło jej zadowolić. Ryby były drobne i kościste, ziemniaki przypalone. Wszyscyśmy to wprawdzie zauważyli⁴¹, lecz pani Gummidge upewniała nas, że ją to w szczególny sposób dotyka,

⁴¹ wszyscyśmy (...) zauważyli – inaczej: wszyscy zauważyliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

co potwierdziła zresztą strumieniem gorzkich łez.

Toteż gdy około dziewiątej pan Peggotty wrócił do domu, zastał panią Gummidge z pończochą w rękę i na zwykłym swym miejscu, lecz posępną i rozżaloną. Peggotty szyła wesoło, Ham łątał buty, ja zaś, siedząc obok małej Emilki, czytałem na głos. Od herbaty pani Gummidge nie odezwała się ani razu, tylko od czasu do czasu wzdychała ciężko.

– Dobry wieczór – zawołał wchodząc gospodarz domu.

Wszyscyśmy, oprócz pani Gummidge, powitali go, ten słowem, ów spojrzeniem, ona sama tylko w ponurym milczeniu skłoniła głowę niżej nad pończochą.

– Cóż znowu! – rzekł pan Peggotty, podając jej rękę. – No, nie martwże się, kobieto!

Pani Gummidge nie zdawała się bynajmniej⁴² zdolna do rozstania się ze smutkami. Co więcej, wyciągniętą z kieszeni chustką zaczęła ocierać oczy.

– Co się stało? – pytał pan Peggotty.

– Nic się nie stało – odrzekła. – Wracasz przecie z gospody.

– Ano tak, wstąpiłem tam wieczorem.

– Żałuję, żem cię wyprawiała.

– Wyprawiała! – zaśmiał się gospodarz domu. – Nie potrzebuję być aż wyprawiany, sam tam idę chętnie.

– Chętnie, zbyt chętnie – mruczała, kiwając głową i ocierając oczy. – Otóż w tym bieda, że tym chęciom ja jestem winna.

⁴² *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

– Ani myśl o tym⁴³ – uspokajał ją pan Peggotty.

– Tak, tak – wołała, łkając, pani Gummidge – wiem dobrze, jakie jest moje nieszczęsne położenie, wiem, jak jestem opuszczona i że nie tylko mnie się nie wie, lecz że przynoszę z sobą nieszczęście. Tak, tak, czuję to, czuję wszystko żywiej niż ktokolwiek inny i okazuję to, i jest to właśnie moja niedola.

Nie mogłem, słuchając owej rozmowy, powstrzymać się od uwagi, że niedola w niemałej mierze spada na tych, którzy z nią mieszkają. Dobry pan Peggotty, chociaż i był może podobnego co ja zdania, nie wyraził tego, owszem starał się uspokoić rozżaloną kobietę.

– Nie jestem tym, czym być pragnę – mówiła pani Gummidge – nie jestem tym, czym być powinnam, wiem o tym, niedola rozdrażniła mnie, boleję nad mą niedolą, chciałabym nie czuć, lecz nie jest to w mocy mojej, chciałabym być mężniejsza, ale przechodzi to moje siły. Wiem, jestem nieznośna, zatrujęm każdemu życie, dokuczam siostrze twojej i małemu panu Davy.

Pośpiesznie zaprzeczyłem.

– Ale tak, tak, wiem, co mówię – twierdziła rozżalona. – Lepiej będzie pójść precz stąd i umrzeć. Opuszczoną, nieszczęśliwą jestem istotą, powinnam ustąpić z drogi. Nic mi się nie wie, wszystko przeciw mnie się obraca... Danielu, pozwól mi wrócić do domu, pozbędziesz się mnie wreszcie...

Z tymi słowy udała się na spoczynek. Gdy odeszła, pan Peggotty, który słuchał wyrzekań jej ze współczuciem, spojrzął

⁴³ *ani myśl o tym* – nawet o tym nie myśl; nie myśl o tym wcale. [przypis edytorski]

po nas obecnych i, wstrząsając głową, rzekł z cicha:

– Myśli o starym.

Nie wiedziałem, o jakim właściwie „starym” mogła myśleć pani Gummidge, i dopiero Peggotty, moja własna Peggotty, rozbierając mnie objaśniła, że tym „starym” był nieboszczyk mąż jej. Wiedział o tym brat Peggotty, współczując niedoli wdowy. Istotnie dosłyszałem, jak pan Peggotty, zawieszając na noc swój hamak, mówił jeszcze do Hama: „Biedaczka! Myślała o starym”. Powtarzał to, i zawsze z niezmiennym współczuciem, za każdym razem, gdy w czasie naszych odwiedzin pani Gummidge wpadała w swój żaloszny nastrój.

Tak minęły dwa tygodnie, nie przynosząc innych zmian, prócz przyptywów i odpływów morza i dostosowanych do nich odjazdów i powrotów pana Peggotty i Hama. Ham brał nas czasem z sobą dla pokazania nam statków i okrętów. Raz nawet przewiózł nas łodzią po morzu. Nie wiem doprawdy, dlaczego pewne wspomnienia tak szczególnie wiążą się z pewnymi miejscami, zwłaszcza gdy chodzi o wspomnienia z dzieciństwa, lecz sądzę, że tak być musi. Ile razy zdarzyło mi się słyszeć lub czytać nazwę Yarmouth, tyle razy w pamięci stawał mi pewien poranek niedzielny, spędzony na wybrzeżu. W powietrzu rozlegały się kościelne dzwony. Emilka stała oparta o moje ramię. Ham rzucał od niechcienia kamyki w morze, a za morzem słońce wylaniało się spoza zwojów mgły, oświecając okręty, w mglistej dali do własnych swych podobne cieni.

Nadszedł dzień powrotu do domu. Dzielnie panując nad sobą,

pożegnałem pana Peggotty i panią Gummidge, lecz boleść moja przy rozstaniu z małą Emilką nie miała granic. Szliśmy, dłoń w dłoń, do gospody, skąd mieliśmy wyjeżdżać. Obiecywałem pisywać do niej, czego też dotrzymałem, kreśląc z niezwykłą starannością olbrzymie litery. Byliśmy bardzo smutni, a tak wielkiej pustki, jak ta, którą miałem na odjeźdźnym w sercu, nie zdarzyło mi się może nigdy odczuć równie głęboko.

Przez cały czas pobytu w Yarmouth zachowałem się niewdzięcznie względem własnego mego domu, gdyż rzadko i mało o nim myślałem. Lecz zaledwie wsiedliśmy na wózek, rozbudzone sumienie zaczęło czynić wyrzuty, a rozdarte serce uczuło żywiej niż kiedy bądź, że wracam do gniazda, że matka tylko zdoła mnie pocieszyć i żal mój ukoić! Uczucie to wzrastało, w miarę jak zbliżaliśmy się do domu, a niecierpliwe pragnienie ujżenia domowych progów wzmagало się na widok znanych mi miejsc i przedmiotów. Tylko Peggotty, zamiast dzielić me uczucia, powstrzymywała ich ciągłe wybuchy, wyglądała przy tym jakby zmieszana i jakoś nieswoja. Tak dotarliśmy do Blunderstone... Widzę je, widzę w świetle pochmurnego popołudnia, wśród szarej i dżdżystej pogody.

Drzwi się otwały, wbiegłem półuśmiechnięty, półwzruszony, chcąc już rzucić się w objęcia mej matki, lecz zamiast niej spotkałem nieznaną służącą.

– Peggotty – zawołałem cofając się – czy mama nie wróciła jeszcze?

– Wróciła, wróciła – uspokajała mię Peggotty, a po chwili

dodała – Niech się panicz zatrzyma chwilkę, powiem coś paniczowi.

Zmieszana i z wrodzoną niezręcznością wyłaziła najniezgrabniej pod słońcem z wózka, lecz byłem zbyt przerażony, aby się śmiać z tego. Ujęła mnie za rękę i wprowadziła do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

– Peggotty, co się stało? – pytałem wystraszony.

– Nic się, chwała Bogu, nie stało – odrzekła z udaną wesołością.

– Pewien jestem, że się coś stało. Gdzie mama?

– Gdzie mama? – powtórzyła, wahając się, Peggotty.

– Tak, gdzie mama? Czemu nie wyszła na nasze spotkanie, czemu jej tu nie ma?

Oczy moje pełne były łez gotowych popłynąć za chwilę, serce mi się ścisnęło okropnie, słaniałem się na nogach.

– O mój Boże! – zawołała, podtrzymując mnie, Peggotty. – Co ci jest, co, moje dziecko?

– Może umarła – wyszeptałem z trudnością.

Peggotty zaprzeczyła energicznie, usiadła, aby się wysapać, mówiąc, że ją przestraszył.

Wstrząsnąłem nią, aby się uspokoiła, i wpatrywałem się w nią pytająco.

– Widzisz, kochanie – zaczęła – miałam ci to już przedtem powiedzieć, tylko... nie było sposobności... mniejsza z tym, trzeba było powiedzieć raz stanowczo...

– Mów, mów, Peggotty – błagałem czując, że mnie coraz

większy zdejmuję niepokój.

– Kochanie – rzekła, rozwiązując drżącą ręką wstążki kapelusza, po czym jednym tchem dorzuciła – A gdyby tak panicz dostał tatę?

Zadrzałem i zbladłem. Na wspomnienie tej tam mogiły na cmentarzu i na myśl o wskrzeszonym trupie coś owiało mnie na kształt trującego oddechu.

– Nowego tatę – dodała Peggotty.

– Nowego – powtórzyłem.

Peggotty zaczerpnęła powietrza, jak gdyby miała połknąć coś niezwykle wstrętnego, i wyciągając rękę, rzekła:

– Pójdź, zobacz go.

– Nie mam wcale ochoty go widzieć.

– A mamę? – spytała Peggotty.

Przestałem opierać się i dałem się wprowadzić do bawialnego pokoju. Po jednej stronie kominka siedziała matka moja, a po drugiej pan Murdstone. Matka moja wypuściła z rąk robotę i powstała śpiesznie, lecz, jak mi się zdawało, nieśmiało.

– Kochana Klaro – ozwał się pan Murdstone – pamiętaj, żebyś zawsze panowała nad sobą. Jak się masz, chłopcze!

Ujął mnie za rękę, po czym dopiero ucałowałem moją matkę. Uścisnęła mnie i wróciła do rzuconej przed chwilą roboty. Nie śmiałem oczu podnieść ani na nią, ani na niego, a że czułem wzrok jego na nas obojgu, więc się zbliżyłem do okna, przypatrując się krzakom, których liście zwarzył jesienny chłód.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, by uciec na górę.

Pokoik mój sypialny nie był już obok pokoju mojej matki, lecz gdzieś daleko. Wszystko było zmienione lub zmienionym mi się zdało. Wybiegłem na dziedziniec, lecz i stąd uciekłem wprędce, gdyż pustą dotąd psią budę zajmował brytan czarny, kudłaty, do niego podobny. Pies ten wyskoczył na mnie, wyszczerzając białe i potężne kły.

Rozdział IV. Popadam w niełaske

Jeśliby pokój, gdzie przeniesiono moje łóżeczko, był istotą żyjącą, na której świadectwo można się powołać, zaświadczyłby dziś jeszcze (ciekawym⁴⁴, kto tam dziś sypia?), z jak ciężkim sercem udałem się wieczoru tego na spoczynek. Wchodząc na schody, słyszałem bezustanne ujadanie psa na dziedzińcu, a wszedłszy do pokoju, usiadłem z założonymi na piersi rękoma, pogrążając się w zadumie.

Myślałem o najdziwniejszych rzeczach: o kształcie pokoju, o rysach na sklepieniu, o tapetach, o skazach na zwierciadle i dziwnym z tego powodu łamaniu się odbicia, o koślawej umywalni, co mi podeszłym swym wiekiem przypomniła panią Gummidge. Myśląc o tym wszystkim, płakałem gorzko, sam nie wiedząc czemu, czując tylko chłód i osamotnienie. Wreszcie przypomniłem sobie, że się kocham na śmierć w małej Emilce. Oderwany od niej, znajduję się w miejscu, gdzie nikt o mnie nie dba ani w połowie tak, jak dbałoby to dziewczątka. Wprawilo to

⁴⁴ *ciekawym* – forma skrócona; inaczej: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

mnie w taką rozpacz, że łkałem, dopóki sen mnie nie zmorzył.

Zbudził mnie głos mówiący: „Mamy go!”. Jednocześnie uczułem, że mi ktoś odkrywa rozpaloną głowę. Nade mną stały matka moja i Peggotty.

– Davy – spytała moja matka – co ci jest?

Zdziwiło mnie to pytanie, toteż odpowiadając krótko „nic”, odwróciłem się, chcąc skryć zbyt wymowne drżenie ust.

– Davy! Dziecko moje – powtórzyła matka moja.

Sądzę, że nic mnie bardziej w tej chwili dotknąć nie mogło, jak ta nazwa „dziecko” w jej ustach. Skryłem zapłakaną twarz w poduszkach, odpychając prawie pochylającą się nade mną matkę, która zawołała:

– Twoje to dzieło, Peggotty! Niegodziwa Peggotty! Nie wątpię teraz o tym! Jakże to zdołasz pogodzić ze swym sumieniem! Zbuntować moje rodzone dziecko przeciw mnie lub przeciw komuś, kto mi jest drogi! Czy masz serce, czy masz sumienie?!

Biedna Peggotty wzniosła oczy i dłonie, mówiąc:

– Niech Pan Bóg pani wybaczy, pani Copperfield, i strzeże panią, abyś słów tych nie pożałowała.

– I to kiedy jeszcze! – ciągnęła ze łzami matka moja. – W miodowym miesiącu, wówczas gdy najsroższy nieprzyjaciół nie miałby serca trwożyć mnie i martwić. Davy! Niedobre dziecko! Zła, niegodziwa Peggotty! O, jakże ten świat jest przewrotny, i to wówczas właśnie, gdy mi się wszystko uśmiechać winno...

Uczułem dotknięcie ręki nie matki mojej i nie Peggotty. Od razu powstałem na nogi. Dłoń pana Murdstone spoczywała na moim ramieniu.

– Cóż to znowu? – mówił. – Klaro, duszko, zapominasz się. Więcej stanowczości!

– Przepraszam cię, Edwardzie – odrzekła matka moja – chciałam być odważna, lecz tak mi smutno...

– Doprawdy, Klaro, tak prędko.

– Przykro mi właśnie, że to nastąpiło teraz – tłumaczyła moja matka i dając się nieco, dodała – Ależ bo i jest czym się smuć...

Przygarnął ją do siebie, mówiąc jej coś z cicha, po czym ją pocałował. Widząc, jak tonęła w jego objęciu, zrozumiałem od razu, że nagnie on, jak zechce, słaby jej charakter.

– Odejdź, kochanie! – rzekł pan Murdstone. – Dawid zejdzie niebawem ze mną.

Zwracając się zaś po odejściu mej matki do Peggotty, spytał ją:

– Czy znane ci jest nazwisko twej pani?

– Zbyt dawno jej służyć – odrzekła zagadnięta – abym nie wiedziała, jak się nazywa.

– Tak by się zdawało! A jednak wchodząc na schody, wyraźnie słyszałem, jak ją nazwałaś nienależącym do niej nazwiskiem. Nosi ona teraz moje. Pamiętaj o tym na przyszłość.

Peggotty wyszła, rzucając na mnie szybkie spojrzenie i mówiąc coś o tym, że na nią czekają. Pozostawszy sam ze

mną, pan Murdstone zamknął drzwi i, siadając naprzeciw mnie, wpatrzył się we mnie. Nie spuszczałem i ja też z niego oka. Czuję, jak mi serce głośno i szybko bije w piersiach.

– Dawidzie – rzekł, zaciskając usta – jak ci się zdaje, co robię z krnąbrnym psem lub koniem?

– Nie wiem – odrzekłem.

– Smagam⁴⁵ go.

Upřednią odpowiedź wyszeptałem cicho, teraz tchu mi zabrakło w piersiach.

– Prowadzę go jak na pasku i mówię sobie: musi mi ulec, musi, chociażby życiem miał przypłacić. Pokaż, co masz na twarzy?

– Brud – odrzekłem.

Wiedział dobrze, że to są ślady łez, lecz jeśli by sto razy powtórzył pytanie, za każdym razem dodając sto uderzeń, to i tak za nic na świecie nie przyznałbym się, że płakałem.

– Dowcipny jesteś, nie ma co mówić – uśmiechnął się ze zwykłą sobie powagą. – Sprytny nad swój wiek. Zrozumiemy się doskonale. Otrzyj twarz i chodź ze mną.

Gestem nakazującym natychmiastowe posłuszeństwo wskazał umywalnię, która właśnie przypominała mi tak żywo panią Gummidge. Nie wątpię, że przy najlżejszym oporze zgiałby mnie we dwoje.

– Klaro, kochanie – rzekł, wprowadzając mnie za rękę do

⁴⁵ *smagać* – bić różgą, biczem, szpicrutą, rzemieniem (przedmiotem długim i wiotkim). [przypis edytorski]

bawialnego pokoju – uspokój się, zażegnałem, spodziewam się, twoje zmartwienie, możemy się wspólnie weselić.

Niech mnie nieba mają w swej opiece, lecz sądzę, że jedno ciepłe, serdeczne słowo, wyrzeczone w tym czasie, zmieniłoby mnie i całe moje życie. Słowo zachęty, objaśnienia, współczucia dla mej dziecinnej boleści, zapewnienia, że dom ten nie przestał być mi rodzinnym domem, mogło mu zjednać na zawsze moje dziecięce serce, uczynić mnie ufnym, a nie skrytym, natchnąć szacunkiem zamiast nienawiścią. Zapewne matka moja bolała, widząc mnie tak sztywnym i zamkniętym w sobie. Gdym brał krzesło, spoglądała na mnie z niepokojem. Musiała zauważyć nagły brak naturalnej mej, dziecięcej swobody. Gdyby jedno słowo... ale nikt go nie wymówił.

Zasiedliśmy do stołu we troje. Zdawał się być czułym dla mej matki, co wszelako bynajmniej⁴⁶ nie powiększyło skali mych uczuć dla niego. Zrozumiałem z tego, co mówiono, że starsza jego siostra miała zamieszkać z nami i właśnie oczekiwano jej tego wieczoru. Nie wiem też, czy tego wieczoru, czy potem, dowiedziałem się, że on i jego siostra mieli jakieś interesy z właścicielem handlu win w Londynie, że spółka ta trwała od lat już wielu, związana jeszcze przez jego dziada. Bądź co bądź, notuję to obecnie tak, jak mi się nasuwa na pamięć.

Po obiedzie, gdyśmy siedzieli przy kominku, a ja myślałem tylko o tym, by się najprędzej, bez obrazy pana domu, wymknąć do Peggotty, usłyszeliśmy podjeżdżający do bramy ogrodu

⁴⁶ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

pojazd. Wyszedł na spotkanie przybywającej siostry, a za nim powstała i moja matka. Nieśmiało szedłem za nią. Już za drzwiami i w cieniu zwróciła się szybko do mnie, przycisnęła – jak to dawniej zwykła była czynić – do serca, mówiąc mi z cicha, że powinienem kochać i poważać mego nowego ojca. Uściskała mnie tkliwie, lecz lęklonie jakoś, niby w tajemnicy, i zakładając rękę za plecy, trzymała mnie za rękę. Dopiero gdyśmy się z nim zrównali, wypuściła moją rękę ze swojej, aby się oprzeć na jego ramieniu.

Nowo przybyła panna Murdstone wyglądała złowrogo. Podobna z twarzy do brata, jak on brunetka o smagłej cerze, miała jak on dwoje gęstych brwi nad dużym nosem, a wyglądało to tak, jak gdyby ich obfitością nagrodzić sobie chciała brak bokobrodów. Miała z sobą dwa czarne kufry z wybitymi na nich świecącymi literami. Płacąc woźnicy dostawała⁴⁷ pieniądze ze stalowej sakiewki, którą wydobyła z większego worka zawieszzonego na ręku na stalowym łańcuchu. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć bardziej metalowej kobiety.

Wprowadzono ją do bawialnego pokoju z tysiącem uprzejmości. Tu zbliżyła się do mojej matki, jako do bliskiej krewnej, a spostrzegłszy mnie, spytała:

– Synek to twój, bratowo?

Matka moja skłoniła twierdząco głową.

– Na ogół – zauważyła panna Murdstone – nie lubię chłopców. Jak się masz, chłopcze?

⁴⁷ *dostawać* (daw.) – tu: wyciągać, wydobywać. [przypis edytorski]

Na tę zachęcającą przemowę odpowiedziałem wprawdzie, że zdrowszy jestem i spodziewam się, że panna Murdstone w dobrym też pozostaje zdrowiu, lecz uczyniłem to tak nieuprzejmie, że przybyła zadecydowała:

– Brak mu manier.

Wypowiedziawszy wyrok ten dobitnie, prosiła, aby jej wskazano pokój, który miała zająć. Pokój ten, zapelniony dwoma zawsze na klucz zamkniętymi kufkami, rozwieszonymi dokoła niby broń lustrami oraz stalowymi łańcuszkami i szpilkami, w które się zwykle stroiła, stał się odtąd dla mnie przybytkiem strachu.

Zauważyłem wkrótce, że panna Murdstone nie ma wcale zamiaru opuścić nas kiedykolwiek. Zaraz nazajutrz zajęła się „pomaganiem” mojej matce w gospodarstwie: przez cały dzień robiła porządki w spiżarni. Niebawem przekonałem się, że posadzała ustawicznie służące o ukrywanie gdzieś, na strychu zapewne, mężczyzn. Pod tym pretekstem biegała ciągle po schodach i zaglądała we wszystkie kąty, a gdy otwierała szafy, czyniła to tak, jak gdyby już miała złapać złodzieja.

Chociaż żadnej w pannie Murdstone lotności nie było, wstawiała równo ze skowronkami, wcześniej niż ktokolwiek w domu. Peggotty zapewniała nawet, że sypia jednym tylko okiem, co mi się jednak i po kilkakrotnych osobistych próbach nie wydało prawdopodobne.

Zaraz nazajutrz po przybyciu wstała z pianiem kogutów, a gdy matka moja zeszła na śniadanie, dziobnęła ją w policzek, co

miało oznaczać pocałunek, mówiąc:

– Przybyłam tu, kochana Klaro, aby ci ulżyć i być we wszystkim pomocą. Jesteś zbyt ładna i rozrzepana – tu matka moja uśmiechnęła się uprzejmie – abyś mogła podołać przeróżnym swym obowiązkom. Oddaj mi z łaski swej klucze i pozwól, abym cię wyręczała.

Od chwili tej klucze przeszły wyłącznie w ręce panny Murdstone. We dnie nosiła je u paska, zawieszzone na żelaznym łańcuszku, w nocy chowała pod poduszką, a matka moja nie miała do nich dostępu. Zrazu protestowała przeciw tak stanowczemu usunięciu siebie na bok. Pewnego wieczoru, gdy panna Murdstone przedstawiała bratu pewne plany gospodarskie, z zupełnym pominięciem pani domu, matka moja rozplakała się, utrzymując, że warto by może i o jej zdanie spytać.

– Klaro – zauważył surowo pan Murdstone – Klaro! Dziwię ci się, doprawdy!

– O! Dobrze ci dziwić się, Edwardzie! – zawołała, płacząc, moja matka. – Pewna jestem, że sam czegoś podobnego byś nie zniósł.

Stanowczość była największą cnotą w pojęciu pana Murdstone i jego siostry. W moim dziecięcym wyobrażeniu pozostała ona jednoznaczna z despotyzmem i z pewnym ponurym, chłodnym, zarozumiałym usposobieniem, jakim oboje, brat i siostra, się odznaczeni. Wierzyli oni święcie, że pan Murdstone niezłomny jest w swych postanowieniach i że nikt pod słońcem nie jest

tak niezłomny i być nim nie może. Jedyne wyjątek stanowiła panna Murdstone. Wolno jej było być też stanowczą – jedynie dzięki pokrewieństwu – ale w niższym, niejako poddańczym, stopniu. Matka moja stanowiła także wyjątek. Ta powinna była być niezłomna w postanowieniach, lecz w tym tylko znaczeniu, aby ślepo ulegać ich woli i ślepo wierzyć w ich nieomylność.

– Trudno – zaczęła matka moja – we własnym domu...

– Własnym... – powtórzył pan Murdstone. – Klaro!

– W *naszym* domu – jękała się biedna, widocznie wystraszona kobieta – sądziłam, że mnie zrozumiesz, Edwardzie! Sądziłam, że w *twoim* domu będę miała głos chociażby doradczy. Dawniej umiałam prowadzić gospodarstwo... – tu matka moja rozplakała się na dobre – możecie spytać Peggotty...

– Edwardzie – przerwała panna Murdstone – trzeba raz temu położyć koniec, jutro wyjeżdżam.

– Jane Murdstone – ozwał się brat jej – milcz, proszę. Czy mnie nie znasz?

– Doprawdy – szlochała matka moja – doprawdy nie chciałabym narazić się nikomu i byłabym bardzo nieszczęśliwa, jeśli by ktokolwiek miał stąd odjechać. Nie wymagam wiele, nie jestem tak szalona, chciałabym tylko, aby czasem i o moje spytano zdanie. Wdzięczna jestem, doprawdy, za każdą dobrą radę i chciałabym tylko czasem, choć dla przyzwoitości, wyrazić swe zdanie. Sądziłam, Edwardzie, że ci się moje niedoświadczenie podobało niegdyś... Teraz wyrzucasz mi je tak surowo...

– Edwardzie – powtórzyła panna Murdstone – trzeba raz temu położyć koniec. Pozwól, że odjadę jutro.

– Jane Murdstone – zagrzemiał głos brata – milcz, proszę, jak śmiesz!

Panna Murdstone wydobyła z torby chustkę i podniosła ją do oczu.

– Klaro! – zwrócił się do mojej matki mąż jej – zadziwiasz mnie, wprawiasz w zdumienie! Prawda, cieszyła mnie myśl poślubienia młodej, niedoświadczonej istoty, której charakter mógłbym wykształcić, zahartować wolę. Lecz kiedy siostra moja raczy przybyć mi z pomocą i z łaski swej chce zająć się gospodarstwem domowym, wyręczyć cię, to w zamian spotyka ją czarna niewdzięczność...

– O, Edwardzie! Edwardzie! – szlochała matka moja – nie oskarżaj mnie tylko o niewdzięczność. Wierz mi, nie jestem niewdzięczna... Nikt mi tego dotąd nie zarzucał. Wiele mam wad, ale niewdzięczna nie jestem, o, nie!

– Spotyka ją czarna niewdzięczność – ciągnął pan Murdstone – dlatego, wyznaję, czuję się obrażony, zraniony nawet.

– Edwardzie! Edwardzie! – błagała, zanosząc się od płaczu, moja matka – nie mogę znieść twych wyrzutów! Wdzięczne mam i kochające serce, zapewniam cię, że kochające, spytaj Peggotty.

– Słabość, choćby największa, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia – zauważył pan Murdstone. – Zadyszłaś się, kochanie!

– Nie gniewaj się, proszę, nie mogę, widzisz, żyć bez

przywiązania, w chłodzie, w obojętności... Tak mi ciężko! Wiem o tym, że mam tysiące przeróżnych wad, lecz ty jesteś tak dobry, że chcesz zahartować mój słaby, niedołążny charakter. Jane, nie sprzeciwiam się już niczemu, zranisz mnie śmiertelnie, odjeżdżając...

Głosu zabrakło biednej mojej matce!

– Jane Murdstone – wtrącił się pan Murdstone – nigdy dotąd nie padły między nami drażliwe słowa. Jeśli to się obecnie zdarzyło, nie moja w tym, jak sama widzisz, wina. I nie twoja także. Ktoś inny popchnął nas do tego, wywołał wstrętą dla nas obojga scenę. Zapomnijmy o tym, co zaszło.

Tu spostrzegł mnie.

– Nie jest to scena odpowiednia dla dzieci – zauważył. – Idź spać, Dawidzie.

Oczy miałem pełne łez i z trudnością trafiłem do drzwi. Tak mi było żal biednej mojej matki! Po ciemku wszedłem na schody i do mego pokoju, nie mając nawet chęci prosić Peggotty o światło i uściskać jej na dobranoc. Gdy po godzinie przysłała do mego łóżka, powiedziała mi, że matka moja położyła się s płakana i zmartwiona, a pan i panna Murdstone siedzą jeszcze razem w bawialnym pokoju.

Zszedłem nazajutrz wcześniej niż zwykle i zatrzymałem się chwilę u drzwi, słysząc głos mojej matki. Przepraszała ona bardzo serdecznie i pokornie pannę Murdstone, a gdy szanowna ta dama raczyła udzielić jej przebaczenia, pogodziły się z sobą na dobre. Odtąd nie słyszałem już nigdy matki

mojej wypowiadającej w jakiej bądź sprawie swego zdania, bez uprzedniego przekonania się, czy takowe panna Murdstone podziela lub, co najmniej, czy nie jest temu przeciwna. Ta zaś, za każdym wybuchem złego humoru, a podlegała chronicznie tej słabości, potrzasała pękiem kluczy tak, jak gdyby chciała się ich pozbyć, co zawsze nieskończenie przerażało moją matkę.

Ponure rysy charakteru Murdstonów rzucały cień i na religijne ich uczucia: religia ich była surowa i mściwa. Przychodziło mi odtąd na myśl, że było to konsekwentnym wynikiem owej stanowczości, co nie znała dla nikogo i za nic przebaczenia. Pamiętam nasze surowe miny, gdyśmy szli do kościoła, który mi się innym niż przedtem zaczął wydawać. Niedziela mijała po niedzieli, siadywałem w ławce podobny do więźnia przywleczonego na ofiarę. Panna Murdstone w czarnej, aksamitnej, rzekłbyś, na kształt całunu zrobionej sukni siadała tuż obok mnie, za nią dopiero matka moja, pan Murdstone ostatni. Peggotty nie przychodziła już z nami, jak niegdyś bywało. Słyszę ostry głos panny Murdstone odpowiadającej księdzu, widzę jej czarne oczy, na każdą wzmiankę o „nędznych grzesznikach” obiegające całe zgromadzenie. Widzę łagodne i wystraszone spojrzenie mej matki i usta jej poruszające się cicho, pomiędzy tymi dwojgiem, których modły rozlegały się niby grom z nieba. Zdawało mi się czasem, że nie tylko kapłan u ołtarza, lecz i sami aniołowie w niebie są grzesznikami, a sprawiedliwymi – tylko pan i panna Murdstone. A jeśli zdarzyło mi się poruszyć palcem lub rozciągnąć muskuły twarzy,

książka do nabożeństwa panny Murdstone pokrywała mi sińcami cały bok.

Tak, widzę po drodze do domu sąsiadów spoglądających z westchnieniem współczucia na mnie i na matkę moją. Idąc nieco za Murdstonami i matką, mogłem pochwycić znaczące spojrzenia sąsiadów i sam zacząłem się dziwić, że kroki mojej matki stały się mniej zwinne i coraz ciemniejsza chmura osiadała na jasnym jej czole. Pytałem siebie wówczas, czy sąsiedzi pamiętają jeszcze, jakeśmy dawniej z nią we dwoje chodzili⁴⁸ do kościoła, i przez całą niedzielę pozostawałem smutny.

Zaczęto mówić o wysłaniu mnie do szkoły. Projekt ten wyszedł od pana i panny Murdstone i naturalnie został zatwierdzony przez moją matkę; tymczasem miałem się uczyć w domu.

Nie zapomnę nigdy owych lekcji. Wbiły mi się głęboko w pamięć. Pozornie udzielane mi były przez matkę, lecz w obecności pana Murdstone i jego siostry, którzy znajdowali tu gotową sposobność do wyrabiania w matce mojej owego hartu, będącego ich hasłem i ustawicznie wywieszanym sztandarem. Zdaje mi się nawet, że jedynie w tym celu ociągano się z wysłaniem mię do szkoły. Zdolny byłem i chętny do nauk, dopóki sam byłem z matką. Zachowałem niejasne, lecz błogie wspomnienie pierwszej nauki alfabetu, odbytej u jej kolan, w jej objęciu. Po dziś dzień nie mogę spojrzeć na czarne kształty

⁴⁸ *jakeśmy (...) chodzili* – inaczej: jak chodziliśmy (konstrukcja zdaniowa z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

wielkich liter, na okrągłość O i Q, na wężykowatość S, bez powracania do odległych, bardzo odległych, lecz wcale nie wstrętnych wspomnień. Owszem, razem z ulubioną mą książką o krokodylach, cała nauka czytania wydaje mi się rozkoszną przechadzką wśród klombów różnorodnego kwiecica. Nie takie jednak były późniejsze, oficjalne, w obecności Murdstonów udzielane lekcje. Pełne nudy i smutku, długie, liczne, ciężkie, niezrozumiałe, nużące zarówno ucznia jak i nauczycielkę.

Niechże przypomnę sobie dokładnie, jak to wtedy bywało, niechże przeżyję wspomnieniem jeden z dni mego dzieciństwa.

Po śniadaniu, pamiętam, wszedłem do bawialnego pokoju z książkami, kajetami i tabliczką w rękę. Matka moja czekała na mnie już przy swoim biurczku, pan Murdstone przy oknie, czytający niby książkę, panna Murdstone nawlekająca stalowe paciorki. Sam już widok tych dwojga nieodstępnych towarzyszy mego życia wywierał na mnie takie wrażenie, że zapomniałem lekcji wyuczonej dopiero z niemałym trudem. Bóg wie, gdzie się to wszystko podziewało.

Podaliśmy książkę matce, nie pamiętam już, gramatykę, historię czy geografie. Spojrzałem raz jeszcze na rozłożoną stronicę i zacząłem powtarzać lekcję. Potknąłem się raz, widzę skierowane na siebie spoza książki spojrzenie pana Murdstone. Zająknąłem się raz, drugi, widzę spojrzenie rzucone mi przez pannę Murdstone. Zarumieniłem się po uszy, zabełkotałem coś i ani rusz dalej. Matka podpowiedziałyby mi może, lecz biedaczka nie śmiała i jęknęła tylko:

– Davy! O, Davy!

– Klaro! – wtrącił pan Murdstone – miejże więcej charakteru i nie psuj tak chłopca. Jedno z dwojga, umie czy nie umie lekcji?

– Nie umie – zadecydowała stanowczo panna Murdstone.

– Istotnie, zdaje się, że nie umie – przyznała moja matka.

– W takim razie – rzekła panna Murdstone – oddaj mu książkę, niech się douczy.

– Zapewne – podchwyciła matka moja – było to właśnie moim zamiarem. Davy, weź, powtórz, naucz się, moje dziecko. Nie bądźże głupi!

Starałem się zastosować do rozkazu i powtarzałem zadaną lekcję, lecz widocznie byłem głupi i nie mogłem skupić uwagi. Myślałem, ile tasiemek wyjść mogło na siatkę pokrywającą czarne włosy panny Murdstone? Myślałem, ile kosztował szlafrok pana Murdstone i o tym podobnych rzeczach. Wtem pan Murdstone poruszył się, poruszyła się panna Murdstone, matka moja spojrzała na nich, zamknęła książkę i odłożyła ją na bok.

Odkładane książki gromadziły się w stosy, a im więcej się ich gromadziło, tym mniej stawałem się pojętny. Widząc, że nie poradzę sobie, zdałem się na łaskę i niełaskę mej doli. Spoglądaliśmy po sobie z matką w najżałośniejszy sposób, lecz i to nie pomagało. Korzystając z odwróconej na chwilę od siebie uwagi, starała się ona ruchem ust naprowadzić mnie na daremnie szukaną drogę. Wtem panna Murdstone odezwała się ostrzegającym tonem:

– Klaro!

Matka moja drgnęła, zarumieniła się, próbując pokryć zafrasowanie uśmiechem, a pan Murdstone powstał z miejsca, wziął z rąk jej książkę, rzucił mi ją w twarz i targając mnie za uszy, wypchnął za drzwi bawialnego pokoju.

Ale jeśli nawet inne lekcje szły jako tako, czekała mnie zawsze istna niedola z arytmetyką, której uczył mnie sam pan Murdstone. Lekcja zaczynała się od zadania:

– Jeśli pójde do kramu i kupię cztery tysiące podwójnych serków z Gloucester, po cztery i pół pensa sztuka, ile to wyniesie?

Odpowiedzieć trzeba było w lot. Widzę zadowoloną minę panny Murdstone i liczę, liczę, bez skutku niestety, aż do samego nieraz obiadu, a gdy ścieraniem brudnej tabliczki i przeciąganiem palców po twarzy zmienię, bywało, siebie w Mulata, to już co najwyżej kawał suchego chleba dopomaga mi do strawienia owych czterech tysięcy podwójnych serków z Gloucester i jestem w niełasce przez resztę wieczoru.

W oddaleniu, w jakim mnie bieg życia postawił od tych dni dziecięcych, zdaje mi się, że taki a nie inny był codzienny przebieg mych nauk. To pewne, że uczyłbym się lepiej, a nawet i wcale dobrze, gdyby nie Murdstonowie, wywierający na mnie wrażenie podobne do tego, jakie wywierają węże na niektóre ptaki. Wówczas nawet, gdy przedobiednie lekcje udawały mi się względnie, całą wygraną stanowił obiad, gdyż panna Murdstone nie pozwalała mi odetchnąć i zaledwem skończył jedno zadanie, zwracała na mnie uwagę brata, odzywając się do mojej matki:

– Kochana Klaro! Zajmij czym swego chłopca, zającie zdrowe

jest dla dzieci.

Toteż chwil wytchnienia miewałem mało, z towarzystwa zaś rówieśników moich nie korzystałem wcale. Pan Murdstone uważał wszystkie dzieci, zapominając o tym zapewne, *jakie* to dziecię zasiadało raz w świątyni pomiędzy doktorami⁴⁹, za mrowisko małych żmij, wzajemnie najzgubniej oddziaływających na siebie.

Nieuniknionym następstwem podobnego trybu wychowania było spaczenie mego charakteru i zdolności. Stawałem się z dniem każdym posepniejszy, tępszy, kwaśniejszy, a to tym bardziej, im bardziej czułem się oddalony od mej matki. Sądzę, że popadłbym w skończony idiotyzm, gdyby nie następująca okoliczność.

Po ojcu moim został zbiór książek, zamknięty w małej izdebce na poddaszu, do której wstęp miałem i dokąd nikt oprócz mnie nie wchodził. Z tej to kryjówki wyciągałem na światło dzienne liczne powieści. Bohaterowie ich: *Roderick Random*⁵⁰, *Peregryn Pickle*⁵¹, *Humphrey Clinker*⁵², *Tom Jones*⁵³,

⁴⁹ *to dziecię zasiadało raz w świątyni pomiędzy doktorami* – aluzja do ewangelicznej opowieści (Łk 2,41–50) o dwunastoletnim Jezusie, który zgubił się swoim ziemskim rodzicom, Marii i Józefowi, gdy po święcie Paschy wracali z Jerozolimy do domu, do Nazaretu i został odnaleziony dopiero po trzech dniach poszukiwań: z całkowitym spokojem, czując się na właściwym sobie miejscu, oddawał się dysputom religijnym w świątyni, zasiadając jak wśród uczonych w Piśmie (doktorów), „Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami” (Łk 2,47). [przypis edytorski]

⁵⁰ *Roderick „Rory” Random* – tytułowy bohater i narrator powieści łotrzykowskiej (pikarejskiej) szkockiego pisarza Tobiasa Smolletta (1721–1771), *The Adventures of*

Roderick Random, (publ. 1748; pol. tł. B. Zieliński *Niezwykłe przygody Roderyka Randoma*, 1955); Roderick był synem szlachcica i kobiety z niższych klas; matka zmarła przy porodzie, ojciec postradał zmysły z rozpacz po jej śmierci; z powodu uprzedzeń klasowych rodzina ze strony ojca nie była chętna, by udzielać wsparcia chłopcu, który zmuszony był radzić sobie sam; doświadczywszy prześladowań ze strony bezdusznego wychowawcy, został karnie wydalony ze szkoły i pozbawiony dalszej możliwości edukacji, jednak wcześniej zdołał opanować francuski, włoski, łacinę i klasyczną grekę; z tym bagażem ruszył w świat, do Londynu, Francji, Indii, Afryki, a nawet Ameryki Płd., w towarzystwie nieodstępnego, prostodusznego Hugh Strapa. [przypis edytorski]

⁵¹ *Peregryn Pickle* – tytułowy bohater *The Adventures of Peregrine Pickle* (tł. na jęz. pol. T. Tatarkiewiczowa, wiersze tł. W. Lewik, *Peregryn Pickle*, t. 1–2, 1962), powieści łotrzykowskiej szkockiego pisarza Tobiasa Smolletta (1721–1771), opublikowanej w 1751 r. i opowiadającej historię wlotów i upadków pewnego egotysty, obracającego się w środowisku wyższych sfer społecznych osiemnastowiecznej Europy. [przypis edytorski]

⁵² *Humphrey Clinker* – bohater ostatniej z powieści łotrzykowskich Tobiasa Smolletta (1721–1771), zatytułowanej *The Expedition of Humphry Clinker* i opublikowanej w 1771 r. (tł. pol. A. Glinczanka, pt. *Wyprawa Onufrego Clinkera*, 1956); epistolarna forma powieści, daje możliwość przedstawienia tych samych zdarzeń z punktu widzenia różnych osób, co prowadzi do satyrycznych spiętrzeń i pozwala na ciekawe obyczajowe obserwacje; listy wymienia, przemierzając obszary Zjednoczonego Królestwa, sześcioro bohaterów: walijski ziemianin Matthew Bramble, jego siostra Tabitha, ich siostrzenica i siostrzeniec: Lydia i Jeremy Melford, pokojówka Tabithy Winifred Jenkins oraz konkurent do ręki Lydii, Wilson. [przypis edytorski]

⁵³ *Tom Jones* – tytułowy bohater klasycznej powieści *Historia życia Toma Jonesa, czyli dzieje podrzutka* (ang. *The History of Tom Jones, a Foundling*; wyd. 1749) Henry’ego Fieldinga (1707–1754); jest to opowieść o meandrycznej drodze Toma ku dorosłości i poślubieniu wybranki serca oraz jego walki z uprzedzeniami społecznymi (podrzucony na progu domu zamożnego pana Allworthy, był wychowywany przez niego jak syn, ale wśród służby uchodził za syna prostytutki); przy okazji przedstawiona została cała galeria postaci: rabusiów, Cyganów, żołnierzy,

*Crusoe*⁵⁷ stali się ukochanymi mymi towarzyszami, rozbudzali mą wyobraźnię, utrzymywali nadzieję, odrywali od miejsc

nieuczciwych prawników, a losy Toma wchodzą w dowcipne paralele z dziejami bohaterów mitologicznych. [przypis edytorski]

⁵⁴ *Wikary Wakefieldzki* – właśc. pleban z Wakefield, Charles Primrose, bohater powieści irlandzkiego pisarza Olivera Goldsmitha (1728–1774) *The Vicar of Wakefield* (1766; wyd. pol. pt. *Wikary wakefieldzki* 1825). [przypis edytorski]

⁵⁵ *Don Kichot* (hiszp. *Don Quijote*) – tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa (1547–1616); niemłody już hidalgo (szlachcic, rycerz), który pod wpływem romansów o czynach rycerskich postanawia ruszyć w świat i wcielać w życie średniowieczny ideał rycerski; powieść w sposób humorystyczny, ale nie bez sympatii, a nawet rzewności opisuje przygody Don Kichota jako błędnego rycerza (tj. rycerza błądzącego, podróżującego w poszukiwaniu okazji do rycerskich czynów), przemierzającego przestrzeń Hiszpanii na koniu Rosynancie, z otyłym, prostodusznym i przyziemnym giermkim Sancho Pansą u boku. [przypis edytorski]

⁵⁶ *Gil Blas* – tytułowy bohater powieści łotrzykowskiej (pikarejskiej) *Histoire de Gil Blas de Santillane* (publ. 1715–1735; tł. na jęz. pol. J. Rogoziński: *Przypadki Idziego Blasa*) autorstwa fr. pisarza i adaptatora literatury hiszp. Alaina Lesage’a (1668–1747); Gil Blas, choć pochodził z rodziny plebejskiej z małego miasteczka, został wysłany przez rodzinę na naukę na uniwersytet w Salamance; po drodze jednak kilkakrotnie padł ofiarą złodziei, zmuszony został przyłączyć się do bandy rozbójników, a wydobywszy się z tych tarapatów, zdecydował się na karierę służącego zamiast akademickiej; ta okoliczność pozwala czytelnikowi towarzyszyć bohaterowi w antyszambrach przedstawicieli wszelkich stanów i rozmaitych profesji, od kanonika i lekarza po arcybiskupa, a nawet ministra, co daje pole do obserwacji społeczno-obyczajowych. [przypis edytorski]

⁵⁷ *Robinson Crusoe* – tytułowy bohater powieści przygodowej Daniela Defoe (1660–1731), opublikowanej 25 kwietnia 1719 r. (do końca tego roku miała 4 wydania); powieść ma formę epistolarną i opowiada dzieje rozbitek, który spędził 27 lat na bezludnej, tropikalnej wyspie w okolicach Trynidadu, dając dowody dzielności, przemysłowości, zaradności i woli przetrwania; jest to jedna z pierwszych powieści angielskich, źródło rodzaju fabuł powieściowych, filmowych, słuchowiskowych itp. zwanych robinsonadami. [przypis edytorski]

i chwil obecnych. Książki te wraz z *Bajkami z tysiąca i jednej nocy* nie wywierały na mnie złego wpływu, gdyż to, co było w nich złe, przechodziło moje pojęcie. Dziś dziwię się tylko, jak – obciążony niewdzięcznymi naukami – mogłem znaleźć czas na czytanie. To pewne, że czytanie zostało mi pociechą, że się wcielałem sam lub wcielałem tych, których kochałem, w bohaterów, w każdym czarnym charakterze dopatrując się rysów podobieństwa z panem i panną Murdstone. Przez całe tygodnie bywałem Tomem Jonesem, przez miesiące Roderickiem. Zajmowały mnie też niesłychanie opisy podróży, nie wiem już czyje, znalezione na półkach. Stawiałem siebie w położenie podróżników zdanych na pożarcie dzikich zwierząt i tym podobne niebezpieczeństwa i wówczas nawet, gdy za niedouczoną lekcję gramatyki targano mnie za uszy, bohaterowie moi nic a nic nie tracili na tym, pozostawali zawsze szczytnymi bohaterami.

Było to moje jedyne, lecz potężne poparcie. Gdy myślę dziś o tym, widzę siebie w pogodne wieczory, z książką w ręku, gdy rówieśnicy moi igrali na cmentarzu. Każda sąsiednia stodoła, dach każdy, każdy cmentarny kamień wiąże się w wyobraźni mojej z jakąś czarodziejską historią: *Tom Pipes*⁵⁸ wlaził na kościelną dzwonnice, *Strap*⁵⁹ z torbą na plecach mijał furtkę

⁵⁸ *Tom Pipes* – służący Peregryna Pickle, tytułowego bohatera powieści Tobiasza Smolleta. [przypis edytorski]

⁵⁹ *Hugh Strap* – towarzysz przygód Roderick „Rory’ego” Randoma, w powieści łotrzykowskiej Tobiasza Smolletta (1721–1771), *The Adventures of Roderick Random*, (publ. 1748; pol. tł. B. Zieliński *Niezwykłe przygody Roderyka Randoma*, 1955).

mentarną, a *Commodore Trunnion*⁶⁰ i pan *Pickle*⁶¹ wiedli swe narady w wiejskiej izdebce naszej karczmy.

Po tym wszystkim, co się powiedziało wyżej, czytelnik wyobrazi sobie łatwo, jaki byłem w chwili, do której dobiega moje opowiadanie.

Pewnego poranku, wchodząc z książkami do bawialnego pokoju, zastałem matkę moją zasmuconą i przerażoną, pannę Murdstone jak zawsze niezłomną, zaś pana Murdstone wiążącego coś koło kija – cienkiego i gibkiego – którym za moim zjawieniem się przerznął ze świstem powietrze.

– Zapewniam cię, Klaro – mówił – że nieraz byłem smagany.

– Niewątpliwie, naturalnie – potwierdziła panna Murdstone.

– Zapewne – ozwała się matka moja i dodała nieśmiało – Czy ci to na dobre wyszło, Edwardzie?

– Sądzisz, że mu to zaszkodziło? – spytała surowo panna Murdstone.

– W tym rzecz – dorzucił pan Murdstone.

– Zapewne – powtórzyła z cicha moja matka.

[przypis edytorski]

⁶⁰ *Commodore Trunnion* – jeden z bohaterów powieści Tobiasa Smolleta *Peregryn Pickle*; tytułowy bohater, odrzucony przez matkę i znieawidzony przez brata o widocznie złych skłonnościach (ojciec zachowywał bezstronność dzięki całkowitemu braku zainteresowania synem) dostał się pod opiekę Commodore’a Hawsera Trunnion, starego wilka morskiego, zamieszkującego wraz z dawnymi towarzyszami swych morskich podróży; Trunnion wychował chłopca, stając się jego zastępczym ojcem.

[przypis edytorski]

⁶¹ *pan Pickle* – Peregryn Pickle, tytułowy bohater powieści Tobiasa Smolleta.

[przypis edytorski]

Przeczcucie ostrzegło mnie, że nie byłem obcy toczącej się rozmowie. Pochwyciłem nagle zwrócony na siebie wzrok Murdstone'a.

– Dawidzie – rzekł – ostrzegam cię, abyś był dziś uważny.

Mówiąc to, przerznął znów batem powietrze, po czym odłożył kij na bok i, rzucając mi złowieszcze spojrzenie, wziął się do zwykłego przy mej lekcji czytania.

Słowa te wywarły pożądane wrażenie. Chociaż zdawało mi się przedtem, że umiem lekcję, zapomniałem od razu i najzupełniej. Panna Murdstone nie spuszczała ze mnie oka. Jąkałem się, myliłem, rumieniłem, a gdy doszło do owych pięciu tysięcy podwójnych serków – „pięciu tysięcy kijów”, jak stało w zadaniu dnia tego – matka moja rozplakała się na głos.

– Klaro! – upomniała ją panna Murdstone.

– Czuję się słaba, kochana Jane – usprawiedliwiała się moja matka.

Widziałem, jak Murdstone mrugnął na siostrę, a powstając z miejsca i biorąc kij w rękę, rzekł obojętnie:

– Nie podobna⁶², Jane, aby Klara znosiła dłużej męki, jakie jej zadaje ten chłopiec. Na to potrzeba hartu, na jaki Klara zdobyć się jeszcze nie może. Pójdziemy z Dawidem na górę.

Matka moja porwała się, aby nas zatrzymać, lecz na upomnienie panny Murdstone: „Klaro! pomiarkuj się!” zatkała sobie uszy i rozplakała się na głos.

Pan Murdstone powolnym i uroczystym krokiem wprowadził

⁶² *nie podobna* (daw.) – nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

mnie do mego pokoju, pieszcząc wzrokiem przybory do wymiaru sprawiedliwości. Gdy zamknął za nami drzwi, złapał mnie za głowę.

– Panie Murdstone! Panie! – wołałem. – Nie bij mnie, proszę! Nie bij! Staram się uczyć, wierz mi! Tylko wobec pana i pańskiej siostry zapominam tego, czegom się wyuczył⁶³.

– Czy tak? – wycodził przez zęby. – Zobaczymy.

Wiłem się jak wąż w żelaznych jego rękach, błagając, aby mnie nie bił. Mocowaliśmy się z sobą przez chwilę. Widząc, że mi zatyka ręką usta, ukąsiłem go – jeszcze dziś na myśl o tym zaciskają mi się zęby.

Zaczął mnie bić, jak gdyby miał zasiec na śmierć. W zgiełku, jaki powstał, słyszałem wyraźnie głos i płacz matki mojej i Peggotty. Odszedł wreszcie, zamykając drzwi na klucz i zostawiając mnie rozgorączkowanego, splakanego, rozszalałego, tarzającego się po podłodze.

Pamiętam, o, jakże wyraźnie pamiętam tę ciszę, która zaległa dom cały, gdym się uspokoił czy raczej wyczerpał. Czułem się nieskończenie nieszczęśliwy i... winny.

Wśluchiwałem się w tę dziwną ciszę. Nigdzie ani dźwięku. Podniosłem się z podłogi, w zwierciadle ujrzałem mą twarz rozognioną, nabrzmiąłą, straszną. Członki moje zeszywniałe bolały mnie i za każdym poruszeniem wywoływały nowe łyzy. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z wyrzutami

⁶³ *czegom się wyuczył* – inaczej: czego się wyuczyłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

sumienia. Uważałem siebie za zbrodniarza.

Ściemniało się, zamknąłem okno, na którego krawędzi chłodziłem płonące czoło, wtem klucz we drzwiach zazgrzytał i panna Murdstone wniosła trochę chleba, mięsa i mleka. Nie rzekłszy słowa, patrząc na mnie z niezłomną surowością, postawiła jedzenie na stole, a odchodząc, znów zamknęła mnie na klucz.

Od dawna już ciemno było, a ja czekałem ciągle, czy też nikt więcej nie przyjdzie? Gdy się przekonałem, że nie, rozebrałem się i położyłem, a leżąc, gubiłem się w domysłach, co mnie dalej czeka. Może, myślałem, popełniłem zbrodnię, a w takim razie oddany zostanę policji, wtrącony do więzienia?! Kto wie, powieszony może?

Nigdy też nie zapomnę przebudzenia się nazajutrz. Obudziłem się zrazu wypoczęty i spokojny, ale wkrótce powróciły gorzkie wspomnienia, wyrzuty sumienia i niepokój. Zanim wstałem, zjawiła się panna Murdstone z oznajmieniem, że mogę zejść na pół godziny do ogrodu i zostawiła otwarte drzwi.

Zszedłem. Przez pięć dni (tyle bowiem czasu trwało moje uwięzienie) co dzień rano odbywałem tę przechadzkę. Gdybym dojrzał matkę moją, błagałbym na klęczkach o przebaczenie, lecz widywałem samą pannę Murdstone, a matkę tylko przy wieczornych pacierzach, na które mnie panna Murdstone sprowadzała z góry, a przy których trzymano mnie z dala, jak banitę, i zanim wszyscy obecni z klęczek powstali, odsyłano do mego więzienia pod strażą nieodstępnej panny Murdstone.

Zauważyłem, że mi wyznaczano miejsce najodleglejsze od miejsca zajmowanego przez moją matkę i że ta odwracała się ode mnie. Zauważyłem też, że ręka pana Murdstone była obwiązana.

Nie potrafię wyrazić, jak mi się te dni dłużyły w nieskończoność! Wydają mi się, gdy je wspominam, długie jak lata całe. Wsłuchiwałem się w odgłosy i szmery przepełniające dom; głos dzwonka, odmykania i skrzypienia drzwi, szmer głosów, kroki na schodach, każdy wybuch śmiechu, pogwizdywanie, śpiew na dziedzińcu, uderzenia zegara bardziej były niesamowite w mej samotności i poniżeniu. Zwłaszcza z wieczora, gdy przebudziwszy się, sądził, że to już ranek, a przekonywałem się, że nikt jeszcze w domu oprócz mnie nie kładł się spać i że mam przed sobą całą długą noc! Kto zliczy sny gorączkowe, przywidzenia, poranki, południa, wieczory, gdy z okna śledziłam zabawy moich rówieśników, drząc, by mnie z dala nie dostrzegli. Przecież musieli słyszeć o tym, co zaszło, o mym haniebnym uwięzieniu. Dziwne mi się wydawało, że nie słyszę dźwięku własnego głosu. Jedząc i pijąc, czułem się nieco weselszy, lecz to mijało prędko! Pamiętam pewien wieczór, monotonny plusk deszczu i rozlane w powietrzu wonie, które wzmagają się w przestrzeni pomiędzy mną a kościołem i ogarniający mnie mrok i strach, który zdejmował, i nieustające wyrzuty sumienia... Zdaje mi się, że trwało to nie dni, lecz lata całe, a wszystko to tak żywo zachowałem w pamięci.

Ostatniej nocy mego uwięzienia zbudziło mnie z cicha wymówione moje imię. Podniosłem się na posłaniu i, wyciągając

w ciemnościach ręce, zawołałem:

– Peggotty!

Nie było z początku odpowiedzi, usłyszałem tylko powtórnie moje imię, lecz wymówione głosem tak stłumionym i niezwykłym, że przeląkłbym się, gdybym się nie domyślił, że głos przechodzi przez dziurkę od klucza.

Podbiegłem do drzwi i, przytulając usta do klamki, spytałem z cicha:

– Tyś to, kochana Peggotty?

– Ja sama, drogi, złoty mój paniczu! Cicho, by nas nie podsłuchało to kocie ucho.

Domyśliłem się, że mowa o pannie Murdstone, której pokój przylegał do mego.

– Jak się czuje mama? – pytałem. – Czy bardzo się na mnie gniewa?

Słyszałem poza drzwiami ciche łkanie pocziwej Peggotty; dobra minęła chwila, zanim odpowiedziała:

– Nie, nie bardzo.

– Co też zamierzają począć ze mną? – pytałem. – Możesz słyszeć⁶⁴, kochana moja Peggotty?

– Szkoła w pobliżu Londynu – odrzekła.

Nie słyszałem zrazu, gdyż zamiast ucha miałem przyłożone do dziurki od klucza usta i czułem tylko ciepły oddech Peggotty.

– Kiedy?

⁶⁴ *możesz słyszeć* – inaczej: może słyszałaś (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

– Jutro.

– Dlatego panna Murdstone wyjęła dziś z szafy moje odzienie.

– Tak, i kuferek.

– A czy zobaczę mamę?

– Jutro rano.

Tu Peggotty, przytulając coraz bardziej usta do dziurki od klucza, mówiła urywanymi słowy, lecz pełnymi uczucia:

– Davy! Kochanie moje! Jeśli nie byłam w ostatnich czasach taką jak dawniej... to nie dlatego, abym cię mniej kochała... Owszem, moja rybeńko... Tylko sądziłam, że... z tym lepiej będzie. Tobie... i jeszcze komuś... Słyszysz mnie, Davy?

– Słyszę.

– Moje ty kochanie! Oto co chciałam powiedzieć... nie zapominaj o mnie, bo ja ciągle pamiętać będę o tobie, drogie moje dziecko!... Bądź spokojny, będę czuwać nad twą mamą... jak czuwałam nad tobą... nie opuszczę jej... bo może, widzisz, przyjsć chwila, w której stara, zła, brzydka, niegodziwa Peggotty będzie jej potrzebna. Napiszę do ciebie, kochanku, napiszę, chociaż nie jestem uczona i... i...

Tu zdaje mi się, że Peggotty, nie mogąc mnie ucałować, ucałowała kłamkę.

– Dziękuję ci, Peggotty, moja dobra, kochana Peggotty! Przynieś mi coś jeszcze, przynieś, że napiszesz do pana Peggotty, do Emilki, pani Gummidge i do Hama, że nie jestem tak zły, jak sądzą, i że kłaniam się im wszystkim, a najwięcej małej Emilce. Napiszesz?

Pocziwa Peggotty obiecała napisać i oboje całowaliśmy dzielące nas drzwi. Gładziłem je tak, jak gdybym gładził pocziwą, rumianą twarz mojej kochanej Peggotty. Tej nocy powstało w sercu mym dla niej uczucie, którego nie potrafię określić. Nie, nie mogła zastąpić mi matki, lecz zajęła w uczuciach moich jakieś puste miejsce i czułem, że ją kocham więcej i inaczej niż kogokolwiek. Nie wiem, co bym począł, gdybym ją stracił, i jak bym przeżył to nieszczęście.

Z rana zjawiała się jak zwykle panna Murdstone z oznajmieniem, że wyjeżdżam do szkół, co zresztą nie było już dla mnie, jak wiemy, nowością. Oznajmiła mi też, że mogę zejść. Na dole zastałem matkę moją bladą i z zaczerwienionymi oczyma. Rzuciwszy się jej na szyję, zacząłem ją przeproszać.

– O, Davy! – rzekła. – Jak mogłeś zranić kogoś, kogo kocham! Popraw się i proś Boga, abyś był lepszy. Przebaczam ci, lecz boleję nad twoimi złymi skłonnościami.

Wmówili w nią, że mam złe skłonności, i to martwiło ją bardziej niż rozstanie ze mną! Z trudnością przełykałem śniadanie, a łyżki spływały do mej herbaty. Chwilami czułem, że matka spogląda na mnie, lecz czyniła to ukradkiem, śpiesznie przenosiła wzrok ze mnie na nieodstępną pannę Murdstone lub odwracała w drugą stronę.

– Znosić kufer panicza – zakomenderowała panna Murdstone, gdy usłyszeliśmy turkot kół przy bramie.

Obejrzałem się za Peggotty. Nie było jej nigdzie, nie zjawił się też pan Murdstone. W drzwiach stał wózek ze znanym mi

woźnicą. Zniesiono mój kuferek do wózka i tam go umieszczono.

– Klaro! – upominała matkę moją panna Murdstone.

– Gotowa jestem, kochana Jane – odrzekła. – Do widzenia, Davy. Odjazd ten wyjdzie ci na dobre. Do widzenia, moje dziecię! Wrócisz do nas na wakacje, wrócisz lepszy, prawda?

– Klaro! – powtórzyła ostrzegająco panna Murdstone.

– Służę ci, kochana Jane – odrzekła, nie wypuszczając mnie z objęć. – Przebaczam ci, dziecko moje... kochanie... niech cię Bóg strzeże...

– Klaro! – powtórzyła panna Murdstone.

Panna Murdstone, z łaski swej, odprowadziła mnie do samego wózka, oświadczając, że sądzi, iż się poprawię, bo inaczej smutny mnie czeka koniec. Wsiadłem, woźnica popędził konia.

Rozdział V. Wysyłają mnie z domu

Odjechaliśmy może z pół mili i chustka moja do nosa zmoczone była już łzami, gdy nagle woźnica powstrzymał konia.

Obejrzałem się. Z krzaków wyskoczyła Peggotty i rzuciła się ku mnie. Porwała mnie w objęcia, przyciskając do piersi tak silnie, że aż nos mi się spłaszczył, co zauważyłem jednak później dopiero, gdy poczułem, że mnie boli. Nie mówiąc ani słowa, dostała⁶⁵ z kieszeni kilka paczek ciastek, a do ręki dała mi woreczek z pieniędzmi. Uścisnąwszy mnie raz jeszcze, lecz nie mówiąc, jak już wspomniałem, ani słowa, zeskoczyła

⁶⁵ dostać (daw.) – tu: sięgnąć i wyjąć; wydobyć. [przypis edytorski]

i odbiegła. Sądzę, że przy tej sposobności wszystkie guziki jej sukni popękały. Widziałem, jak się kilka toczyło po drodze, jeden zaś znalazłem w wózku i długo chowałem na pamiętkę.

Woźnica obejrzał się na mnie pytająco. Skłoniłem głowę.

– Jazda! – zawołał.

Wyplakawszy wszystkie łzy, zacząłem rozmyślać, że płacz nie na wiele się przyda, zwłaszcza że, o ile przypominam sobie, ani Roderick Random⁶⁶, ani żaden z kapitanów marynarki angielskiej, o których przygodach tyle się naczytałem, nie zwykli byli płakać⁶⁷, nawet w najtrudniejszych chwilach życia. Woźnica widząc, że ostatecznie łzy otarł, zaproponował mi powieszenie mokrej chustki do nosa, dla szybszego wyschnięcia, na grzbiecie konia. Podziękowałem mu i zgodziłem się, dziwiąc się tylko, że moja rozpostarta chustka jest tak niewielka.

Teraz miałem dość czasu i przytomności umysłu, aby się przypatrzeć woreczkowi. Był on sztywny, skórzany, z zameczkiem i zawierał trzy błyszczące szylingi, które Peggotty, ku wielkiemu memu zadowoleniu, wyczyściła zapewne do połysku. Były tam nadto dwie pół korony, zawinięte w papier,

⁶⁶ Roderick „Rory” Random – tytułowy bohater i narrator powieści przygodowej Tobiasza Smolletta (1721–1771), *The Adventures of Roderick Random*, (publ. 1748; pol. tł. B. Zieliński *Niezwykłe przygody Roderyka Randoma*, 1955); w burzliwym swym życiu Roderick m.in. kilkakrotnie zaciągał się do służby na statku. [przypis edytorski]

⁶⁷ *nie zwykli byli płakać* – daw. forma czasu zaprzeczonego dla czynności wielokrotnej, powtarzalnej; znaczenie: nie mieli w zwyczaju płakać niegdyś (tzn. przed czasami opisywanymi); dziś tylko: nie płakali. [przypis edytorski]

na którym matka moja skreśliła własnoręcznie: „Dla mego kochanego Davy”. Rozrzewniło to mnie tak dalece, że prosiłem woźnicę o zdjęcie mej chustki do nosa z grzbietu konia. Nie usłuchał mnie jednak, twierdząc, że zdrowiej będzie wytrzeć oczy rękawem i nie płakać więcej.

Łkałem gwałtownie czas jakiś na wspomnienie przeżytych wrażeń, w końcu, uspokoiwszy się, spytałem woźnicę, czy zawiezie mnie aż do celu podróży.

– Do celu: gdzie? – spytał.

– Tam! – odrzekłem.

– Gdzie „tam”?

– Pod Londyn.

– Koń by mi padł na połowie drogi.

– Więc zawieziesz mię tylko do Yarmouth?

– Coś na kształt tego, aż do dylizansu, a dylizans powiezie aż tam...

Jak na siebie, pan Barkis – tak się zwał woźnica – powiedział wiele, gdyż, jak już zauważyłem, był powolny i na ogół małomówny. Ofiarowałem mu uprzejmie ciastko, połknął je od razu niby słoń, bez najmniejszego wysiłku na twarzy.

– Czy to ona piekła?

– Pan ma zapewne na myśli Peggotty?

– Tak! – odrzekł mi na to.

– Tak, panie. To ona piecze nam ciasto i gotuje obiady.

– Piecze ciasto!

Wydał usta jak do gwizdania, nie zagwizdał jednak, tylko

się wpatrzył w uszy swego konia, jak gdyby je po raz pierwszy widział. Po długim milczeniu mruknął:

– Bez słodkich zalecanek, co?

– Słodkich potraw – poprawiłem, wyobrażając sobie, że mu slinka ciecze do ust na wspomnienie przysmaków.

– Zalecanek – powtórzył – tak, kawalerów. Nikt z nią nie spaceruje? Co?

– Z Peggotty?

– A! Z nią!

– O, nie. Nie miała nigdy narzeczonego.

Znów wzdął usta jak do gwizdania, lecz nie gwizdał, tylko jak poprzednio zapatrzył się w swego konia.

– Piecze więc – ozwał się po długim namyśle – ciastka z jabłkami i zajmuje się gotowaniem?

Potwierdziłem.

– Dobrze! Powiem coś paniczowi. Czy panicz będzie do niej pisywał?

– Na pewno będę – odrzekłem.

– A! – rzekł, odwracając się powoli ku mnie. – Pisząc, niech panicz nie zapomni dodać, że Barkis gotów. Dobrze?

– Gotów – pytałem – i nic więcej?

– Tak – rzekł zamyślony – tak, Barkis gotów.

– Ale pan wróci przecież jutro do Blunderstone – zauważyłem z żalem, że sam się oddalam – i może lepiej sam jej to powie.

Wstrząsnął przecząco głową i powtórzył: „Barkis gotów, oto wszystko”.

Spełniłem dane mi zlecenie i tego jeszcze popołudnia, czekając w gospodzie w Yarmouth na odejście dyliżansu, wystarałem się o atrament, pióro, ćwiartkę papieru i napisałem do Peggotty, co następuje:

Moja kochana Peggotty!

Dojechałem tu szczęśliwie. Barkis gotów. Ucałuj ode mnie mamę. Kochający cię

Davy.

P.S. Prosi, abym cię upewnił, że zawsze „gotów”.

Odkąd podjąłem się wypełnić jego zlecenie, woźnica zamilkł i ja też wkrótce usnąłem na wózku. Spałem smacznie aż do Yarmouth i obudziłem się na dziedzińcu gospody, zawiedziony w słabej nadziei ujżenia tam kogokolwiek z rodziny Peggotty, a zwłaszcza małej Emilki.

Dyliżans stał niezaprężony. Rozmyślałem, co się stanie z moim kuferkiem zdjętym z wózka Barkisa, jako też co pocznę z sobą w obcym i nieznanym miejscu, gdy przez okno, w którym wisiało ptactwo i półcie mięsa, wyjrzała jakaś kobieta.

– Czy to panicz jedzie z Blunderstone?

– Tak, pani.

– Nazwisko?

– Copperfield.

– Nie to, nie mamy zamówionego pod tym nazwiskiem obiadu.

– Może jest pod nazwiskiem Murdstone? – spytałem

nieśmiało.

– Ano tak. Czemu to, chłopcze, od razu nie mówisz swego nazwiska?

Wyjaśniłem rzecz tę kobiecie, która zadzwoniła na służącego, zalecając mu odprowadzić mnie do przeznaczonego mi pokoju.

Pokój ten był obszerny, podłużny, przybrany wiszącymi na ścianie mapami, wśród których czułem się, nie wiem, czy nie bardziej zbłąkany, niż gdybym był w tych odległych krainach, które przedstawiały. Trzymając przed sobą kapelusz, usiadłem na brzegu krzesła tuż przy drzwiach i zdawało mi się, że popełnił czyn bardzo zuchwały. Toteż musiałem zarumienić się po uszy, gdy służący rozesłał serwetę na stole, kładąc na niej parę sztućców. Po chwili przyniósł kotlety i nieco jarzyn i stawiał to na stole tak zamasyżście, że się bałem, czy go czymś nie obraziłem, i uspokoiłem się dopiero, gdy przemówił wesoło:

– Do stołu, panie wielkoludzie!

Podziękowałem mu uprzejmie, lecz nie umiałem sobie poradzić z widelcem i nożem, gdyż stojący przede mną lokaj onieśmielał mnie wielce. Rumieniłem się pod zwróconym na mnie jego spojrzeniem. Zaledwem połkną⁶⁸ kilka kąsków, odezwał się:

– Jest tu jeszcze piwo dla panicza, czy mam nalać?

– Proszę.

Nalał w sporą szklanę, a podnosząc naprzeciw światła,

⁶⁸ *zaledwem połknął* – inaczej: zaledwie połknąłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

roześmiał się.

– A czy nie za wiele to będzie?

– Zdaje mi się, że za wiele – odrzekłem z uśmiechem, zachwycony konceptami lokaja, który mrużąc oczy, z wypryszczoną twarzą i sterzącymi włosami, wyprostowany, jedną ręką ujął się pod bok, drugą podnosił wysoko kufel i spoglądał tak życzliwie.

– Wczoraj mieliśmy tu pewnego gościa – począł – Topsawyer miał na nazwisko, może panicz go zna?

– Nie przypominam sobie.

– W spodniach, kamaszach, palto szare, kapelusz o szerokich brzegach, w pstrym krawacie.

– Nie mam przyjemności – wybełkotałem.

– Przyszedł, kazał sobie podać kufel tego piwa – ciągnął lokaj.

– Nie ostrzegłem go, wypił i padł bez życia. Za mocne było dla niego.

Opowiadanie wywarło wrażenie. Poprosiłem o szklanę wody.

– Ale... to... – ciągnął lokaj – gospodarz nasz nie znosi, gdy mu odnoszą raz zamówione potrawy i trunki, obraża się. Wypiję tedy z pozwoleniem pańskim, mnie to nie zaszkodzi wcale, przyzwyczajony jestem, a przyzwyczajenie staje się drugą naturą, wychylę duszkiem, można?!

Upewniłem go, że bardzo będę wdzięczny, jeśli to uczyni, pod warunkiem, że mu ten trunek nie zaszkodzi. Zdjął mnie jednak strach niemały, gdy wychylał – duszkiem, jak mówił – kielich,

a w wyobraźni mojej żywo zarysowała się scena padającego bez życia pana Topsawyera. Uspokoilem się dopiero widząc, że na lokaja trunek nie wywarł żadnych widocznych skutków. Owszem, zdawało się, że go pokrzepił.

– A co tu mamy? – zawołał, sięgając widelcem do półmiska – kotlety?

– Kotlety – rzekłem.

– Na Boga! – wykrzyknął. – Nie miałem pojęcia, że to kotlety. Wyśmienity środek zapobiegający złym skutkom tego trunku! – Porwał kotlet za kostkę jedną ręką, a drugą ziemniaka, powtarzając tę czynność kilkakrotnie, i jadł z apetytem. Podając mi potem pudding, zdawał dumać nad czymś.

– Czy smakuje pieczone? – spytał.

– To jest pudding – odrzekłem.

– Pudding? A prawda! – zawołał, przypatrując się z bliska – ale chyba nie z bitej śmietany.

– Owszem, z bitej.

– A to szczęście! Jest to właśnie ulubiona moja potrawa – zawołał, porywając łyżkę – zobaczymy, kto z nas zje więcej.

Oczywiście, że zjadł więcej ode mnie, chociaż zabawił mnie ciągle rozmową i zachęcał do jedzenia, lecz czymże była moja łyżeczka w porównaniu z jego wielką łyżką, moje kęski w porównaniu z jego kęsami. Jadł z szalonym apetytem, śmiejąc się przy tym ciągle.

Widząc go tak przyjacielskim, ośmieliłem się poprosić o pióro, atrament i papier, aby napisać do Peggotty. Nie tylko

przyniósł mi to chętnie, ale czekał, nim list ów napiszę. Gdy skończyłem, spytał mnie, gdzie jadę do szkół.

– Gdzieś niedaleko Londynu – odpowiedziałem.

– Szkoda – rzekł zasmucony – szkoda.

– Czemu?

– Och! – westchnął, kręcąc głową. – To szkoła, gdzie łamią chłopcom żebra. Znałem jednego, co aż dwa miał zgruchotane, a małe to było dziecko. Nie przymierzając, ile lat paniczowi?

– Skończyłem osiem – odrzekłem.

– Właśnie jak tamten. Gdy miał osiem lat i sześć miesięcy, zgruchotali mu jedno żebro, a w dwa miesiące później – drugie.

Nie mogłem skryć przed sobą ani też przed lokajem wrażenia, jakie na mnie opowiadanie to wywarło, ani wstrzymać się od pytania, jak mu te żebra zgruchotano?

– Batami – brzmiała straszliwa odpowiedź, która bynajmniej⁶⁹ nie podniosła mnie na duchu.

Odgłos dzwonka dylizansu przerwał dalszą rozmowę. Wstałem i, sięgając do kieszonki, nie bez pewnej chępliwości z powodu posiadanej sakiewki, spytałem, jakając się, za co i ile mam zapłacić?

– Za ćwiartkę papieru – odrzekł lokaj i spytał zaraz, czy mi się zdarzyło kiedy kupować papier.

Nie przypomiąłem sobie.

– Kosztowny to artykuł – twierdził – zwłaszcza w pewnych okolicznościach. U nas cena ćwiartki równie trzy pensy.

⁶⁹ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Oto wszystko, nie licząc, oczywiście, fatygi. Atramentu, aha, atrament... no, niech moje przepadnie.

– Wiele mam... wiele się należy... za fatygę? – bełkotałem, rumieniać się po uszy.

– Gdybym nie miał rodziny – zawołał – i gdyby rodzina moja nie chorowała na ospę, nie wziąłbym i trzech groszy. Gdybym nie miał starego ojca i młodej siostry, nie wziąłbym i grosza, a gdybym był dobrze opłacany i karmiony, zamiast brać, sam jeszcze coś bym mógł ofiarować, lecz jadam czarny chleb i śpiam na węglach.

Rozpłakał się.

Współczułem jego niedoli, zdecydowałem, że nie mogę dać mu mniej niż dziewięć pensów. Podałem mu więc całego szylinga. Przyjął go z nieskończoną wdzięcznością i uniżonością, próbując przy tym jednak palcem dźwięku monety.

Wsiadając do dylizansu, czułem się upokorzony ciężącym na mnie posądzeniem, jakobym sam zjadł tak suty obiad. Ostrzegły mnie o tym słowa wyglądającej przez okno kobiety, która zleciła konduktorowi, by czuwał nad „chłopcem, żeby nie pękł”, jako też z żartów kuchennej dziewczki, która wybiegła przypatrzeć się mnie niby potworowi jakiemu. Lokaj nic a nic nie zawstydzony brał udział w ogólnym podziwianiu, co zachwiało nieco moje zaufanie, jakie żywiłem do dorosłych. Czułem całą niesprawiedliwość ciężącego na mnie posądzenia i bolesnych żartów, zamienianych pomiędzy konduktorem a woźnicą, gdy dylizans z trudem ruszył z miejsca. Wiadomość też o moim

fenomenalnym apetycie rozeszła się w mgnieniu oka między podróżnymi, którzy, śmiejąc się, zapytywali mnie, ile za mnie płacić będą w szkole, podwójną czy potrójną cenę. Najgorsze jednak było to, że czułem się głodny po lekkim obiedzie, a wstydziłem się jeść, kiedy się nadarzyła sposobność. Toteż cierpieć musiałem głód przez całą noc. Na dobitkę, w pośpiechu zapomniałem w gospodzie dane mi na drogę przez poczciwą Peggotty ciastka. Gdy dyliżans zatrzymał się na popasie⁷⁰, nie śmiałem się do wieczery, chociaż głód mi dokuczał dobrze. Usiadłem przed ogniem smutny, a dokoła żartowano ze mnie w najlepsze. Pan jakiś, czerwony i otyły, jedzący przez całą drogę i popijający bezustannie, zauważył ochryłym głosem, że jestem podobny do boa przeżuwającego jednorazową ucztę; powiedziawszy to, kazał podać sobie porcję wołowiny.

Wyjechaliśmy z Yarmouth o trzeciej po południu, a przybyliśmy do Londynu dopiero nazajutrz o ósmej rano. Było to pośród lata i wieczór był prześliczny. Przejeżdżając przez wioski, wyobrażałem sobie, jak wyglądają wnętrza domów i ich mieszkańcy, a gdy chłopcy biegli za nami, czepiając się kół dyliżansu, gubiłem się w domysłach, czy mają żyjących ojców i czy im dobrze w domu. Dużo też rozmyślałem o miejscu, ku któremu zmierzaliśmy, i strach mnie zdejmował wielki. Wracałem też od czasu do czasu wspomnieniem do domu, do

⁷⁰ *popas* – przerwa w podróży; odpoczynek dla koni pociągowych lub wierzchowych, podczas którego dostawały paszę lub pasły się na jakimś dostępnym terenie zielonym. [przypis edytorski]

Peggotty, a nieuspokojone sumienie stawiało mi pytanie, jaki byłem przed ukąszeniem pana Murdstone, a jaki jestem teraz? Zdawało mi się zresztą, że wypadek ten zdarzył się już dawno, bardzo dawno temu.

Noc w dylizansie mniej była przyjemna od wieczoru. Siedziałem pomiędzy dwoma podróżnymi – jednym z nich był ów otyły jegomość – którzy śpiąc przygniatali mnie tak bardzo, że chwilami nie mogłem powstrzymać się od łez i cichego: „przepraszam”, które, budząc sąsiadów moich, wprawiało ich w najgorszy humor. Naprzeciw mnie siedziała wiekowa dama otulona w futra, a w mroku podobna raczej do stogu siana niż do kobiety. Miała ona z sobą kosz, z którym nie mogła sobie poradzić, dopóki go nie ulokowała pod moimi, uznanymi przez nią za krótkie, nogami. Ugniatał on mnie i sprawiał największą niewygodę, a za każdym moim poruszeniem pobrzękiwały w koszu szkła jakieś, na co wiekowa dama, szturchając mnie w nogi, nazwała „wiercipiętą” i broniła mi ruszać się.

Na koniec słońce wstało i sen moich towarzyszy stał się lżejszy. Przez noc całą sapali i chrapali na wszystkie tony. Teraz kolejno zaczęli się budzić, a uderzyło mnie mianowicie to, że każdy utrzymywał, iż nie spał wcale, i gniewał się, gdy twierdzono przeciwnie. Później zauważyłem niejednokrotnie, że wśród licznych słabości ludzkich jest i słabość (do której, nie wiem dlaczego, ludzie przyznają się niechętnie) – spania w podróży.

Czym mi się Londyn wydał widziany z daleka i jak wierzyłem,

że wszelkie przygody moich bohaterów ulubionych nadal się tam odgrywają i powtarzają, o tym mówić nie będę. Zbliżaliśmy się doń stopniowo od strony dzielnicy Whitechapel⁷¹, gdzieśmy się zatrzymali.

Konduktor, wysiadając z dyliżansu, spojrzał na mnie i krzyknął głośno:

– Czy jest tu kto po małoletniego pasażera Murdstone, z miejscowości Blunderstone w Suffolk?

Nie było odpowiedzi.

– Spytaj pan: Copperfield – zauważyłem nieśmiało.

– Czy jest kto dla spotkania małoletniego zapisanego pod nazwiskiem Murdstone, z Blunderstone w Suffolk, który sam się mianuje Copperfieldem? – powtórzył donośnie konduktor.

Nie, nie było nikogo. Spoglądałem niespokojnie dokoła. Znalazł się tylko jakiś jednooki jegomość w kamaszach i ruszył konceptem, czy nie najstosowniej byłoby nałożyć mi naszyjnik z nazwiskiem i zaprowadzić do stajni. Przystawiono do dyliżansu

⁷¹ *Whitechapel* – uboga dzielnica Londynu w płn.-wsch. części miasta (East End), centralna ulica Whitechapel (nazwa od kapliczki pod wezwaniem Marii z Nazaretu) jest przedłużeniem drogi pamiętającej jeszcze czasy rzymskie i prowadzącej z Londynu przez Aldgate na wschód; w XVI w. dzielnica służyła z niewielkich zakładów rzemieślniczych i produkcyjnych (w jednej z tamtejszych odlewni powstał symbol stolicy, Big Ben), od XVII w. zaczął się upadek dzielnicy, która w wieku XVIII służyła z licznych domów publicznych, przestępczości, nędzy, powszechnego alkoholizmu, przeludnienia i wielkiej liczby bezdomnych; w epoce wiktoriańskiej Whitechapel uważana była za najniebezpieczniejszy obszar metropolii, na tym terenie doszło w latach 1888–1891 do 11 morderstw uznanych za dzieło tajemniczego seryjnego mordercy nazwanego Kubą Rozpruwaczem. [przypis edytorski]

drabinę, znalazłem się tuż za panią w futrach, podobną do kopy siana, oglądając się na jej kosz. Wkrótce dyliżans opustoszał, wyniesiono bagaże. Odprzęgnięto konie, odciągnięto dyliżans. Po zakurzonego pasażera z Blunderstone w Suffolk nikt się nie zgłaszał.

Bardziej osamotniony od Robinsona Crusoe, którego opuszczenie nie miało przynajmniej świadków, wszedłem do gospody i na zaproszenie urzędnika przysiadłem na wadze do ważenia bagaży. Tu, patrząc na paki, kosze, walizy, oddałem się niewesołym rozmyślaniom, a mianowicie, co pocznę, jeśli się nikt po mnie nie zgłosi? Jak mi tu długo pozwolą pozostać za siedem szylingów, które posiadam? Czy noc spędzę w składzie wraz z innymi bagażami, a z rana myć się będę na dziedzińcu pod pompą, czy też wyrzucą mnie stąd przed nocą i będę musiał czekać, aż z rana znowu otworzą stację dyliżansów. A kto wie, może to pan Murdstone ułożył tak dowcipnie plan pozbycia się mnie raz na zawsze. Jeśli pozwolą mi tu pozostać, dopóki istnieć będą moje pieniężne środki – myślałem – to może zatrzymają i dłużej, dopóki nie umrę z głodu. Narazi to wprawdzie urzędników dyliżansowej kompanii na kosztą pogrzebu, ale cóż robić. A gdybym tak spróbował wrócić pieszo do domu? Jak tu nie zabłądzić! A zwłaszcza czy mogę liczyć na czyjeś przyjazne przyjęcie... prócz Peggotty. Czy nie lepiej udać się wprost do władz i oświadczyć mą gotowość wstąpienia do służby wojskowej lub do marynarki? Tylko czy prośba tak drobnego chłopięcia zostanie uwzględniona?

Myśli te i tysiące innych, równie niewesołych, warem⁷² zlewały mi czoło, serce w piersiach drętwiało z niepokoju i nie wiem, jakby się to skończyło, gdyby nie wszedł jakiś nieznany jegomość. Porozmawiał chwilę z urzędnikiem, który zaraz potem zdjął mnie z wagi i oddał nowo przybyłemu, jak gdybym był zwykłym pakunkiem.

Wychodząc, spojrzałem na mego przewodnika, który trzymał mnie za rękę. Był to chudy, wyblakły młodzieniec z zapadłymi policzkami i włosami niemal tak czarnymi, jak pana Murdstone. Do tego się jednak ograniczało podobieństwo, gdyż brodę miał starannie ogoloną, a włosy nie lśniące, lecz zrudziałe i suche. Ubrany był też w czarną odzież spelzłą i wytartą, przykrótką i przyciasną, kołnierz zaś jego koszuli nie był pierwszorzędnej białości. Nie przypuszczałam wprawdzie, by się na tym kołnierzyku kończyła jego bielizna, był to wszelako jedyny widoczny ślad takowej.

– Jesteś naszym nowym uczniem? – spytał.

– Tak, panie – odrzekłem, chociaż nie byłem tego zupełnie pewny.

– Jestem jednym z nauczycieli z Salem House – rzekł.

Ukloniłem się mu z uszanowaniem i tak dalece wydało mi się niestosownym wspominać o moim kuferku przed uczonym nauczycielem z Salem House, żeśmy odeszli spory kawał drogi, zanim ośmieliłem się napomknąć coś o tym. Na mą nieśmiałą uwagę, że kuferek może mi być potrzebny, wróciliśmy

⁷² war – wrzątek; por. warzyć: gotować. [przypis edytorski]

z powrotem. Pan nauczyciel oświadczył urzędnikowi, że po kuferek przyjdą w południe.

– Proszę pana – rzekłem, gdyśmy znów uszli spory kawał drogi – czy Salem House daleko?

– Tam za Blackheath – odrzekł.

– Czy to daleko? – spytałem raz jeszcze.

– Kawał drogi, będzie mil ze sześć, pojedziemy dyliżansem.

Byłem tak zmęczony i osłabiony, że sama myśl zrobienia jeszcze sześciu mil drogi przerażała mnie. Ośmieliłem się wyznać, że nie miałem nic w ustach od dnia wczorajszego i że bardzo byłbym wdzięczny, jeśli mi pozwolił coś gdzieś przekąsić. Propozycja moja zdziwiła go widocznie, gdyż przystanąwszy wpatrzył się we mnie bacznie i dopiero po chwili powiedział, że zna pewną staruszkę mieszkającą w pobliżu i że najlepiej będzie wstąpić do niej na szklanekę mleka i kupić trochę chleba lub coś podobnego, byle coś zdrowego.

Zaszliśmy do kramu piekarza, gdzie mnie nęciły różne przysmaki, na kupno których nauczyciel nie chciał pozwolić. Skończyło się na porcji czarnego chleba, za którą zapłaciłem trzy pensy. W drugim sklepiku kupiliśmy jajko i kawał żyłastej szynki, wyciągnąłem drugiego z mych lśniących szylingów, a po otrzymaniu sporej reszty podziwiałem taniość życia w Londynie. Tymczasem weszliśmy w ulice pełne gwaru i hałasu i doszliśmy do wielkiego mostu, którego nazwę mi nauczyciel powiedział, lecz byłem odurzony i na wpół senny. Wreszcie stanęliśmy przed nędznym domostwem – przytułkiem dla ubogich, jak się o tym

dowiedziałem z napisu umieszczonego nad bramą. Przytułek ów był założony dla dwudziestu pięciu ubogich kobiet, jak brzmiał napis.

Nauczyciel nacisnął klamkę drzwi pomalowanych na czarno i weszliśmy do izdebki jednej z owych dwudziestu pięciu ubogich kobiet, która właśnie rozniecała ogień na kominku. Na widok nauczyciela staruszka opuściła miech, mrużąc coś jak „mój Karolku”, lecz dostrzegłszy mnie, zamilkła i spiesznie pochyliła się w ukłonie.

– Prosiłbym o ugotowanie śniadania temu młodzieńcowi – ozwał się nauczyciel.

– Zapewne, natychmiast – odrzekła staruszka.

– Jak zdrowie pani Fibbitson? – pytał nauczyciel, spoglądając na drugą kobietę, otuloną szalami i siedzącą w głębokim fotelu przy kominku.

– O! Źle, bardzo źle – utyskiwała staruszka. – Pewna jestem, że gdyby ogień zagaśł, zgaśłaby też niebawem.

Oboje patrzyli na nią i ja za nimi. Chociaż dzień był gorący, pani Fibbitson myślała widocznie tylko o ogniu i zdawała się zazdrościć stojącemu na nim rondelkowi. Zrozumiała zapewne, że jajko gotujące się w nim było moją własnością, gdyż korzystając z odwróconej uwagi nauczyciela i staruszki wyciągnęła ku mnie wskazujący palec. Słońce wpadało wprawdzie przez okno, lecz, odwrócona do niego plecami, wpatrywała się tylko w kominek i roześmiała się

głośno, chociaż bynajmniej⁷³ nie melodyjnie, gdy podsycany ogień wybuchnął żywiej.

Usiadłem do mych jaj, chleba, szynki i mleka i zajadałem w najlepsze, a tymczasem staruszka ozwała się do nauczyciela:

– Czy flet przyniesiony?

– Przyniesiony – odrzekł.

– Warto by spróbować – zauważyła staruszka.

Nauczyciel sięgnął ręką za surdut i wydobył flet w trzech częściach, które natychmiast złożył. Teraz jeszcze myślę, że nikt chyba na świecie nie grał gorzej od niego. Z fletu wydobywał najostrejsze tony, jakie kiedykolwiek słyszałem. Nie wiem już, co grał, wiem tylko, że muzyka ta rozbudziła wszystkie moje zale i do łez pobudziła, odjęła mi apetyt i w końcu mnie uśpiła. Oczy mi się kleiły, kiwałem się tam i z powrotem na krzesła i pomału izdebka, komin, otwarta w kącie szafa, nieliczne twarde krzesła, schody wiodące do izdebki na poddaszu i trzy pawie pióra zatknięte nad kominkiem (podziwiałem je zrazu, pytając siebie, co paw myślałby, gdyby wiedział, do czego służyć będą jego ozdoby) – wszystko to znikło mi z oczu – zasnąłem. Nie słyszałem też fletu, a natomiast śniło mi się, że jestem w dylizansie, którego targnięcie zbudziło mnie nagle. Otworzyłem szeroko oczy. Nauczyciel siedział z założonymi jedna na drugą nogami i grał spokojnie, a obie staruszki słuchały jak w zachwyceniu. I to mi wkrótce znikło z oczu, flet, nauczyciel, staruszki, Salem House, sam nawet Dawid

⁷³ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Copperfield, wszystko to zmazał głęboki sen.

Śniło mi się (myślałem, że to sen), że nauczyciel przygrywał na flecie, a staruszka w zachwycie zbliżała się do niego coraz bardziej, pochylała się nad nim coraz bliżej, aż ujęła go za szyję i ucałowała, co naturalnie przerwało grę. Musiałem pozostawać między snem a czuwaniem, gdyż istotnie nastąpiła przerwa w grze nauczyciela, a kiedy począł znów dąć w flet, słyszałem wyraźnie staruszkę mówiącą do pani Fibbitson: „A co? Przecudnie”, na co ta ostatnia odpowiedziała: „Oj, tak, tak”, kiwając zwróconą do ognia głową.

Z drzemki wyrwał mnie ostatecznie nauczyciel, który, złożony i schowawszy flet za surdut, wywiódł⁷⁴ mnie z izdebki. Wkrótce wsiedliśmy do omnibusu, gdzie zasnąłem znowu, mając niejasne pojęcie o drodze wśród pól zielonych, którąśmy jechali⁷⁵. Zbudziłem się dopiero, gdy omnibus zatrzymał się w pobliżu, jak się domyślałem, celu naszej podróży. Po przejściu kilkuset kroków stanęliśmy przed zakładem Salem House. Ponury ten budynek otoczony był murem z cegły, a nad wejściem widniała tablica z napisem „Salem House”.

Za uderzeniem dzwonka ukazała się w zakratowanym okienku głowa, która przy otwarciu drzwi okazała się własnością silnego mężczyzny, z szyją buhaja, drewnianą nogą, obwiązany czołem i krótko przystrzyżonymi włosami.

⁷⁴ *wywieść* (daw.) – wyprowadzić. [przypis edytorski]

⁷⁵ *którąśmy jechali* – inaczej: którą jechaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

– Nowy uczeń – rzekł nauczyciel.

Mężczyzna na szczudle obejrzał mnie, co mu wiele czasu nie zabrało, wpuścił nas, po czym zamknął bramę i wyciągnął klucz. Szliśmy już pomiędzy drzewami, gdy krzyknął za nami:

– Stój!

Zatrzymaliśmy się. Stał z parą butów w ręku na progu zamieszkiwanej przezeń izdebki przy bramie.

– W czasie nieobecności pańskiej, panie Mell – wołał – przychodził tu ten partacz i kazał powiedzieć panu, że nie może już ich załatać. Nie ma tu już ani kawałka dawnej skóry.

Mówiąc to rzucił buty za panem Mell, który cofnął się o kilka kroków dla podjęcia obuwia, po czym zaczął bacznie przypatrywać się butom. Zauważyłem przy tym, że i te, które miał na nogach, wyglądały niewiele lepiej.

Salem House był to budynek ciężki, kwadratowy, ze skrzydłami, wygląd miał pusty i ogołocony. Panowała tu taka cisza, że m spytał pana Mell, czy uczniowie są w szkole. Odpowiedział mi ze zdziwieniem, że jest to czas wakacji i że uczniowie rozjechali się do swych domów. Pan Creakle zaś, właściciel i przełożony szkoły, bawi z żoną i córką nad morzem, mnie przysłano tu w czasie wakacji za karę. Wszystko to objaśnił mi, wiodąc do głównego budynku.

Klasa, do której weszliśmy, wydała mi się niezmiernie smutna i ponura. Była to wielka, długa sala z trzema rzędami ławek i pulpitów, z hakami do wieszania kapeluszy i tabliczek. Na brudnej podłodze wały się skrawki papieru, a na stołach

papierowe domki dla jedwabników. Parę białych myszek, opuszczonych przez swych właścicieli, biegało w klatkach z drutu i tektury, próżno szukając pożywienia. Ptaszek zamknięty w niewiele od siebie większej klatce trzepotał gwałtownie skrzydłami, wskakując i zeskakując z pręcika, nie śpiewał jednak wcale. W sali tej czuć było zapach stęchlizny, kurzu i zbutwiałych książek; tyle było zaś tu śladów po atramencie, jak gdyby sala nie posiadała sufitu i dachu, a niebiosa zamiast deszczu, gradu, śniegu zsyłały tu atramentowe ulewy.

Oglądałem to wszystko, pozostawiony w klasie przez pana Mell, który poszedł zanieść na górę swe niepołatanе obuwie. Rozglądając się, dostrzegłem tekturową tabliczkę ozdobioną doskonałym kaligraficznym napisem: „Bacność, kąsa!”.

Odkoczyłem wyobrażając sobie, że pod stołem siedzi wściekłe jakieś psisko. Nie mogąc jednak dojrzeć go, gubiłem się w domysłach, gdy nadszedł pan Mell, pytając mnie, co porabiam.

– Szukam tego psa – odrzekłem.

– Psa? Jakiego psa?

– A tego.

– Jakiego?

– Którego trzeba się strzec, bo kąsa.

– Mylisz się, Copperfieldzie – rzekł pan Mell z powagą – to nie jest pies, tylko chłopczyk. Zlecono mi właśnie zawiesić ci na plecach tę tabliczkę. Przykro mi jest ogromnie, lecz muszę

zlecenia dokonać⁷⁶.

Mówiąc to, zawiesił mi na plecach ową tabliczkę, którą odtąd wszędzie musiałem za sobą dźwigać. Jak upokorzony się czułem, ile cierpiałem, nie potrafię wyrazić. Czy byłem czy nie na oczach ludzkich, ciągle wyobrażałam sobie, że ktoś czyta ów napis, i próżno obracałem się niespokojny na wszystkie strony – uciec od prześladowającej mnie zmory nie mogłem, ów pedel⁷⁷ czy stróż na szcudle powiększał jeszcze mą niedolę, gdyż jeśli tylko oparłem się o drzewo, o ścianę, wyskakiwał ze swej nory przy bramie, wołając:

– Panie! Hola! Copperfield, proszę się nie kryć, bo doniosę.

Ogród był zresztą otwarty, wychodziły nań tyły domu i budynki gospodarskie, wiedziałem, że służący, kucharka, piekarz, zgoła każdy, kto wchodził na teren szkoły, czytał wiszące na mym karku ostrzeżenie i dowiadywał się, że kąsam. Nabierałem wstrętu do samego siebie. Stawałem się istotnie na poły dzikim, zdolnym kąsać dzieckiem.

Na bramie ogrodowej uczniowie mieli widać zwyczaj wyrzynania i wypisywania swoich nazwisk. Czytając je, drżałem na samą myśl o powrocie z wakacji przyszłych mych kolegów, powtarzając sobie za każdym nowym nazwiskiem: „I ten przeczyta: Baczość, kąsa!”. Było zwłaszcza kilkakrotnie i głębiej od innych wyryte nazwisko niejakiego J. Steerfortha.

⁷⁶ *zlecenia dokonać* – dziś raczej: wykonać zlecenie. [przypis edytorski]

⁷⁷ *pedel* (daw.; z niem. *Pedell*) – woźny (szczególnie w różnego rodzaju szkołach i zakładach naukowych). [przypis edytorski]

Wyobrażałem sobie, jak grubym przeczyta to głosem i jak mnie potem wytarga za włosy. Znów niejaki Tom Traddles, pewien byłem, iż będzie się natrząsał, udając, że się mnie boi, a J. Demple wyśpiewa to na wszystkie tony. Widziałem siebie: biedną, drobną istotkę, chłostaną wzrokiem i śmiechem wszystkich tych chłopaków – pan Mell mówił mi, że było ich w szkole aż czterdziestu pięciu – gonioną precz do więzienia, z wrzaskiem jednobrzmianym⁷⁸: „Baczność, kasa!”.

Podobne niepokoje i męki budził we mnie widok pustych ławek, pulpity i pustych sypialni. We dnie i w nocy nie miałem spokoju. Śniło mi się czasem, że jestem z moją matką lub że się udaję do pana Peggotty, spotykam Emilkę, jadę dylizansem, jem obiad w towarzystwie kelnera w gospodzie, lecz zawsze, zawsze kończyło się na tym, że każdy z nich cofał się, spostrzegłszy wywieszony na mych plecach napis.

Samotność, na jaką byłem skazany w pustej w czasie wakacyjnym szkole, zdwajała jeszcze te tortury. Codziennie przy tym miewałem lekcje z panem Mell. Szły mi dobrze, gdyż nie było przy mnie pana i panny Murdstone. Po lekcjach przechadzałem się po ogrodzie, strzeżony przez stróża z drewnianą nogą. Jak dobrze pamiętam wilgoć pustego domostwa, zapleśniałe kamienie dziedzińca, studnię, bladą zieleń rzadkich drzew tak wyblakłą, że zdawała się być skąpana w rześystszych niż gdziekolwiek indziej dżdżach,

⁷⁸ *jednobrzmianny* (neol.) – mający jedno, to samo brzmienie; jednogłosny. [przypis edytorski]

niedotkniętą żadnym, bodaj nikłym promieniem słońca. Punktualnie o pierwszej siadaliśmy we dwóch z panem Mell do stołu w ogromnej, pustej komnacie, przepojonej zapachem tłuszczu. Po obiedzie odbywaliśmy lekcje aż do herbaty, którą o szóstej pan Mell pijał w błękitnej fajansowej filiżance, ja zaś w kubku. Przez dzień cały pan Mell, siedząc za stołem, pracował nad rachunkami, jak się potem dowiedziałem, z minionego półrocza. Wieczorem grywał na flecie z zapałem i jak zwykle fałszywie.

We wspomnieniach widzę moją drobną postać siedzącą w mrocznej sali, z głową opartą na rękę, nad kajetem lub książką – zasłuchaną w muzykę pana Mell. Po lekcjach widzę znów siebie jako cierpliwego słuchacza jego muzykalnych popisów, marzącego jednocześnie smętnie o domu, matce lub o łodzi pana Peggotty w Yarmouth. Widzę puste sypialnie i drobną mą osobę płaczącą cicho w łóżku z tęsknoty za pieszczotą i ciepłym słówkiem Peggotty. Z rana, spoglądając przez otwarte okno na dzwon wiszący u bramy i na chorągiewkę na dachu kręcącą się w kierunku wiatru, drżałem na myśl, że wśród pustych ścian zjawi się J. Steerforth z towarzyszami i stróż na szczudle otworzy wrota samemu panu Creakle. Bałem się nie tych nieznanomych, lecz wiszącej na mych plecach tabliczki, którą nieznanymi ci zaraz na wstępie przeczytać mieli.

Pan Mell był małomówny, lecz łagodnie się ze mną obchodził. W milczeniu dotrzymywaliśmy sobie wzajemnie towarzystwa. Zapomniałem zanotować, że były chwile, w których ten

małomówny człowiek mówił sam do siebie, mruzczał, zaciskał pięści, zgrzytał zębami i targał się za włosy. Lękałem się tego z początku, wkrótce jednak przywykłem do jego dziwactw.

Rozdział VI. Rozszerzam koło mych znajomości

Od miesiąca wiodłem mniej więcej podobną egzystencję, gdy stróż o szczydle zaczął się uwijać ze szczotką, ścierkami i wodą po całym domostwie, co niewątpliwie zwiastowało bliskie zjawienie się pana Creakle i uczniów. Mieściliśmy się z panem Mell, jak mogliśmy, po kątach, zmykając przed szczotką, wodą, dwoma czy trzema kobietami szorującymi podłogi, ławki, stoły i tumanami kurzu przepelniającymi Salem House.

Pewnego poranku pan Mell oznajmił mi, że pan Creakle oczekiwany jest tegoż dnia; istotnie przybył pod wieczór, a po podwieczorku stróż na szczydle zawezwał mnie do niego.

Część domu, którą wraz z rodziną swą zamieszkiwał, była o wiele wygodniejsza i wytworniejsza od przeznaczonej dla uczniów. Ogródek, na który wychodziły okna jego mieszkania, nie był tak pusty i opuszczony, jak nasz dziedziniec, gdzie wielbłąd lub dromader w miniaturze czuliby się jak w domu. Dziwię się zresztą, że przechodząc zdołał jednak zauważyć to wszystko, gdy sama myśl o stawieniu się przed obliczem pana Creakle napelniała mnie takim strachem, że wprowadzony do jego gabinetu nie spostrzegłem obecnych tam pani ani panny

Creakle, tylko samego pana, tęgiego mężczyznę z niezliczoną ilością breloków przy łańcuchu od zegarka, siedzącego w fotelu przy stole, na którym stał kielich i butelka.

– Hm – mruknął – to jest ten młodzieniec, którego ząbki mają być przypiłowane. Proszę go odwrócić.

Stróż obrócił mnie, a zostawiwszy panu Creakle dość czasu na przeczytanie gniotącego mi barki napisu, obrócił mnie znów twarzą do pana Creakle. Właściciel Salem House miał dumny wyraz twarzy, oczy małe i głęboko osadzone, czoło pomarszczone, nos nieduży, potężny kark, łysy był przy tym, jeśli nie liczyć pasma szpakowatych włosów szesanych na skronie. Najbardziej jednak uderzyło mnie to, że zdawał się być pozbawionym głosu; mówił cicho, z widocznym wysiłkiem. Musiało go to gniewać, gdyż czoło mu się przy lada ust poruszeniu marszczyło jeszcze bardziej.

– Coście w nim zauważyli? – spytał stróża, wskazując na mnie.

– Dotąd nic szczególnego – odrzekł zagadniony⁷⁹ – nie było sposobności. – Nie podobało się to widocznie panu Creakle, lecz natomiast musiało się podobać pani i pannie Creakle, obu szczupłym kobietom, na które ośmieliłem się podnieść swój wzrok.

– Bliżej, chłopcze – skinął na mnie pan Creakle.

– Bliżej – zakomenderował człowiek o drewnianej nodze.

– Mam zaszczyt – biorąc mię za ucho, mówił pan Creakle – znać twego ojczyma. Człowiek to wielce zacny, obdarzony

⁷⁹ zagadniony (daw. forma) – dziś: zagadnięty. [przypis edytorski]

niepospolitym hartem duszy. Znamy się z sobą dobrze; a czy ty znasz mnie? – i uszczypnął mnie żartobliwie, lecz boleśnie w ucho.

– Jeszcze nie, panie – wyjąkałem.

– Jeszcze nie! Ha! Poznamy się prędko.

– Prędko – powtórzył pedel, który, jak się przekonałem potem, był pośrednikiem pomiędzy panem Creakle i uczniami.

Umierając ze strachu i czując, jak mię pali ustawicznie przez pana Creakle targane ucho, zapewniałem, że nie wątpię, iż się poznamy.

– Powiem ci od razu, kim jestem – ciągnął, puszczając wreszcie moje ucho. – Jestem Rzymianinem.

– Rzymianinem – potwierdził kulawy pedel.

– Słowa dotrzymuję, a kiedy raz coś powiem, to już musi być to co do joty⁸⁰ spełnione.

– Musi być wypełnione...

– Woli mojej nikt nie śmie się sprzeciwić. Obowiązek przede wszystkim, przede wszystkim. Wyrzeknę się – tu spojrzął na żonę – własnej krwi, jeśli by mi się śmiała sprzeciwiać.

Tu zwrócił się do pedla z pytaniem:

– Czy był z powrotem ten chłopak?

– Nie był.

– Nie był, wie, z kim ma do czynienia, przeczuł. Niech mi się

⁸⁰ *co do joty* – z największą dokładnością, w najdrobniejszych szczegółach; jota to jedna z liter alfabetu gr., mająca w istocie postać niewielkiej kreseczki: ι. [przypis edytorski]

nie nawija pod rękę – tu spojrział znów na żonę – bo mu się dam we znaki. Teraz wiesz już, mój mały, z kim masz do czynienia, możesz odejść.

Ucieszyło mnie to pozwolenie, tym bardziej że pani i panna Creakle ocierały łzy, co budziło me współczucie. Miałem jednak pewną prośbę, toteż ośmieliłem się przemówić.

– Panie...

Odwrócił się, spojrział piorunująco.

– Panie – mówiłem, drżąc cały – gdyby tak można było i zanim uczniowie zjadą się, zdjąć mi z pleców ten... ten... zapewniam pana, że żałuję... że się poprawię... poprawiłem...

Czy to w pośpiechu, czy po to, aby mnie przestraszyć, pan Creakle porwał się z fotela tak, że nie czekając skutku mej prośby i wyprzedziwszy pedla, drapnąłem aż do sypialni, gdzie, nie doczekawszy się pogoni, położyłem się, lecz minęło dobre dwie godziny, zanim się uspokoiłem i zdołałem zasnąć.

Nazajutrz rano zjawił się pan Sharp, starszy nauczyciel, którego tylko pomocnikiem był pan Mell. Ten ostatni jadał z uczniami, podczas gdy tamten dopuszczony był do stołu samego pryncypała. Pamiętam go jako małego, szczupłego człowieka, z wielkim nosem i przechyloną na jedno ramię głową, co robiło wrażenie, jak gdyby mu ona ciążyła. Włosy miał miękkie i kędzierzawe. Z czasem dowiedziałem się od jednego z kolegów, że była to peruczka, licha zresztą, którą co niedziela kazał fryzować.

Informacji tych udzielił mi Tommy Traddles, który pierwszy

powrócił z wakacji. Przedstawił mi się jako ten, którego imię wyryte stoi na bramie ogrodu po prawej stronie, pierwsze z góry – na co powiedziałem mu: „Traddles!” i znajomość została zawiązana. Było to dla mnie prawdziwym szczęściem, że się pierwszy zjawił w szkole. Wywieszony na mych plecach napis zabawił go nieskończenie, toteż oszczędził mi wstydliwego krycia się uprzedzając każdego z przybywających towarzyszy, że jest nowy „figiel”. Wszyscy zresztą, wracając z wakacji do szkoły, byli bez humoru i o wiele mniej skłonni do natrząsania się ze mnie, niż się tego spodziewałem. Niektórzy wprawdzie otaczali mnie kołem, skacząc i wyjąc niby banda dzikich Indian, podczas gdy inni, nie mogąc się oprzeć pokusie traktowania mnie jak psa, wołali: „Pójdź, Towzer⁸¹, do nogi”, co mnie bolało wprawdzie, ale na ogół jednak cała sprawa w rzeczywistości nie była tak straszna, jak przewidywałem. Jednakże aż do przyjazdu

⁸¹ *Towzer* – zwyczajowo imię dla psa o wyjątkowo zadziornej (a. dokuczliwej) naturze; przydomek ten zyskał sobie sir Roger L'Estrange (1616–1704), rojalista, dziennikarz i pamflecista zaangażowany po stronie torysów, nadzorca prasy i cenzor za rządów Karola II (1660–1685): jego kukłę 17 listopada 1680 r. spalił londyński tłum, nadając mu przydomek „the Dog Towzer”, co anonimowa broszura *Strange's Case, Strang[e]ly Altered* wyjaśniała następująco: „zna tysiąc psich sztuczek, mianowicie jak aportować dla papistów, nosić dla protestantów, skomleć dla króla, tańczyć do skrzypiec Nolla [Cromwella], łaścić się do dworzan, skakać do ich przysmaczków, machać ogonem na wszystkie suki, gubić trop prowadzący do spisku [papistów], wylizać do czysta dowody i skulić się przed krucyfiksem, ale nade wszystko zna cholernie stary trik jak wysliznąć się z postronka”; w spokojniejszych politycznie czasach i w innym obszarze geograficznym pies Towzer pojawiał się jako bohater powieści detektywistycznych Mary Heleny Fortune (1833–1911), np. *Towzer's Teeth*, 1891. [przypis edytorski]

J. Steerforth nie zostałem wtajemniczony i wciągnięty do bractwa koleżeńskiego. Gdy przybyła ta przystojna, zdolna, jak mówiono, i o pół tuzina lat starsza ode mnie osobistość, stawić się przed nim musiałem jak przed sędzią. Rozpytywał mnie o wszystkie szczegóły wypadku, którego widoczne następstwa dźwigałem na plecach, a wybadawszy mnie należycie raczył oświadczyć, że była to „dobra sztuka”, za co mu nieskończenie byłem wdzięczny.

– Wiele⁸² masz pieniędzy? – zaczął, biorąc mnie pod swą opiekę i spacerując ze mną po dziedzińcu.

Powiedziałem mu, że mam aż siedem szylingów.

– Oddałbyś je mnie na schowanie – zdecydował – naturalnie, jeśli ci się to podoba, jeśli nie, możesz sam je sobie schować.

Naturalnie przystałem na tę uprzejmą i przyjacielską propozycję, wręczając mu całą zawartość danego mi przez Peggotty woreczka.

– Czy chciałbyś kupić coś teraz? – spytał.

– Nie, dziękuję! – odpowiedziałem.

– Jeśli ci czego potrzeba, piśnij tylko słówko.

– Nie, dziękuję panu.

– Może byś chciał wydać parę szylingów na buteleczkę wina porzeczkowego, którą wysuszylibyśmy w sypialni – i dodał – Będziemy, słyszę, sypiać w tym samym pokoju.

Nie pomyślałem o tym przedtem, zgodziłem się więc chętnie na propozycję.

⁸² *wiele* (daw.) – ile. [przypis edytorski]

– Wybornie! A czy nie warto by kupić i nieco ciastek z migdałami?

Zgodziłem się i na to.

– Trochę sucharków i owoców także. Wyniesie to też parę szylingów. Co ty, mały, na to?

Uśmiechałem się, gdyż i Steerforth się uśmiechał. Czułem się jednak jakoś nieswojo.

– Wybornie! – zawołał. – Musimy cię naciągnąć, ile się da. Licz na mnie. Mogę wychodzić, ile mi się podoba, i podejmuję się dostarczyć żywność do fortecy.

Mówiąc to, schował moje pieniądze do własnej kieszeni, uspokajając, że wszystko dobrze pójdzie.

Dotrzymał słowa. Wyrzucałem sobie wprawdzie, że trwonię dane mi przez matkę pieniądze, ale pocieszałem się, że przynajmniej schował kawałek papieru, w który były zawinięte. Gdyśmy się wieczorem zeszli w sypialni, Steerforth rozłożył na mej kołdrze, w świetle księżycowych promieni, całą ucztę, którą nazwał „królewską”.

Nie czując się na siłach, by czynić honory, prosiłem go, aby uczynił to za mnie, na co raczył się łaskawie zgodzić i siedząc na moich poduszkach, rozdzielał żywność i wino małym, będącym jego własnością kieliszkiem. Co do mnie, siedziałem po lewej jego stronie, inni zaś chłopcy posiadali, jak mogli, na ziemi i pobliskich łózkach.

Jakże żywo pamiętam tę noc, ciche nasze szepty (prawdę mówiąc, inni mówili, ja słuchałem), promień księżycyca

wpadający przez okno i oświetlający część pokoju, gdy całość nurzała się w cieniu, od czasu do czasu rozświetlonym fosforycznym światłem zapalki, kiedy Steerforth szukał czegoś dokoła siebie. Ogarnia mnie na powrót tajemniczy nastrój na wspomnienie owych ciemności, uczyły spożywanej ukradkiem, rozmów szeptem, których słuchałem, jakby to było coś uroczystego, i uczucia radości, że mam tuż obok siebie towarzyszy, lęku (choć wtórowałem ogólnemu śmiechowi), gdy Traddles utrzymywał, że dostrzegł w kącie stracha.

Dowiedziałem się przy tej sposobności tysiąca szczegółów dotyczących szkoły. Dowiedziałem się, że pan Creakle słusznie nazywa siebie „Rzymianinem”; był to najsroższy z przełożonych i na kształt kartacza rozbijał uczniów. Był zresztą nieukiem, umiejącym tylko bić (jak utrzymywał Steerforth); hodowcą chmielu, który dopiero po zbankrutowaniu na tym chmielowym interesie i po roztrwonieniu funduszu żony umyślił otworzyć szkołę. Nasłuchałem się wielu takich i tym podobnych rzeczy, dziwiąc się tylko, skąd o tym wszystkim towarzysze moi tak dokładnie mogli wiedzieć.

Dowiedziałem się, że pedel na szczudle, który nazywał się Tungay, był barbarzyńcą dopomagającym niegdyś panu Creakle w jego chmielowych sprawach, uważanym przez uczniów za zaprzedaną mu duszę. Nogę stracił, zapewne służąc przełożonemu w nieczystych jakichś sprawach, i znał tajemnice życia pana Creakle. Z wyjątkiem tego ostatniego Tungay uważał szkołę całą, uczniów i nauczycieli za naturalnych swych wrogów

i najmilszą jego rozrywką było płatanie im figli. Dowiedziałem się, że pan Creakle ma syna jedynaka, który, że nie należał do liczby przyjaciół pedla, a ojcu odważył się stawić opór i robić uwagi z powodu zbyt srogiego obchodzenia się tak z uczniami, jak i z żoną, został wypędzony z rodzicielskiego domu, co było przyczyną ustawicznego smutku jego matki i siostry.

Lecz w tym wszystkim, co mi o przełożonym opowiadano, najbardziej zdziwiło mnie to, że był w szkole ktoś, nad kim nigdy nie zaciężyła jego prawica. Tym wyjątkiem był nikt inny tylko Steerforth. Ten ostatni potwierdził ów zdumiewający fakt, dodając, że tego by tylko brakowało. Gdy któryś z mniej dziarskich malców spytał go, co by jednak w danym razie począł, to oświadczył, zapalając, dla silniejszego zapewne efektu, zapałkę, że położyłby przełożonego na miejscu uderzeniem wielkiego kałamarza stojącego w klasie na kominku. Wstrzymując dech w piersiach, siedzieliśmy czas jakiś w ciemnościach.

Dowiedziałem się, że tak pan Sharp, jak pan Mell nędznie byli wynagradzani, a pan Sharp u stołu pana domu dostawał same niedogryzki, że mu jego peruka wcale nie do twarzy i że nie powinien się nią chwalić, bo i tak dobrze widać z tyłu jego własne rude włosy.

Dowiedziałem się, że jeden z uczniów, syn handlarza węglem, uczył się w zamian za dostarczanie tego artykułu, czemu zawdzięczał przezwisko „handel zamienny”; że podłe piwo było okradaniem rodziców, a pudding czczym słowem.

Dowiedziałem się, że panna Creakle kocha się na zabój w Steerforcie, w co od razu uwierzyłem, przypominając sobie, gdy siedział w ciemnościach, jego piękną twarz, falujące włosy, wytworne manieri i wsłuchując się w jego melodyjny głos. Dowiedziałem się, że pan Mell to w gruncie rzeczy poczciwy chłopak, a goły jak święty turecki, syn żebraczki czy tam coś podobnego. Przypomniało mi się śniadanie w izdebce przytułku, staruszka, której się wyrwało: „mój Karolek”. Szczęściem, zatrzymałem tym razem język za zębami.

Na podobnych gawędkach czas zszedł nam szybko, a większa część zaproszonych gości usnęła zaraz po uczcie. Rozmawialiśmy po cichu, dopóki sen i nas nie przemógł.

– Dobranoc, Copperfieldzie – ozwał się Steerforth – licz na mnie.

– Dziękuję – odrzekłem z niekłamaną wdzięcznością – zobowiązuje mnie to nieskończenie.

– Czy masz siostrę? – spytał poziewając – co?

– Nie, nie mam siostry.

– Szkoda. Byłaby pewnie ładną, nieśmiałą, jasnooką dziewczyną, chciałbym ją znać. Dobranoc.

– Dobrej nocy! – odrzekłem.

Położywszy się, długo jeszcze myślałem o nim i podnosząc się na posłaniu przypatrywałem mu się, jak leżał pod smugą księżycy, z piękną głową opartą na ramieniu. Wyobrażałem go sobie jako wyższą, potężną istotę, i to podziałać musiało na rozbudzenie mojej wyobraźni. Rąbka zasłony przyszłości nie

uchylił żaden promień księżycy a cień jej nie padł na kwieciste łany, po których noc całą w śnie stąpałem.

Rozdział VII. Pierwsze szkolne półtrocze

Lekcje rozpoczęły się dnia następnego. Silne, pamiętam, wrażenie wywarła na mnie nagła cisza, jaka zapanowała w klasie, gdy po śniadaniu drzwi się roztwały i ukazała się w nich postać pana Creakle, podobna do ludożercy przyglądającego się swym więźniom.

Pedel Tungay stał tuż za nim. Nie miał sposobności, by wrzasnąć w tej chwili: „Cicho!”, gdyż panowała największa, jak to już mówiłem, cisza.

Usta pana Creakle poruszały się wprawdzie, lecz słyszeliśmy tylko głos pedla.

– Rozpoczynamy nowe półtrocze, słyszeliście, nowe. Pamiętajcie, abyście się dobrze uczyli, bo zaczerpnąłem nowy zapas sił i nie cofnę się, o, nie! Próżno byście się szorowali, nie zetrzecie znaków, jakie wam wypiszę na plecach! A teraz do roboty!

Po tej przemowie i po wyjściu pedla pan Creakle, zbliżywszy się do mnie, oznajmił mi wygasłym głosem, że jeśli *ja* umiem kąsać, to *on* umie smagać, a pokazując mi swój kij, pytał, czy chciałbym dostać się na taki ząb! „Zastąpić to z biedą może całe szeregi zębów, co? Może chciałbyś spróbować, co? Ząb za ząb?” – pytał.

Za każdym słowem uderzał mnie i wkrótce twarz moja zalana była łzami.

Nie stanowiłem zresztą wyjątku, tylko że ode mnie zaczęła się egzekucja, której podległa większość uczniów. Zanim pan Creakle obszedł dokoła klasę i lekcje się rozpoczęły, wszyscyśmy mniej więcej szlochali⁸³; do jakich zaś to doszło rozmiarów pod koniec dnia, obliczać nie chcę, bojąc się, aby mnie nie posądzono o przesadę.

Wątpię, czy istniał kiedykolwiek człowiek, który spełniał zadanie swe z większym od pana Creakle zacięciem. Z zapałem zadowolającego apetyt smakosza rozdzielał razy pomiędzy powierzonych swej pieczy chłopców. Szczególniejszy zdawał się czuć pociąg do puciołowatych. Dopóty nie zaznał spokoju, dopóki ich nie ozdobił sińcami. Na moją niedolę byłem puciołowaty, lecz dziś, gdy myślę o tym wszystkim, oburzam się zupełnie bezinteresownie i tak, jak gdybym był świadkiem tylko, nie zaś ofiarą jego okrucieństw. Dziś wiem, że do zajmowanego przez się stanowiska wychowawcy nie więcej bydlę to miało prawa, jak do posady Lorda Admirala lub głównodowodzącego armii. Na obu zaś wyżej wymienionych stanowiskach byłby może mniej szkodliwy niż na przez się⁸⁴ zajmowanym.

Jakże gardził on i pomiatał zastępem małych, słabych swych

⁸³ *wszyscyśmy (...) szlochali* – inaczej: wszyscy szlochaliśmy (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

⁸⁴ *się* – krótka forma zaimka stosowana w pozycji znaczeniowo nieakcentowanej w zdaniu; dziś raczej zarzucona na rzecz formy długiej: siebie (podobne pary to: mię i mnie, cię i ciebie). [przypis edytorski]

niemowlaków! Bez śmiechu wspomnieć dziś nie mogę wrażenia, jakie osobistość ta wywierała na nas. Widzę samego siebie na szkolnej ławie, wpatzonego w bezsumienne⁸⁵ to bożyszczce znęcające się nad swymi ofiarami. Widzę stojącego przed nim ucznia, wycierającego chustką do nosa ręce obrzmiałe od jego razów. Oczu nie mogłem oderwać od tyrana, miotany ciągłym strachem i obliczaniem, kiedy na mnie przyjdzie kolej na nieuniknioną kaźń. Widzę drobnych moich towarzyszy, wpatrzonych w niego z podobnym wyrazem trwogi. Widzę okrutny grymas jego ust, gdy miał w ręku kajety, spojrzenie, pod którym pochylaliśmy głowy, drżąc nad książkami, aby po chwili znów śledzić go wystraszoną wzrokiem. Nieszczęsny ten spośród nas, co pochwycony na lada jakiej omyłce wywołany został z szeregów. Próżno w nieśmiało i pokorne uderzał zapewnienia, że się będzie starał poprawić. Pan Creakle, zanim go bić poczynał, naigrawał się i natrząsał z niego, a my jak złe psiaki śmieliśmy się nikkzemnie, choć dusze mieliśmy w piętach i pobladłe ze strachu twarze.

Pamiętam jedno ciężkie, gorące, letnie popołudnie. W klasie huczało tak, jak gdyby wszyscy uczniowie zmienili się w chrabąszcze; obiad, po którym pozostało mi wspomnienie ciepłego mięsnego tłuszczu, zjedliśmy przed godziną i głowa mi ciążyła, upadałem z senności; otwierając szeroko osowiałe oczy, wpatrywałem się w pana Creakle poprawiającego kajety, musiałem się zdrzemnąć i nie spostrzegłem, jak się zbliżył do

⁸⁵ *bezsumienny* (neol.) – pozbawiony sumienia. [przypis edytorski]

mnie. Zbudziła mnie dopiero bolesna i czerwona pręga na mych plecach.

Nawet w godzinach wolnych od nauki, chociaż traciliśmy go z oczu, nie przestawał być obecny w naszych myślach. Okno, przy którym zwykł był obiadować, pozostawało otwarte i pociągało wzrok mój bezustannie. Gdy tylko ukazywała się w nim jego twarz, moja dziecinna twarzyczka nabierała pokornego i błagalnego wyrazu. Gdy się wychylił, najśmielszy nawet z uczniów (z wyjątkiem jednego chyba Steerfortha) przerywał zabawę, kamieniejąc ze strachu. Pewnego razu Traddles (najnieszcześniejszy pod słońcem chłopiec) rozbił piłką owo okno. Drzę na samo wspomnienie trwogi, jaka mnie wówczas ogarnęła na myśl, czy nieszczęsna piłka nie dosięgła nietykalnej głowy naszego nauczyciela.

Biedny Traddles! W obcisłym, jasnoniebieskim ubranku, z nogami i rękami podobnymi do salcesonów lub zwijanych naleśników był najnieszcześniejszy, lecz zarazem najweselszy z nas wszystkich. Bito go codziennie, z wyjątkiem chyba jednego popołudnia w świąteczny poniedziałek, kiedy mu się tylko dostało parę uderzeń linią po rękę. Codziennie odgrażał się on, że się poskarży swemu wujowi, czego jednak nigdy nie czynił. Zwykle siedział czas jakiś z opartą o pulpit głową, po czym podnosił twarz już uśmiechniętą i zanim mu łyzy oschły na rzęsach, rysował na tabliczce kościotrupy. Długo gubiłem się w domysłach nad owym szczególnym jego zamiłowaniem w tym właśnie kierunku. Posądzałem go o skłonność do ascetyzmu,

umyślnie przypominanie sobie o znikomości spraw doczesnych, sędzę jednak, że na wybór rodzaju wpłynąć raczej musiały praktyczniejsze względy: większa łatwość rysowania szkieletów niż ludzkich żywych postaci.

Uczciwy był Traddles i honorowy, dbały o solidarność koleżeńską, chociaż nieraz drogo to opłacał, na przykład wówczas, gdy za nieprzystojne śmiechy Steerfortha, jego to, Traddlesa, wyprowadzono z kościoła. Widzę go idącego za pedłem, zawstydzonego, odprowadzanego surowym i wzgardliwym spojrzeniem zgromadzonych w kościele wiernych. Nie wydał istotnego winowajcy, chociaż nazajutrz z kilkugodzinnej kozy wyszedł zbolaty i z całą armią szkieletów czerniejącą na kartkach łaćńskiego słownika. Otrzymał jednak pewne zadośćuczynienie. Steerforth powiedział o nim, że nie jest „skarżypytą”, a nam wydało się to zasłużoną i wielce zaszczytną pochwałą. Co do mnie przynajmniej, chociaż byłem znacznie młodszy od Traddlesa i o wiele mniej odważny, gotów byłem wycierpieć niejedno, by zdobyć sobie tylko uznanie kolegów.

Widok Steerfortha, postępującego w niedzielę na czele naszej grupy do kościoła pod rękę z panną Creakle, zachwycał mnie po prostu. Nie dlatego, żeby mi się panienka ta wydała tak ładna jak nie przymierzając Emilka lub żeby w niej był choć trochę zakochany, lecz dlatego, że uważałem ją za wyrocznie, jeśli chodzi o maniery, i gdy Steerforth, w białych spodenkach, rozpinał parasol, by ją osłonić przed słońcem, czułem się pochlebiony stosunkami z tym skończonym galantem i pewien

byłem, że przedmiot jego uprzejmości nie może pozostawać dlań obojętny. Wprawdzie obaj nauczyciele, pan Sharp i pan Mell, wydawali mi się też skończonymi dżentelmenami, daleko im jednak było do Steerfortha, jak gwiazdom do słońca.

Otaczał mnie on zresztą ciągle swą troskliwą istotnie opieką. Nikt z kolegów nie śmiał dokuczać mi. Nie mógł tylko widocznie mnie bronić – w każdym razie nie bronił mnie – przed surowością pana Creakle, który znęcał się nade mną. Wprawdzie, gdy się ze mną obchodzono zbyt już srogo, przyjaciel mój zapewniał wtedy, że nie wytrzymałbym tego bez poparcia jego przyjaźni, co mnie zawsze nieskończenie rozczulało. Co zaś do znęcania się nade mną pana Creakle, miało ono tę dobrą przynajmniej stronę, że osłaniającą mnie poniekąd od razów tabliczkę zdjęto bezpowrotnie z mych pleców.

Przypadkowa okoliczność zbliżyła mnie bardziej jeszcze do Steerfortha zdwajając przyjaźń, z której byłem dumny i zadowolony, chociaż nie zawsze wychodziłem na niej dobrze. Raz rozmawiając z nim w czasie rekreacji, nadmieniłem – nie pamiętam już z jakiego powodu – o czymś czy o kimś podobnym do kogoś czy do czegoś z *Peregryna Pickle'a*⁸⁶. Nie odrzekł nic na razie, lecz wieczorem spytał mnie, czy posiadam tę książkę?

Odpowiedziałem mu, że nie posiadam już jej, mówiąc przy

⁸⁶ *Peregryn Pickle* – powieść przygodowa szkockiego pisarza Tobiasza Smolletta *The Adventures of Peregrine Pickle* (publ. 1751; tł. na jęz. pol. T. Tatarkiewiczowa, wiersze tł. W. Lewik, *Peregryn Pickle*, t. 1–2, 1962), opowiadająca historię wlotów i upadków pewnego egotysty, obracającego się w środowisku wyższych sfer społecznych osiemnastowiecznej Europy. [przypis edytorski]

tym, w jaki sposób zaznajomiłem się z tym oraz z innymi arcydziełami.

– A pamiętasz, coś czytał? – spytał.

– O, zapewne – odrzekłem. – Pamięć mam dobrą i pamiętam wszystko doskonale.

– Wiesz co – mówił – musisz mi to wszystko opowiedzieć. Z wieczora długo nie mogę zasnąć, a z rana budzę się wcześniej od innych. Opowiesz mi tedy wszystko po kolei, będzie to na kształt bajek z tysiąca i jednej nocy.

Pochlebiło mi to niezmiernie i tego jeszcze wieczora rozpoczęliśmy cykl opowieści. Jak na tych dowolnych przekładach wychodzili autorowie, nie wiem i niewiele mnie to obchodzi. Opowiadałem z zamiłowaniem, posiadałem też pewien dar słowa, a z tym zająć można daleko.

Odwrotną stroną medalu było to, że nieraz byłem wieczorami senny i nie zawsze usposobiony do opowieści, jednakże uważałem je za święty obowiązek. Za nic zresztą nie zawiódłbym ufności i oczekiwania przyjaciela. Toteż rano oczy mi się nieraz kleiły, gdy mnie mój sułtan, niby Szeherezadę, budził godzinę przed dzwonkiem, niecierpliwym dalszego ciągu opowieści. Lecz że odrabiał za mnie trudniejsze zadania, nie mogłem ostatecznie uskarżać się na taki stan rzeczy, chociaż muszę tu oddać sobie sprawiedliwość, że nie powodował mną interes. Kochałem Steerfortha, uwielbiałem go i w zadowoleniu przyjaciela dostateczną widziałem nagrodę mych trudów. Dziś jeszcze wszystkie te drobne szczegóły wspominam z bijącym sercem.

Steerforth okazywał mi względy, które raz zwłaszcza nie wyszły na dobre Traddlesowi i innym. W kilka tygodni po przybyciu mym do szkoły nadszedł list – ach, jaki pocziwy list! – od Peggotty, a przy tym paczka: placek, pomarańcze i dwie butelki słodkiego wina. Naturalnie skarby me złożyłem u nóg przyjaciela, prosząc go, aby się nimi raczył rozporządzić.

– No – rzekł – schowamy wino, abyś miał czym zwilżać w nocy wyschłe opowiadaniem gardło.

Zarumieniłem się, prosząc go skromnie, aby o tym nie myślał wcale. Zauważył, że bywam często ochrypli – „skrzypiący”, jak się wyraził – że zatem każda kropla wina poświęcona być musi na cel nam wiadomy. Stosownie do tego butelki zostały zamknięte w kufunku, a zawartość ich wydzielana mi była po trosze, w miarę potrzeby, przez mego przyjaciela. Czasem dla podwojenia działania wina wciskał doń sok pomarańczowy lub wlewał kroplę miętowego olejku i chociaż to nie dodawało smaku i wątpię, czy – zwłaszcza zażywane późno wieczorem i wcześniej rano – posiadało szczególnie lecznicze właściwości, wdzięczny mu byłem za okazywaną mi przyjacielską troskliwość.

Zdaje mi się, że przez miesiąc trwało opowiadanie *Peregrina*, dalsze miesiące poświęciłem innym historiom. Przedmiot był niewyczerpany, a i wino też starczyło na długo. Biedny Traddles – bez śmiechu i łez zarazem wspomnieć go sobie nie mogę – śmiał się przy komicznych epizodach opowieści, a umierał ze strachu przy strasznych tak dalece, że mnie często zbijął z tropu. Utrzymywał, że mu zęby pomimo woli dzwonią na

samą wzmiankę o rozbójnikach, których tak wielu otaczało Gila Blasa⁸⁷, i gdy przyszło do spotkania tego ostatniego ze zbójami w Madrycie, narobił tyle hałasu, że aż ściągnął uwagę pana Creakle, który nam drogo kazał opłacić nocne hałasy. Moje skłonności do marzycielstwa i romantyczności rozwijały się wśród tych nocnych, po ciemku opowiadanych historii, co mi też najpewniej nie wyszło na dobre, lecz że się sława moja rozchodziła, a towarzysze, wśród których najmłodszy byłem wiekiem, okazywali mi coraz więcej szacunku i z wzrastającą słuchali uwagą, nie brakło mi zachęty. Zresztą w szkole rządzonej przez bezmyślną tyranie – czy tyranem tym bywa nieuk czy uczonek – niewiele zwykle bywa nauki. Sądzę, że towarzysze moi byli najzupełniejszymi nieukami, zbyt wystraszone, bitymi, aby się mogli uczyć. Nic się dobrze nie wykonywa przy ciągłych troskach, umęczeniach i cierpieniach. Mnie podtrzymywała ambicja, pomagał mi czasem Steerforth, a chociaż ani jedno, ani drugie nie zdołało osłonić mnie przed zasłużonymi i niezasłużonymi razami, z czasem nawet w tej szkole udało mi się złapać jakie takie okruchy wiedzy.

Najskuteczniej dopomagał mi w tym pan Mell, okazujący

⁸⁷ *Gil Blas* – tytułowy bohater powieści łotrzykowskiej (pikarejskiej) *Histoire de Gil Blas de Santillane* (publ. 1715–1735; tł. na jęz. pol. J. Rogoziński: *Przypadki Idziego Blasa*) autorstwa fr. pisarza i adaptatora literatury hiszp. Alaina Lesage'a (1668–1747); Gil Blas, choć pochodził z rodziny plebejskiej z małego miasteczka, został wysłany przez rodzinę na naukę na uniwersytet w Salamance; po drodze jednak kilkakrotnie padł ofiarą złodziei, zmuszony został w końcu przyłączyć się do bandy rozbójników; wydobyć się z tego położenia umożliwiła mu w końcu pewna dama, którą uchronił od napaści ze strony swych towarzyszy-zbójców. [przypis edytorski]

szczególną i mile dotąd przeze mnie wspomnianą serdeczność. Nie bez pewnej przykrości dostrzegałem już wówczas wzgardę, z jaką go traktował mój przyjaciel, który nie zaniedbywał żadnej okazji, by upokorzyć biednego nauczyciela i podburzyć przeciw niemu nowych uczniów. Bolało to mnie tym bardziej, że, nie mając przed Steerforthem sekretów, opowiedziałem mu o tych dwóch ubogich kobietach, które odwiedziłem w towarzystwie nauczyciela, i drżałem, czy Steerforth nie użyje zwierzeń mych jako broni przeciw panu Mell. Owego poranka, gdym jadł śniadanie w przytułku i usypiał przy dźwiękach fletu w cieniu pawich piór, na myśl by mnie ani nauczycielowi nigdy nie przyszło, aby ta przypadkowa wizyta pociągnąć mogła następstwa poważnej, w swoim rodzaju, natury.

Dnia pewnego choroba zatrzymała pana Creakle w prywatnym jego mieszkaniu, co naturalnie było powodem wielkiej radości w szkole. Lekcje szły nieosobliwie. Wesołość wygnała z klasy dyscyplinę, co znów zwabiało po kilkakroć nienawistnego pedla, zapisującego imiona głównych przestępców. Lecz nawet i to nie wywierało dostatecznego wrażenia. Nadtośmy byli pewni razów i kar w dniach następnych, aby na myśl o nich temperować wybuchy wesołości swobodnej chwili.

Była to sobota, zatem popołudnie mieliśmy wolne. Ponieważ bawiąc się w ogrodzie, mogliśmy przeszkadzać choremu, a pogoda nie sprzyjała przechadzce, zamknięto nas w szkolnej izbie, dając jakieś łatwe do rozwiązania zadanie. Był to właśnie

dzień, w którym pan Sharp udawał się do miasta dla ufryzowania peruki, a pan Mell, na którego barki spadały wtedy zwykle wszelkie obowiązki, pilnował chłopców.

Gdyby cicha, łagodna postać nauczyciela porównana być mogła do buhaja lub niedźwiedzia, porównałbym nas, chłopców, do zgrai psów osaczających to zwierzę, taka naraz zapanowała w szkolnej izbie wrzawa. Przypominam go sobie siedzącego za pulpitem wśród piekielnej iście wrzawy, z bolącą głową, opartą na ręku, daremnie usiłującego wywiązać się z zadania. Chłopcy, powstawszy z ławek, biegali po całej izbie, baraszkując po kątach, śmiejąc się, skacząc, śpiewając, krzycząc, tupiąc nogami, wyjąc dokoła niego, pokazując za jego plecami miny, figle, języki, wydrwiwając go, jego ubóstwo, podarte buty, znoszony surdut, jego matkę, zgoła wszystko i wszystkich, będących z nim w jakimkolwiek związku.

– Ciszej! – zawołał, powstając nagle, i uderzając książką o pulpit. – Co to znaczy? Wytrzymać już doprawdy nie podobna⁸⁸! Oszaleć z tym można. Jak możecie być tak niesforni!

Moją to właśnie książką uderzał o pulpit. Stojąc przed nim spostrzegłem, jak się chłopcy uciszyli, jedni w pół przerażeni, drudzy w pół zawstyżeni, inni zdziwieni. Miejsce Steerforth'a było na samym końcu sali. Stał właśnie oparty o ścianę, z obu rękoma w kieszeniach, wpatrzony niedbale w nauczyciela, z ustami złożonymi jak do gwizdania.

– Ciszej, panie Steerforth! – zawołał nauczyciel, dojrzwawszy

⁸⁸ *nie podobna* (daw.) – nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

go.

– Sam mi bądź cicho! – odrzekł Steerfoth, czerwieniejąc. – Czy wiesz, do kogo mówisz?

– Proszę usiąść na swoim miejscu – ciągnął nauczyciel.

– Sam siadaj i pilnuj, co do ciebie należy! – zawołał rozzłoszczony uczeń.

Zachichotano. Tu i ówdzie przykłaśnięto, lecz bladeść nauczyciela powstrzymała dalsze wybuchy niesforności, a nawet jeden z chłopaków, który poza jego plecami robił miny, zawstydził się i udał, że przyszedł prosić go o naprawienie pióra.

– Jeśli sądzisz, Steerforth – zaczął pan Mell, opierając machinalnie rękę na mym ramieniu – że nie wiem, jakiej tu chcesz używać przewagi, lub że nie widziałem, jakieś podburzał przeciw mnie chłopców, mylisz się bardzo.

– Nie zadaję sobie wcale fatygi myśleć o panu – odrzekł wzgardliwie Steerforth.

– Co zaś do tego, aby pozycja uprzywilejowanego, jaką tu zajmujesz – ciągnął drżącymi ustami nauczyciel – dawała ci prawo obrażać dżentelmenów...

– Kogo? – przerwał Steerforth. – Przepraszam, nie słyszałem, o jakim tu dżentelmenie mowa.

Z ławki ktoś zawołał: „Cicho, to już zbyt niegodziwe!”. Był to Traddles, któremu nauczyciel też zabronił mieszać się w nie swoje rzeczy i kazał trzymać język za zębami. Sam zaś tak mówił:

– Obrażać i wydrwiwać cudzą niedolę, kogoś, kto nigdy

najmniejszej nam nie wyrządził krzywdy, to rzecz brzydka i nikczemna. Jesteś wystarczająco dorosły, żeby to zrozumieć. A teraz możesz stać lub usiąść, jak ci się podoba. Dalej, Copperfieldzie!

– Stój, mały! – zawołał, wychodząc z ławki, Steerforth. – Muszę raz panu powiedzieć, co o nim myślę. Nie dbam wcale o to, że mię jakiś tam żebrak nazywa nikczemnym. Że pan jest żebrakiem, wszystkim przecież wiadomo, lecz gdy ośmielasz się mnie ubliżać, sam jesteś nikczemny.

Nie wiem, jakby się to wszystko skończyło i czy Steerforth rzuciłby się na nauczyciela czy nauczyciel na Steerfortha, gdyż wszyscyśmy skamienieli. W szkolnej izbie stał pan Creakle we własnej osobie, w towarzystwie nieodstępного pedla, w drzwiach widać było głowy wystraszonych pani i panny Creakle. Pan Mell siedział nieruchomo na swym miejscu, oparty o pulpit, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Panie Mell – potrząsając go za ramię, zaczął Creakle szeptem tak wyraźnym, że tym razem Tangay nie czuł się obowiązany powtarzać jego słów – spodziewam się, panie Mell, że nie uniosłeś się zbytnio?

– Nie panie, nie! – upewniał nauczyciel, odkrywając twarz, potrząsając głową i zacierając ręce w zmieszaniu. – Nie, panie, nie uniosłem się, nie zapomniałem się, nie... Byłbym jednak bardzo wdzięczny panu, panie Creakle, gdybyś mnie był ostrzegł przedtem, powstrzymał... Uchroniłoby to mnie od czegoś...

Pan Creakle, nie spuszczać oka z nauczyciela, oparł się na

ramieniu pedla, usiadł na stole i z wysokości spoglądając na nauczyciela, który wciąż zacierał ręce, zwrócił się do Steerforth.

– A teraz niech mi pan powie, co to wszystko znaczy?

Zapytany milczał chwilę, spoglądając dumnie i z gniewem na swego przeciwnika. Widzę go jeszcze. Piękny był, dumny i jakże nędznie w porównaniu z nim wyglądał nauczyciel.

– Nie wiem – rzekł wreszcie – o jakich to przywilejach była mowa.

– Przywilejach – powtórzył, zwracając powoli głowę, pan Creakle – kto mówił o przywilejach?

– Ten, tam – rzekł Steerforth.

– Proszę pana, jak to pan rozumie? – spytał pan Creakle, zwracając się do nauczyciela z widocznym nieukontentowaniem.

– Rozumiem – odrzekł ów cicho – zupełnie tak, jak powiedziałem, a mianowicie: że uczeń nie powinien nadużywać wyjątkowego swego położenia, aby upokarzać i obrażać nauczyciela.

– Obrażać, no, proszę – zaczął pan Creakle, składając ręce na piersi i mrużąc oczy tak, że ich widać prawie nie było – no, proszę! A pan, panie tam jakiś, czy nie zapominasz czasem o należnym mnie, słyszysz, *mnie* uszanowaniu, ośmielając się nadmieniać o przywilejach! Zapominasz chyba, że jestem tu pierwszą osobą, twoim chlebodawcą.

– Zapewne, przyznaję... – jękał się nauczyciel – powinienem być panować nad sobą.

– Tak – przerwał Steerforth – zarzucił mi, że

jestem nikczemny, bom go nazwał żebrakiem. I ja także powstrzymałbym się, gdybym nie był zirytowany, ale teraz gotów jestem wszelkie następstwa tego, com powiedział, przyjąć.

Śmiałe to przemówienie olśniło mnie. Wywarło też wrażenie na nas wszystkich. Patrzyliśmy na Steerfortha, chociaż żaden z nas nie śmiał ust otworzyć.

– Zdziwiony jestem – ciągnął pan Creakle – chociaż szczerść twoja, chłopcze, niewątpliwie przynosi ci zaszczyt, zdziwiony jestem, jak mogłeś podobnie nazwać kogoś, kto pobiera honoraria w Salem House.

Steerforth zaśmiał się.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – powtórzył pan Creakle – spodziewałem się więcej po tobie, chłopcze.

Jeżeli w oczach naszych pan Mell wyglądał nędznie i pokornie przy Steerforcie, z którego byłem dumny, to cóż dopiero mówić o panu Creakle!

– Niech odwoła, co powiedział – domagał się Steerforth.

– Sam odwołaj, coś powiedział – odrzekł pan Creakle. – Pierwszy zacząłeś.

– Jeśli sam nie jest żebrakiem – zaczął Steerforth – najbliżsi jego krewni żebrzą, a to na jedno wychodzi.

Mówiąc to, patrzył na mnie, gdy jednocześnie dłoń nauczyciela przesunęła się pieszczotliwie po moim ramieniu. Pełen wyrzutów sumienia wzniosłem oczy na pana Mell, który patrzył wprost na swego przeciwnika.

– Jeśli pan, panie Creakle – mówił Steerforth – żądasz

objaśnień, obowiązkiem moim jest dodać, że matka tego pana żyje z jałmużny w przytułku.

Pan Mell, gładząc mnie po głowie i nie spuszczać oka z przeciwnika, szepnął tylko coś do siebie, zdawało mi się, że: „Tegom się spodziewał”.

Marszcząc brwi, pan Creakle zwrócił się do nauczyciela z przesadną grzecznością:

– Słyszysz pan, co tu o panu mówią? Niechże pan zaprzeczy i zgromi chłopca, jak na to zasłużył, wobec wszystkich tu zebranych. Słuchamy!

– Prawdę powiedział, najzupełniejszą prawdę – wyrzekł nauczyciel wyraźnie wśród zaległej dokoła ciszy.

– Niechże pan z łaski swej – ozwał się, wspierając pod boki i wodząc po nas okiem, pan Creakle – zaświadczyć tu raczy, że o tym nigdy przedtem nie słyszał.

– Sądzę, że nie bezpośrednio...

– Co, jak? Proszę powtórzyć.

– Przypuszczam, że smutne moje położenie wiadome było panu, że... że znane mu są warunki... w jakich...

– Boję się, jeśli już mamy mówić o tym – zasyczał pan Creakle – abyś pan i mojej szkoły nie brał za zakład dobroczynny. Możemy się rozstać, panie Mell, im prędzej to nastąpi, tym lepiej.

– Najstosowniej zatem byłoby natychmiast – odrzekł powstając nauczyciel.

– Żegnam pana.

– I ja pana, panie Creakle. Chłopcy, bywajcie mi zdrowi!

Mówiąc to, pan Mell, gładząc mnie ciągle po głowie, powiódł wzrokiem po całej szkolnej izbie i na widok Steerfortha dodał:

– Jamesie Steerforth, przyjmij ode mnie przy rozstaniu życzenie, abyś się rumienił za dzisiejszy postępek. Co do mnie wolę cię mieć za swego wroga i przyjaźni twej nie życzyłbym nikomu, kto by mnie bliżej obchodził.

Mówiąc to, raz jeszcze pogładził mnie pieszczotliwie, wyjął z szuflady swój flet, parę książek i zostawiając w niej klucz dla swego następcy, wyszedł ze szkolnej izby. Wówczas pan Creakle, tym razem już przez usta pedla, wygłosił szumną mowę, w której dziękował Steerforthowi za to, że wziął w obronę honor szkoły, po czym uściskał ręce mego przyjaciela, co wprawiło nas wszystkich w zachwyt, dlaczego, tego bym już wyjaśnić nie mógł. Ja także wieszowałem Steerforthowi powodzenia, serce mi się jednak bardzo, bardzo ścisnęło. Tymczasem kij przełożonego spadł na plecy biednego Tommy’ego Traddlesa, który zamiast dzielić ogólną radość, odważył się popłakiwać w ukryciu, lecz rzewnie, z powodu wydalenia nauczyciela. Po dokonaniu tego ostatniego aktu najwyższej sprawiedliwości pan Creakle poszedł do łóżka czy tam, skąd był wyszedł⁸⁹.

Pozostawieni sami sobie, wyglądaliśmy, pamiętam, jak nieswoi. Co do mnie przynajmniej, to dręczony

⁸⁹ *był wyszedł* – daw. forma czasu zaprzeszłego; znaczenie: wyszedł uprzednio (wcześniej, zanim miały miejsce zdarzenia i czynności wyrażone czasem przeszłym zwykłym). [przypis edytorski]

najokropniejszymi wyrzutami sumienia i oskarżając siebie jako sprawcę całego tego zajścia, rozplakałbym się na dobre, gdyby nie wzgląd na przyjaciela, którego łzy moje mogłyby zdziwić, a może i obrazić. Przecież obraził się już na Traddlesa, wyrażając przy tym swe zadowolenie, że się to już raz wreszcie skończyło.

Traddles, który przez cały czas siedział z głową wspartą na stole i miał już cały kajet porysowany kościotrupami, podniósł twarz i zdecydował, że mu wprawdzie nic do tego, lecz z nauczycielem bez wątpienia postąpiono haniebnie.

– Kto temu winien, sam powiedz, płakso? – spytał główny winowajca.

– Tyś winien – odparł Traddles.

– I w czymże to zawiniłem?

– Obraziłeś go i pozbawiłeś miejsca.

– Obraziłem? – powtórzył wzgardliwie Steerforth. – Wyjdzie mu to najpewniej na dobre. Nie przypisuj mu własnych swych delikatnych uczuć. Co zaś do miejsca, piękne mi miejsce! Korzystne! Napiszę do domu, aby mu natychmiast posłali pieniężny zasiłek.

Wprawiło to nas w zachwytp. Wiedzieliśmy, że matka przyjaciela mego była wdową bogatą i niczego nie odmawiała synowi. Porażka Traddlesa była zupełna. Steerforth triumfował, a nadto wmawiał w nas, że to, co zrobił, zrobił w interesie ogółu, narażając własną osobę.

Gdy jednak wieczorem rozpocząłem codzienne opowiadanie, nieraz zdawało mi się, że słyszę flet byłego nauczyciela. Jęczał

mi żałośnie w uszach, a gdy wreszcie Steerforth zasnął, długo jeszcze nie dawała mi zasnąć myśl, gdzie teraz się ten flet odzywać może.

Zapomniałem jednak o tym prędko wobec swobody, z jaką Steerforth, nawet bez pomocy książek (zdawało mi się, że wszystko umie na pamięć), wziął się do tymczasowego zastąpienia nauczyciela. Prawdziwy następca pana Mell przybył wreszcie i został przedstawiony memu przyjacielowi na obiedzie u samego pana Creakle. Podobał mu się. „Ten to co innego” – mówił. Wierzyłem Steerforthowi na słowo. Co się tyczy mnie, to nowy nauczyciel nie zadawał sobie w tym wypadku najmniejszego trudu.

W dalszym ciągu szkolnego półrocza jeden już tylko zaszedł wypadek, który dla wielu przyczyn utkwiał mi w pamięci.

Pewnego popołudnia, gdy, korzystając z drzemki pana Creakle, oddawaliśmy się swobodniejszej zabawie, pedel, wchodząc do klasy, zaanonsował grubym głosem:

– Goście do Copperfielda.

Zamienił już przedtem słów kilka z przełożonym co do osobistości przybyłych w odwiedzin i pokoju, do którego miały zostać wprowadzone, mnie zaś, zaskoczonemu niezmiernie, kazano iść na górę i włożyć świeże ubranie. Rozkaz ten wypełniłem z bijącym sercem, lecz wchodząc do bawialnego pokoju, cofnąłem się od progu na samą myśl, że odwiedzającymi mogą być chyba pan lub panna Murdstone, a jeśli to będzie moja matka...

W pierwszej chwili nie spostrzegłem nikogo. Przy samych drzwiach oparci stali Ham i pan Peggotty, wywijając kapelusze na moje powitanie. Roześmiałem się nie tyle z istotnie zabawnego ich wyglądu, ile z prawdziwej radości, jaką mi sprawił ich widok. Długo nie mogłem się uspokoić, przechodząc od śmiechu do łez. Pan Peggotty, który zrazu nie otwierał ust, dawał znaki bratankowi, aby ten mówił:

– Niech się panicz uspokoi – wyszczerzał jak zwykle zęby Ham. – Ależ panicz urósł!

– Urosłem? Doprawdy? – mówiłem, ocierając łzy wywołane widokiem przyjaciół.

– Ależ panicz urósł! – dziwił się Ham.

– Ależ urósł! – powtarzał pan Peggotty.

Śmieliśmy się wszyscy trzej, chociaż nowe groziło mi rozrzewnienie.

– A mama czy zdrowa? – spytałem. – Mama i Peggotty?

– Najzupełniej – zapewniał pan Peggotty.

– Emilka, pani Gummidge?

– Najzupełniej.

Umilkliśmy. Skorzystał z tego pan Peggotty, aby dostać z kosza parę olbrzymich krabów i cały wór małych raczków. Wręczył wszystko to bratankowi, mówiąc:

– Paniczowi smakowało to kiedyś, pamięta panicz, w naszej rybackiej chacie! Ugotowała to sama stara, to jest pani Gummidge ugotowała własnoręcznie.

Podziękowałem, a pan Peggotty, spostrzegłszy, że mu

bratanek nie pomaga wymową i tylko uśmiecha się nad morskimi przysmakami, dodał:

– Przybyliśmy na łodzi z Yarmouth do Gravesen. Wiatr mieliśmy pomyślny. Siostra, pisząc do mnie, wymieniła tę szkołę, żądając, abym będąc tu, odwiedził koniecznie panicza i kłaniał się od niej i od wszystkich. Zaraz po moim powrocie Emilka napisze do siostry, żeśmy panicza widzieli, i tak dalej, i tak dalej...

Przeszła chwila, zanim zrozumieć zdołałem, co znaczyło owo „i tak dalej, i tak dalej”. Zrozumiawszy podziękowałem z wylaniem pocziwemu rybakowi, po czym zacząłem rozpytywać go o Emilkę. Musiała urósć, zmienić się, odkąd zbierałem z nią razem muszle i kamyki na wybrzeżu?

– Tak, tak, niedługo, a będzie to już mała kobieta – odrzekł pan Peggotty. – Niech go panicz spyta.

Wskazał na bratanka, skłaniającego w najwyższym zadowoleniu głowę nad workiem raków.

– A jaka ładna! – dorzucił.

– Jaka uczona! – twierdził Ham.

– Jak pisze! Litera czarna, wyraźna, ot, z tak daleka widne!

Pocziwy rybak z zapalem mówił o swej ulubienicy. Twarz jego wyrażała najwyższe zadowolenie, dumę i przywiązanie, oczy połyskiwały wewnętrznym ogniem, a szeroka pierś podnosiła się lekko, swobodnie. Silne ręce zaciskały się z mocą i przekonaniem, a każde swe słowo podkreślał ruchem ramienia, które wydało mi się podobne do kowalskiego młota.

Nie mniejszy był zapal bratanka i zajmujący temat rozmowy byłby zapewne niewyczerpany, gdyby nie nagłe zjawienie się Steerfortha. Wpadł do pokoju, nucąc coś wesołego i dopiero spostrzegłszy mnie w towarzystwie dwóch nieznajomych, cofnął się, wołając:

– Przepraszam, nie wiedziałem, że cię tu zastanę.

Nie w tym to istotnie pokoju przyjmowano zwykle przybywających w odwiedziny gości. Nie wiem sam doprawdy, czy to chęć pochwalenia się przed panem Peggotty takim jak Steerforth przyjacielem czy chęć wyjaśnienia przed tym ostatnim stosunków moich z rybakiem i jego synowcem skłoniły mnie do odwołania cofającego się przyjaciela – jakże mi każdy szczegół głęboko wrył się w pamięć – mówiąc⁹⁰:

– Nie uciekaj, Steerforth, proszę cię, nie uciekaj! Są to rybacy z Yarmouth, dobrzy, kochani ludzie, bliscy krewni mojej niani. Odwiedzili mnie.

– Dobrze, wybornie! – zawołał Steerforth, wracając. – Miło mi ich poznać! – Jak się macie, panowie!

Zachowanie jego było tak uprzejme, swobodne, bez cienia zbytecznej poufałości, że musiało wywierać czar nieopisany. Urok spoczywał w pięknej twarzy, wesołym, pogodnym uśmiechu, melodyjnym głosie, postawie zdrowej i energicznej i w czymś jeszcze nieokreślonym a nieprzepartym, w tej

⁹⁰ *chęć pochwalenia się (...)* czy *chęć wyjaśnienia (...)* skłoniły mnie (...) mówiąc – zdanie to zawiera błąd logiczny, a co za tym idzie stylistyczny: ma miejsce niezgodność podmiotów między zdaniem głównym a imiesłowowym; należałoby np. zastąpić imiesłów „mówiąc” zdaniem: „powiedziałem więc”. [przypis edytorski]

sile pociągającej, będącej własnością i tajemnicą niektórych wybranych. Urokowi temu mało kto mógł się oprzeć i nie dziw, że mu ulegli od razu moi goście. Na oścież otworzyli mu poczciwe serca.

– Niech pan, panie Peggotty – rzekłem – wysyłając do nas wiadomy list, poprosi, aby wspomniano w nim i o tym, że pan Steerforth niezrównanie dobry jest dla mnie. Nie wiem, co bym tu począł bez niego.

– Głupstwa! – zawołał, śmiejąc się, mój przyjaciel. – Zabawnie mówić o tym.

– A jeśli kiedy – ciągnąłem – pan Steerforth odwiedzi Norfolk lub Suffolk, przywiozę go najpewniej do Yarmouth w odwiedziny do pana. Nie uwierzysz, Steerforth, jaki dziwny jest ich dom. Wyobraź sobie, cały się mieści w jednej łodzi.

– Jak to, zrobiony z łodzi? – zawołał wesoło mój przyjaciel. – Przybytek godny żeglarza!

– Tak, panie! Najzupełniej – potakiwał oczarowany Ham. – Masz pan słuszość, najzupełniejszą słuszość. Panicz Davy wie, że jestem nieodrodnym żeglarzem, tak jak i on – wskazał na wuja, który nie mniej od chłopaka oczarowany, z mniejszą tylko skwapliwością połknął komplement. Kłaniając się i mnąc końce okalającej mu szyję chustki, dziękował skromnie:

– Wdzięczny, nieskończenie wdzięczny jestem... Każdy, panie, czyni, co może!... Spełniam po prostu swój obowiązek.

– Najlepsi to właśnie ludzie, którzy spełniają swój obowiązek, panie Peggotty – rzekł Steerforth, który od razu pochwycił

i zapamiętał nazwisko rybaka.

– Tak sędzę, tak sędzę, istotnie – mówił ten ostatni. – Dziękuję panu, wdzięczny jestem za jego uprzejmość dla nas. Prości jesteście ludzie, lecz szczerzy... Mam nadzieję, że mnie pan zrozumie, zawsze gotowi do usług, chata moja szczupła, ale na usługi. Jeśliby istotnie zechciał pan odwiedzić nas kiedy z paniczem...

Mówiąc to, zabierał się do wyjścia i za każdym słowem wracał się od drzwi i kłaniał:

– Bądźcie zdrowi! Obu paniczom życzę wszelkiej, wszelkiej pomyślności!

Ham wtórował. Pożegnaliśmy ich serdecznie. Przez cały wieczór brała mnie chętka opowiedzenia przyjacielowi o Emilce. Zbyt jednak byłem nieśmiały, zresztą bałem się narazić na żarty. Pamiętam, że z pewną przykrością rozmyślałem nad udzieloną mi przez pana Peggotty wiadomością, jakoby tak urosła, iż była już niemal kobietą. Wierzyć mi się w to nie chciało i wmawiałem w siebie, że to żarty.

Przyniesione przez gości mych przysmaki przenieśliśmy na górę i wieczorem dnia tego odbyła się prawdziwa uczta. Biednemu Traddesowi wyszło to na złe, rozchorował się bowiem w nocy. Lekarstwami, które by konia zabić mogły, opchany przez młodego Demple, posiadającego pomiędzy kolegami lekarską wziętość⁹¹, gdyż był synem lekarza, Traddles naraził się jeszcze nazajutrz za niewyjaśnienie przyczyny swej słabości na razy

⁹¹ wziętość – popularność, sława; też: wzięcie. [przypis edytorski]

i dawkę sześciu rozdziałów greckiej biblii.

Reszta tego szkolnego półrocza pozostała mi w pamięci jako ustawiczna troska i walka z otaczającymi nas warunkami istnienia; zmiany pór roku, zimnych ranków, gdy trzeba było podnosić się z łóżek, i bardzo zimnych wieczorów, gdyśmy kładli się do łóżek, szkolnej sali słabo ogrzanej i zaledwie skąpym oświetlonej światłem, chłodu przejmującego nas dniami całymi jednym długim dreszczem, monotonii gotowanego i pieczonego na zmianę mięsa, skibek chleba skąpo pociąganych masłem, książek w porwanych okładkach, popękanych tablic, łzami oblanych zeszytów, razów, ponurych dni świątecznych, mdłych, tłustych puddingów... a wszystko to pogrążone w brudnej, atramentowej atmosferze.

Pamiętam też, jak odległa z początku, że się niedościgła zdawała, perspektywa wakacji zbliżała się pomалу, stając się coraz wyraźniejszą. Liczyliśmy najpierw dzielące nas od upragnionej chwili miesiące, potem tygodnie i dni. Pamiętam, jaki mnie strach ogarniał na samo przypuszczenie, że nie wezmą mnie może do domu, i radość, która mnie opanowała, gdy mnie Steerforth upewniał, że na pewno tam pojedę. Zapewnienie to wprawiło mnie w szal szczęścia i przyjaciel mój zmuszony był ostrzec mnie, że łamiąc sobie rękę lub nogę wszystko zepsuje. Dzień upragniony zbliżał się szybko. Pojutrze... Jutro... dziś... natychmiast, dylizans odwiezie mnie do Yarmouth, a stamtąd tak już blisko do domu!

W dylizansie sen miałem przerywany gorączkowymi,

niejasnymi wizjami, lecz za każdym przebudzeniem, spoglądając przez okno, przekonywałem się ze wzrastającą radością, żeśmy opuścili Salem House, że wpadające mi w ucho dźwięki nie są razami wymierzanymi przez pana Creakle. Padały tym razem nie na plecy nieszczęsnego Traddlesa, lecz na grzbiety popędzanych przez woźnicę szkap pocztowych.

Rozdział VIII. Wakacje. Zwłaszcza jedno błogie popołudnie

Kiedyśmy nad ranem przyjechali do gospody, nie do tej jednak, w której miałem przypadek ze służącym, wprowadzono mnie do miłutkiego sypialnego pokoju z wymalowanym nad drzwiami wielorybem. Zziębnięty, pomimo gorącej herbaty, którą napojono mnie w sali przed płonącym na kominie ogniem, z przyjemnością położyłem się w łóżku Wieloryba, okryłem się kołdrą Wieloryba i zasnąłem czym prędzej.

Nazajutrz o dziewiątej miał zajechać po mnie pan Barkis. Wstałem o ósmej i choć bolała mnie głowa po zbyt krótkim spoczynku, gotów jednak byłem w porę do drogi. Woźnica powitał mnie tak, jak gdybyśmy się dopiero przed pięciu minutami rozstali, jak gdybym był dopiero wstąpił⁹² do gospody dla wymienienia na drobne pieniądze.

⁹² *jak gdybym był (...)* wstąpił – konstrukcja daw. czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynności i zdarzenia wcześniejsze od opisywanych w czasie prostym przeszłym; inaczej: jak gdybym wcześniej wstąpił. [przypis edytorski]

Skoro włożono do wózka mój kuferek i skorom usiadł⁹³, spokojny koń ruszył zwykłym swym powolnym, leniwym krokiem.

– Pan doskonale wygląda, panie Barkis – zauważyłem sądząc, że mu to robi przyjemność.

Barkis potarł twarz rękawem, jak gdyby się spodziewał, że coś z tej twarzy zobaczy na rękawie, jednak nic na mój komplement nie odpowiedział.

– Spełniłem pańskie zlecenie – dodałem. – Napisałem do Peggotty to, co pan chciał.

– Aha! – odrzekł. Zdawał się być kwaśny i odpowiadał niechętnie.

– Czym się źle wywiązał⁹⁴? – spytałem po chwili wahania.

– Co, jak? – spytał.

– Ze zlecenia.

– Zlecenie dobrze spełnione – odmruknął – tylko że nic z tego... nie wyszło.

– Nie wyszło? – spytałem, nie rozumiejąc zupełnie, o co idzie.

– Nie wyszło – powtórzył, spoglądając na mnie z ukosa. – Nie było odpowiedzi.

– A czyż miała być odpowiedź? – spytałem, szeroko otwierając oczy, gdyż przyznaję, na myśl mi to nie przyszło.

⁹³ *skorom usiadł* – inaczej: skoro usiadłem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

⁹⁴ *czym się źle wywiązał* – inaczej: czy się źle wywiązałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

– Gdy ktoś upewnia kogoś, że „gotów” – odrzekł, ciągle z ukosa spoglądając na mnie – to znaczy, co najmniej, że czeka odpowiedzi.

– Tak, panie Barkis!

– Tak. – I patrzył dalej na uszy konia. – Do tej pory nie doczekałem się odpowiedzi – dorzucił.

– Czy pan jej o tym mówił?

– Nie, nie mówiłem i nie powiem. Nigdy z nią trzech słów nie zamieniłem.

– To może ja pana wyręczę? – spytałem nieśmiało.

– Jeśli się podoba, może panicz powiedzieć jej – tu znów spojrział na mnie spode łba – że Barkis czeka na odpowiedź. Jak jej na imię?

– Na imię?

– Aha! – skinął głową.

– Peggotty.

– To chrzestne imię czy nazwisko?

– Oczywiście nazwisko, na imię jej Klara.

– Tak!

Okoliczność ta zdawała się pograżać go w głęboką zadumę. Jechaliśmy w milczeniu; woźnica pogwizdywał.

– Aha! – przemówił wreszcie. – Proszę powiedzieć jej, że Barkis gotów⁹⁵ i czeka odpowiedzi. A gdy spyta: „jakiej?”, „Na to, com napisał?”. „A co tam było?”, spyta. „Barkis gotów”,

⁹⁵ *Barkis gotów* – w oryg. *Barkis is willin'*, co można również tłumaczyć jako „ma zamiar”. [przypis edytorski]

odpowiesz.

Słowa te woźnica poparł energicznym ruchem ramion, który mnie niemal wysadzał z siedzenia, po czym w zwykły sobie sposób zapatrzył się na konia i nie przemówił już słowa. Może w pół godziny potem wyjął z kieszeni kawał węgla i napisał na wewnętrznej stronie budy „Klara Peggotty”, widocznie jako prywatny zapisek.

Z dziwnym uczuciem wracałem do domu, co przestał mi być domem! Z budzącymi się na każdym kroku wspomnieniami błogiej, niepowrotnej przeszłości, która wydała mi się niepowtarzalnym snem, czas, w którym matka, Peggotty i ja wystarczaliśmy sobie najzupełniej, kiedy nikt nas nie dzielił, stawał w pamięci, takim bólem ściskając serce, żem żałował, iż jestem tak blisko tych miejsc i chętnie zawróciłbym z powrotem, aby mój żal i bolesne wspomnienia zatopić w przyjaźni Steerfortha. Za późno! Staaliśmy przed domem. Stare wiązy wyciągały ku zimowemu niebu liczne gałęzie, a resztki starych wronich gniazd unosił wiatr.

Woźnica, zdjawszy mój kuferek, pozostawił mnie przed bramą i odjechał. Przechodząc wiodącą do domu ścieżką, spoglądałem nieśmiało w okna, bojąc się, że dojrzę w którymś z nich pana albo pannę Murdstone. Żadna jednak nie ukazała się twarz i cichym, nieśmiałym krokiem szedłem do domu.

Bogu tylko wiadomo, jakie niemowlęce, niejasne wspomnienia obudził głos mojej matki, śpiewającej w bawialnym pokoju. Śpiewała tak cicho, słodko! Zdawało mi

się, że spoczywam jako niemowlę na jej kolanach. Wrażenie to, chociaż zupełnie nowe, wypełniało mi serce niby powrót drogiego starego przyjaciela.

Z głosu i sposobu, w jaki matka moja nuciła tę kołysankę, wniosłem, że musi być sama. Cicho otworzyłem drzwi, na palcach wsunąłem się do pokoju. Siedziała przed ogniem, kołysząc na rękę niemowlę, którego drobne rączki tuliła do swej szyi. Śpiewała wpatrzona w drobną twarzyczkę dziecka. Nie pomyliłem się, była sama!

Przemówiłem. Drgnęła. Poznając mnie, rozplakała się, nazwała swym Davy, synkiem jedynym, a biegnąc na spotkanie, uklękła na ziemi, aby mnie lepiej móc uściskać, i tuląc moją głowę do swych piersi, przytuliła jednocześnie do ust moich drobne niemowlęce rączkę.

Czemuż nie umarłem w tej chwili! Niebo miałem w sercu!

– Braciszek twój – mówiła tkliwie matka moja – Davy! Dobre moje, kochane, biedne dziecko!

Całowała mnie, ścisnęła, znów całowała, aż nadbiegła Peggotty, przykucnęła przy nas na ziemi i nie wiedziała sama, co robić z radości, czy mnie czy brata mego pieścić i całować. Pół godziny co najmniej minęło, zanim zdążyliśmy ochłonać.

Nie oczekiwano mnie jeszcze, gdyż woźnica przybył za wcześnie, a pan i panna Murdstone byli nieobecni i wrócić mieli dopiero wieczorem. Przechodziło to moje oczekiwanie. Nie śmiałem nawet przypuszczać, aby raz jeszcze w życiu pozostawiono nas troje samym sobie, jak bywaliśmy dawniej.

Siedliśmy razem do stołu, tuż przed kominkiem. Peggotty chciała nam usługiwać, ale matka moja kazała jej zająć miejsce obok mnie. Dano mi mój dawny talerz z wymalowanym na brązowo wojennym okrętem pod pełnymi żaglami, który Peggotty skrzętnie przechowywała w głębi szafy, skąd go obecnie wy dostała. Dano mi mój stary kubek z wyrżniętym na nim imieniem „Dawid”, nożyk, który nie krajał, i mały mój widelczyk.

Przy stole uważałem za stosowne wywiązać się z danego mi przez woźnicę zlecenia, lecz za ledwim rozpoczął⁹⁶, Peggotty roześmiała się, kryjąc twarz w fartuchu.

– Cóż to znaczy, Peggotty? – pytała moja matka.

Peggotty nie odpowiadała i, nie odkrywając twarzy, śmiała się do rozpuku.

– Ale cóż ci się stało? – nalegała, śmiejąc się też, moja matka.

– Niech go! – rzekła wreszcie Peggotty – chce się ze mną żenić.

– To byłaby dla ciebie bardzo dobra partia – zauważyła moja matka.

– Może być, sama nie wiem – odparła Peggotty. – Ale choćby był złoty cały, ja nie chcę.

– Czemuż mu tego nie powiesz? Ty zabawne stworzenie!

– A co mam mówić – broniła się, uchylając fartucha, Peggotty – kiedy ani razu nie wspomniał o tym, ani w ogóle o niczym.

⁹⁶ *za ledwim rozpoczął* – inaczej: za ledwie rozpocząłem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

Oho, nie śmiałyby! Wydrapałabym mu oczy!

Nigdy jeszcze nie widziałem Peggotty tak czerwonej jak wtedy. Kilka razy kryła twarz w fartuchu, wybuchając śmiechem. Matka moja, chociaż się też uśmiechała, była jednak zamyślona. Teraz dopiero dostrzegłem zmiany w jej twarzy. Ładna była jak zawsze, lecz schudła i posmutniała. Ręce też jej wyszczuplały, zbladły, wydawały się niemal przezroczyste. Nie na tym jednak polegała główna zmiana. Była wciąż wystraszona jakby i niepewna. Po jakimś czasie, kładąc rękę na ramieniu wiernej sługi, rzekła:

– Peggotty! Nie wyjdiesz za mąż?

– Ja, pani? – odrzekła Peggotty, wytrzeszczając oczy. – Nie, nigdy!

– Przynajmniej nie teraz, nie zaraz – prosiła tkliwie matka moja.

– Nigdy! – wołała Peggotty.

Matka moja ujęła jej rękę.

– Nie opuszczaj mnie, kochanie, pozostań ze mną... Nie na długo już może... Nie wiem, co bym poczęła bez ciebie.

– Porzucić panią! Ja bym miała porzucić! – wołała pocziwa Peggotty – kto w panią mógł takie rzeczy wmówić, oj głowa, ta głowa!

Traktowała często matkę moją jak małe dziecko. Lecz ona, nie zważając na to, dziękowała jej z wylaniem⁹⁷, a pocziwa

⁹⁷ z *wylaniem* (daw.) – wylewnie; serdecznie, dając wyraz uczuciom. [przypis edytorski]

Peggotty gadała dalej po swojemu:

– Ja bym miała panią opuścić! To by było dopiero! Chciałabym to widzieć! Nie, nie, nie i jeszcze raz nie, to niemożliwe! Nie! Chociaż jest tu ktoś, komu byłoby na rękę, oj i bardzo na rękę. Niech się łudzą! Nic z tego nie będzie, zostaną na złość im, jak gdybym w ziemię tu wrosła, aż do grobowej deski. Gdy postarzeję, ogłuchnę, oślepnę, wszystkie już zęby stracę i będę do niczego, Davy da mi kątek i kęs chleba. Czy tak, Davy?

– A! Jak to będzie dobrze! – zawołałem. – Będiesz u mnie szczęśliwa jak królowa.

– Niech cię Bóg ma w swej świętej opiece! Poczciwe serce! – wołała Peggotty, pokrywając mnie pocałunkami w przedwczesnej wdzięczności za obiecaną gościnność; potem zakryła ponownie twarz fartuchem, śmiejąc się znów, zapewne z Barkisa, po czym wyjęła niemowlę z kołyski i zaczęła nosić je dokoła pokoju. Po chwili położyła je w kołysce, sprzątnęła ze stołu i wreszcie usiadła naprzeciw nas z robotą w rękę, kawałkiem wosku i pudełkiem do robót, najzupełniej tak, jak bywało dawniej.

Siedząc tak, gwarzyliśmy wesoło. Opowiadałem, jak srogi i okrutny jest pan Creakle. Obie, matka i Peggotty, rozplywały się w żalu nad moim losem. Opowiadałem o Steerforcie i Peggotty dodała, że poszłaby chętnie piechotą do Londynu, aby go tylko zobaczyć. Gdy niemowlę obudziło się, wziąłem je delikatnie na ręce i zacząłem kołysać. Gdy usnęło, przytuliłem

się do matki, jak dawniej bywało, zarzuciłem jej ręce na szyję, twarz oparłem o ramię i znów mnie na kształt skrzydeł anioła opłynęły miękkie jej włosy... I znów się czułem szczęśliwy...

Gdy siedziałem tak, zapatrzony w ogień i biegające nad rozżarzonym węglem iskierki, zdawało mi się, że nigdy nie wyjeżdżał z domu, że wszystko było snem – i pan, i panna Murdstone znikli jak te pogasłe płomyki... Prawdą żywą było to tylko, co mnie otaczało: matka moja i Peggotty.

Peggotty z pończochą w lewej, a igłą w prawej ręce cerowała. Nie pojmuję, skąd się jej brały te wieczne dziury w pończochach. Odkąd pamięcią sięgam, codziennie je cerowała.

– Ciekawa jestem – ozwała się nagle – co się stało z ciotką Davy?

– Boże mój! – matka moja ocknęła się z zamyślenia. – Skąd ci się to wzięło?

– Nie wiem, pani. Dość, że jestem ciekawa.

– Skąd ci na myśl przyszła ta dziwaczka? Czy nie masz już o czym myśleć?

– Nie wiem, pani, skąd mi to przyszło, ot tak sobie. Myślę to o tym, to o owym i poradzić już na to nie mogę. Ot, pomyślałam, co się też z nią stało?

– Jakże jesteś nieroztropna! Można by sądzić, że spragniona jesteś jej odwiedzin.

– A niechże Pan Bóg broni!

– Więc po co mówić o tak nieprzyjemnych rzeczach! Panna Betsey siedzi pewnie zamknięta w swym wiejskim domku nad

morzem i pozostanie tam zawsze. W każdym razie na pewno nie odwiedzi już nas nigdy.

– Zapewne, zapewne! Tego się nie boję i tylko ciekawa jestem, czy umierając zapisze coś Dawidowi.

– Bój się Boga, Peggotty! Jakże jesteś nierozważna! Czyś zapomniała, że gniewa się na tego biedaka od jego urodzenia?

– Może mu przebaczy.

– Czemużby teraz właśnie miała przebaczyć? – spytała z pewnym niezadowoleniem moja matka.

– Bo teraz Davy ma braciszka – odrzekła Peggotty, a matka moja zaczęła płakać i wymawiać jej ostre słowa.

– Jak gdyby to maleństwo zrobiło jaką krzywdę tobie lub komukolwiek – mówiła łkając. – Niedobra, nieznośna zazdrośnico! Lepiej byś już raz wyszła za tego swego Barkisa. Czemu nie wychodzisz?

– Bobym tym zbytnio dogodziła panie Murdstone – żywo odrzekła Peggotty.

– Zabawna jesteś – ciągnęła matka moja – z tą wieczną zazdrością i niechęcią względem siostry mego męża. Można by cię posądzić, że ci tak bardzo chodzi o klucze, że chciałabyś wszystko mieć w swoich rękach, rządzić wszystkim... Jakbyś nie wiedziała, że wszystko, co panna Murdstone robi, czyni w najlepszej intencji, z łaski. Przecie wiesz o tym?

Peggotty pomrukiwała coś w rodzaju: „Niech ją licho porwie z jej łaską i dobrymi intencjami”.

– O! Wiem, wiem dobrze, co myślisz, niedobra! – mówiła

z żalem matka moja. – Rozumiem cię doskonale... Dziwię się tylko, że nie rumienisz się ze wstydu. Panna Murdstone służy tu tylko za pretekst. Czyś nie słyszała, jak mówi i powtarza, że jestem zbyt bezmyślna i... i...

– Ładna – odpowiedziała służąca.

– A jeśli i tak mówi – odparła już z uśmiechem matka moja – mamże⁹⁸ się obrażać o to?

– Nie, oczywiście...

– Przecież słyszałaś tysiąc razy, jak mówiła, że pragnie oszczędzić mi kłopotów i pracy, będącej, jak sądzi, nad moje siły. Może i ma słuszość... wstaje wcześniej, kładzie się późno, dzień cały biega tu i ówdzie, pełno jej w spiżarni, w kuchni, wszędzie... Niełatwa to rzecz i wcale nie przyjemna. A ty mówisz, że to nie jest poświęcenie. Co? Może nie mam racji?

– Nie przeczę.

– Przeczysz, właśnie że przeczysz. Poza swoją robotą nie widzisz niczego. Zawsze musisz coś wmawiać, zawsze. Taki to już twój zwyczaj i kiedy mówisz o zamiarach pana Murdstone...

– Wcale o nich nie mówię – przerwała z żywością Peggotty.

– Nie mówisz, lecz dajesz do zrozumienia, i w tym rzecz. Właśnie przed chwilą powiedziałam, że cię rozumiem i widzę, że tak jest. Otóż, gdy podajesz w wątpliwość dobre intencje pana Murdstone i udajesz, że je lekceważysz, przekonana jesteś tak, jak i ja, że są one najlepsze... powinnaś być

⁹⁸ *mamże* – konstrukcja z partykułą pytającą -że (nadającą charakter pytania retorycznego); inaczej: czy mam, czyż mam. [przypis edytorski]

przekonana... i jeśli był i jest zbyt surowy wobec pewnej, wiadomej nam osoby... Zresztą i ty, i ja, i nawet Davy wie, że nie może tu być mowy o nikim obecnym... to... to jedynie dla przyszłego dobra tejże osoby. Przez miłość dla mnie kocha on najpewniej ową osobę i działa dla jej dobra. W tym, jak i we wszystkim, musimy przyznać mu hart i wyższość. Sama wiem, jak słaba jestem, dziecinna, niedorzeczna, zwłaszcza wobec tak poważnego, stałego, pełnego charakteru i woli męża.

– Wiem też – ciągnęła, powstrzymując łzy – ile ma kłopotów ze mną. Wierzę mu ślepo, powinnam ulegać we wszystkim, we wszystkim... i być mu wdzięczna... Nieraz czynię sobie wyrzuty, trapią mnie wątpliwości i sama wówczas nie wiem, co począć.

Peggotty słuchała w milczeniu, trzymając w ręku pończochę i opierając na niej brodę, patrzyła w ogień.

– Peggotty – przerwała milczenie matka moja zmienionym już głosem – niech się raz skończy to nieporozumienie. Wiem, że jesteś najlepszą mą przyjaciółką i że na twoją tylko przyjaźń mogę liczyć, i kiedy mówię ci, że jesteś niedorzeczna, nieznośna, głupia, to dlatego tylko, że wiem, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, jesteś nią i byłeś od chwili, gdy mnie owego wieczoru, pamiętasz, spotkałeś na progu domu, do którego wprowadzał mnie pan Copperfield.

W odpowiedzi na te słowa Peggotty przycisnęła mnie z całej siły do piersi. Później dopiero pojąłem niezrozumiałe dla mnie wówczas znaczenie tej rozmowy i zdaje mi się, że pocziwa

Peggotty zaczęła ją i podtrzymywała w celu dostarczenia matce mojej sposobności do wylania sprzecznych zresztą, lecz z pewnością trapiących ją srodze uczuć. Wybieg udał się. Przez resztę wieczoru matka moja była już w weselszym i swobodniejszym usposobieniu.

Po herbacie, kiedy ogień wygasł na kominku i zapalono świece, przeczytałem Peggotty na głos rozdział z książki o krokodylach, którą szczególnie lubiła i obecnie z własnej wydostała kieszeni. Nie wiem, czy się z nią nosiła tak ciągle od dnia mego wyjazdu do szkoły. Potem rozmawialiśmy znów o Salem House, o Steerforcie i tak minął pamiętny wieczór, zamykający raz na zawsze rozdział, którego czas i życie nie zdołały zetrzeć z mego serca i pamięci.

Okolo dziesiątej na dziedzińcu zaskrzypiały koła powozu. Porwaliśmy się z miejsca i matka moja widząc, że jest późno, a pan Murdstone jest zdania, że dzieci powinny wcześniej chodzić spać, zauważyła z gorączkowym pośpiechem, czy nie lepiej byłoby, żebym odszedł na górę natychmiast, nie czekając wejścia pana i panny Murdstone. Ucałowałem ją, wziąłem świecę i udałem się po schodach na górę, zanim oni weszli. Gdy kładłem się pośpiesznie tego wieczoru, dziecięca wyobraźnia moja uderzona była wrażeniem, jak gdyby przybyli wniesli z sobą do domu chłodny powiew, zmiatający ciepłe rodzinne uczucia niby puch marny.

Nazajutrz, schodząc na śniadanie, czułem się dziwnie zmieszany. Od owego ukąszenia nie spotkałem się jeszcze

ze wzrokiem pana Murdstone. Po długim dopiero wahaniu wszedłem do stołowego pokoju.

Stał przed kominkiem, plecami odwrócony do ognia. Siostra jego nalewała herbatę. Patrzył na mnie z góry, lecz gdym wszedł, nie uczynił najlżejszego ruchu.

Zbliżyłem się i przewyciężając wahanie i nieśmiałość powiedziałem:

– Przepraszam bardzo pana! Żałuję mego postępuku, chciałbym, aby mi pan przebaczył.

– Zadowolasz mnie swą skruchą – odrzekł.

Podał mi tę samą rękę, którą niegdyś ugryzłem. Nie mogłem powstrzymać się od spojrzenia na siną, z ukąszenia pozostałą bliznę. Chyba sam gorzej jeszcze się płoniłem pod surowym i ponurym jego wzrokiem.

– Jak się pani miewa? – spytałem pannę Murdstone.

– Dobrze – odparła, podając mi nie rękę, lecz łyżeczkę od herbaty – a czy długo trwać będą wakacje?

– Miesiąc.

– Licząc od kiedy?

– Od dnia dzisiejszego.

– Uf! To już o jeden dzień mniej.

W podobnie uprzejmy sposób zmieniła się w chodzący kalendarz. Co rano przypominała mi dzień po dniu zbliżającą się chwilę opuszczenia domu. Zanim doszliśmy do dziesięciu, czyniła to kwaśno, potem z coraz weselszym zacięciem i widocznym już zadowoleniem.

Tego też pierwszego dnia moich wakacji miałem nieszczęście wprowadzić ją, chociaż z pozoru była niewzruszona, w gwałtowne zdumienie. Wszedłem do bawialnego pokoju, w którym siedziała wraz z matką moją, i wziąłem tkliwie i uważnie na ręce leżącego na jej kolanach braciszka, który liczył zaledwie kilka tygodni. Panna Murdstone krzyknęła nagle tak, żem o mało nie wypuścił z rąk dziecięcia.

– Co ci, Jane? – spytała przestraszona matka moja.

– Na Boga, Klaro! Widzisz?

– Co takiego?

– Wziął je! Chłopiec ten wziął na ręce dziecko!

Trzęsła się z oburzenia, wrywając mi go z rąk, po czym słabo się jej zrobiło i trzeba było ją poić winem. Naturalnie w następstwie tej sceny zakazano mi stanowczo dotykać się, nawet z lekka, do mego brata i chociaż matka moja zdawała się żywić wręcz przeciwne zdanie, ze zwykłą swą łagodnością przystała na żądanie panny Murdstone.

– Masz oczywiście rację, Jane! – powiedziała.

Innym znów razem ten sam kochany braciszek (pokochałem go sercem całym, jako dziecko mej matki) stał się nieoczekiwanie powodem gniewu panny Murdstone. Matka moja, wpatrując się w oczęta spoczywającego w objęciu dziecka, zagadnęła nagle:

– Davy, chodź tu, bliżej – po czym zaczęła przypatrywać się uważnie moim oczom.

Panna Murdstone opuściła na kolana stalowe swe paciorki.

– Najzupełniej podobne – ozwała się z zadowoleniem matka – najzupełniej, po mnie wziąć je musieli, są tego samego co i moje koloru, dziwnie podobne!

– Co mówisz? Klaro! – surowo spytała Jane Murdstone.

– Kochana Jane – nieśmiało odrzekła z nagłą zagadnięta matka moja – znajduję podobieństwo pomiędzy oczyma Davy i małego.

– Zwariowałaś chyba, Klaro! – zdecydowała z niezadowoleniem panna Murdstone.

– Ależ, kochana Jane!...

– Zwariowałaś najzupełniej. Jakież podobieństwo, proszę cię, istnieć może między tym chłopcem a synem mego brata? Żadne! Pod każdym względem są i muszą być zupełnie różni. Nieprzyjemnie mi nawet słuchać podobnych bzdurstw – skończyła i wyszła, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Widocznie nie posiadałem łask panny Murdstone. Widocznie nikt mnie tam nie lubił, nawet ja siebie samego, gdyż ci, co mnie kochali, nie śmieli tego okazywać, a ci, którym niemiły byłem, okazywali to znów tak bez ceremonii, że mimo woli stawałem się nieśmiały, niezręczny, posepny. Czułem, że jak sobie, tak i dla wszystkich jestem ciężarem. Gdym wchodził do pokoju, w którym gwarzyli, natychmiast wesołość opuszczała matkę, chmura osiadała na jej czole, znikał dobry nastrój pana Murdstone, a podwajał się zawsze kwaśny humor jego siostry. W tym wszystkim czułem dobrze, że główną ofiarą była moja matka, czułem, że boi się swobodnie mówić ze mną, patrząc

na mnie, żeby się im nie narażać i nie znosić potem cierpkich snadź⁹⁹ wymówek. I nie o siebie samą lękała się biedaczka, lecz i o mnie, niespokojnie śledząc zwrócone na mnie oczy rodzeństwa Murdstone. Widziałem to, rozumiałem i, o ile mogłem, unikałem ich. Niejedna zimowa godzina wydzwoniła na kościelnej wieży, w czasie gdy ja smutny i samotny siedziałem w moim pokoiku. Wieczorami przebywałem czasem z Peggotty w kuchni. Tu czułem się swobodny, nie bałem się być sobą. Zdaje się jednak, że zarówno to, jak i wybrana przeze mnie samotność nie podobały się w bawialnym pokoju. Potrzebny byłem prześladowcom naszym dla dokończenia tego, co nazywali wychowaniem mojej biednej matki. Gniewała ich moja nieobecność.

– Dawidzie – zauważył raz po obiedzie, kiedym się już oddalał, pan Murdstone – z przykrością patrzę na nietowarzystkie twe usposobienie.

– Ponury jak niedźwiedź – dodała panna Murdstone.

Zatrzymałem się na środku pokoju i zwiesiłem głowę.

– Czy wiesz, Dawidzie – ciągnął pan Murdstone – że ponurość i skrytość są to najnieznośniejsze cechy charakteru?

– Są one u chłopców nieomylną oznaką uporczywości i przekory – zauważyła panna Murdstone. – Musiałś to zauważyć, Klaro?

– Przepraszam cię, kochana Jane – odrzekła zagadniona¹⁰⁰ – czy to, co mówisz... przepraszam cię, kochana Jane, odnosi się

⁹⁹ *snadź* (daw.) – widocznie, najwyraźniej; zapewne. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *zagadniony* (daw. forma) – dziś: zagadnięty. [przypis edytorski]

do mego syna?

– Naturalnie – odrzekła panna Murdstone – muszę przecież, gdy mówię, mieć kogoś na myśli. Nie roszczę pretensji do szczególnej głębokości poglądów, lecz sądzę, że nie mijam się nigdy ze zdrowym rozsądkiem.

– Najpewniej, kochana Jane – podchwyciła matka moja – masz wiele, wiele przenikliwości.

– Och! proszę cię, nie mówmy o tym – odparła ze złością panna Murdstone.

– Ale tak, tak – twierdziła matka moja – wszystkim to wiadomo i ja sama korzystam... to jest powinna bym korzystać ze światłych rad twych i wskazówek. Uznaję, wierz mi, uznaję więcej niż kto bądź...

– O! tak, nie możemy zrozumieć tego chłopca – mówiła z godnością panna Murdstone, poprawiając stalowy łańcuszek na rękę. – O! tak! nie jesteśmy zdolni zrozumieć i zgłębić tej studni wszelkich doskonałości. Zgadzam się z tym, zgadzam. Bratu memu przynajmniej może przyznana zostanie większa przenikliwość. Właśnie miał coś powiedzieć w tym względzie, gdyśmy mu przerwały... jak sądzę, niezbyt grzecznie.

– Istotnie, Klaro! – ozwał się cichym, głębokim głosem pan Murdstone – nie możesz być bezstronnym sędzią w pewnych kwestiach.

– Wiem, Edwardzie – odrzekła nieśmiało matka – że we wszelkich kwestiach i ty, i siostra twoja biegłymi ode mnie bywacie sędziami, i to tylko chciałam powiedzieć...

– Z pewnością coś niedorzecznego – odparł pan Murdstone – powinnaś bardziej panować nad sobą.

Usta matki mojej poruszyły się, jak gdyby szeptały: „Zapewne, drogi Edwardzie”, nie wydały jednak żadnego dźwięku.

– Z przykrością zauważyłem – ciągnął pan Murdstone, zwracając się do mnie – twe ponure usposobienie i nie mogę zezwolić, aby się ono rozwijało pod mym okiem. Konieczne jest, abyś starał się zmienić lub... my się o to postaramy.

– Przepraszam pana – próbowałem się bronić – dawniej nie byłem ponury...

– Nie zasłaniaj się kłamstwem – huknął tak, że aż matka moja pobladła i mimo woli wyciągnęła ku nam ręce. – Wiem, co mówię. Chowasz się po kątach, przesiadujesz godzinami całymi w swoim pokoju. Wiedz, że chcę, wyraźnie chcę, abyś ciągle dotrzymywał nam towarzystwa, tu pod naszym okiem. Znasz mnie i wiesz, że umiem, gdy potrzeba, nakazać ci posłuszeństwo.

Panna Murdstone zaśmiała się ochryple.

– Wymagam – ciągnął – posłuszeństwa, zaufania i uprzejmości tak dla siebie, jak dla siostry mojej, Jane Murdstone, jak i dla twej matki. Nie chcę, abyś uciekał od nas jak od zapowietrzonych dla dogodzenia swym kaprysom. Usiądź tam.

Mówił do mnie jak do psa i ja słuchałem go jak pies swego pana.

– Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego – ciągnął –

zauważyłem u ciebie zamiłowanie do złego towarzystwa, bratasz się ze służącymi, najchętniej przebywasz w kuchni, gdzie z pewnością niczego dobrego nauczyć się nie możesz. Baba, co cię rozpieszcza, nie o tobie to mówię, Klaro – wtrącił półgłosem, zwracając się do żony – ta baba, która dogadza wszelkim twym zachciankom, nie jest wcale odpowiednim dla ciebie towarzystwem...

– Najnieodpowiedniejszym¹⁰¹ – potakiwała panna Murdstone.

– Jednym słowem – kończył – nie wymagam, abyś gardził panią Peggotty, mówię tylko, że to nie jest odpowiednie dla ciebie towarzystwo, że powinieneś zastosować się w zupełności do mojej woli i obliczyć następstwa, jakie krnąbrność twoja pociągnie. Rozumiesz mnie?

Rozumiałem lepiej może, niż przypuszczał, jakie następstwa wyniknąć by mogły dla biednej mej matki, i nie próbowałem nawet stawić oporu. Zaprzestałem chronić się w samotności, zaprzestałem przesiadywać z kochaną mą piastunką i całe dni przesiadywałem beczynnym i milczącym w bawialnym pokoju, niecierpliwie wyglądając nocy jak wybawienia.

Ile mnie ten przymus kosztował, jak nużył, nie potrafię wyrazić. Za najłżejszym mym poruszeniem panna Murdstone utyskiwała na ruchliwość chłopców w ogóle, a na moją w szczególności. Nie śmiałem podnieść oczu, wiedząc, że jestem przedmiotem ustawicznego i nieprzyjaznego badania.

¹⁰¹ *najnieodpowiedniejszym* – dziś popr. forma złożona: najbardziej nieodpowiedni. [przypis edytorski]

Wysłuchiwałem się w tykanie zegara, w dźwięk nawlekanych przez pannę Murdstone koralu i myślałem, jak nieszczęśliwy byłby ten, kto by się z nią ożenił. Liczyłem żłobienia kominka, kwiaty na obiciach, rysy na suficie... Ot, nudne to i ciężkie były godziny!

Podczas, krótkich nawet, zimowych przechadzek pod oknami domu nosiłem wszędzie ze sobą obraz rodzeństwa Murdstone – jarzmo za ciężkie na moje słabe barki, ugniatające mi umysł i męczące zmysły. A obiady! Śniadania! Spożywałem je onieśmielony, milcząc, czując zawsze, że u stołu było jedno nakrycie nadto, i to moje właśnie, jedno krzesło nadto, i to moje, jedna osoba zbyt liczna – moja.

A wieczory! Zapalano świece. Musiałem się przecie czymkolwiek zająć, a nie śmiejąc otworzyć zajmującej lub zabawnej książki drzemałem nad nudną książką od arytmetyki, której tablice miar i wag tańczyły mi przed oczyma na melodię pieśni *Władaj, Brytanio*¹⁰² albo *Precz, smutki*¹⁰³, nie wrażając się

¹⁰² *Władaj, Brytanio* – w oryg. *Rule Britannia*, pieśń ze sławnym refrenem „*Rule, Britannia! Britannia, rule the waves: / Britons never will be slaves*” (tj. „władaj, Brytanio, władaj nad falami: Brytyjczycy nigdy nie będą niewolnikami”); skomponowana przez Thomasa Augustine’a Arne (1710–1778) w 1740 r. do słów wiersza Jamesa Thomsona (1700–1748) z okazji przedstawienia *Alfred* z gatunku *masque* wystawianego na dworze księcia Walii; szybko zyskała popularność, szczególnie wśród marynarzy, stając się sztandarową pieśnią patriotyczną, drugim nieformalnym hymnem Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

¹⁰³ *Precz, smutki* – w oryg. *Away with Melancholy*, drobny utwór w rytmie menueta, pierwotnie skomponowany przez Mozarta. [przypis edytorski]

w pamięć i umysł, na kształt prątków¹⁰⁴, które wpychane w jedno oczko wyłaziły drugim.

Ileż wymknęło mi się poziewań, ileż razy zdrzemnąłem się, aby się przebudzić w największym strachu! Jakże się czułem zbyteczny, na nic nikomu niepotrzebny i ciągle strzeżony! Z jaką niecierpliwością czekałem uderzenia dziewiątej godziny i rozkazu panny Murdstone odsyłającego mię do łóżka!

Tak przeszły wakacje do dnia, w którym z rana panna Murdstone, podając mi filiżankę herbaty, zauważyła, że jest on ostatnim.

Odjeżdżałem bez żalu. Wpadłem w stan zupełnego ogłupienia, ale pomimo jasno rysującego się w perspektywie pana Creakle nie bez pociechy myślałem o spotkaniu ze Steerforthem. Znowu pan Barkis podjechał z wózkiem pod bramę i znowu panna Murdstone, widząc, że mię matka chce uściskać na pożegnanie, nie omieszkała zawołać ostrym i ostrzegającym tonem:

– Klaro!

Ucałowałem matkę, braciszka, czułem, jak mi się serce ściska... nie z żalu jednak, że opuszczam mój dom. Widziałem przepaść dzielącą mnie od moich bliskich, wśród których czułem się przez cały ten czas obcy i zbyteczny. Ostatni pocałunek matki mojej tkliwy, jak zawsze, nie tyle mi się wraził w pamięć, ile to, co po nim nastąpiło. Siedziałem już w wózku, gdy raz

¹⁰⁴ *prątki* (daw.) – pręciki; tu: druty do robót ręcznych (dziergania pończoch, swetrów, szali itp.). [przypis edytorski]

jeszcze głos jej usłyszał; wołała mię po imieniu. Odwróciłem się spiesznie. Stała we drzwiach sama, podnosząc braciszka, abym go mógł lepiej widzieć. Dzień był chłodny, lecz żaden powiew wiatru nie poruszył ani włosów jej, ani fałd sukni, gdy tak stała w drzwiach, odprowadzając mnie długim, długim spojrzeniem, aż mi znikła z oczu.

Taką widywałem ją potem w moich snach, stojącą przy mym łóżku, cichą, milczącą, nieruchomą, z małym dzieckiem na ręku.

Rozdział IX. Pamiętna rocznica urodzin

Pomijam wszystko, co zaszło w szkole aż do moich urodzin, przypadających w marcu. Nic szczególnego nie utkwiło mi w pamięci oprócz tego, że Steerforth budził we mnie coraz większe uwielbienie. Przy końcu półroczka, jeżeli nie wcześniej, miał opuścić szkołę, co mu nadawało w moich oczach więcej jeszcze niezależności i śmiałości. Inne drobne wrażenia giną w jednym wielkim pozostałym mi z tej epoki wspomnieniu. Trudno mi nawet przypuścić, że całe dwa miesiące upłynęły od mego powrotu z wakacji do rocznicy mych urodzin. Rozumiem tylko, że tak być musiało, chociaż wciąż mi się zdaje, że wypadki nastąpiły po sobie bez żadnej przerwy.

Jakże jasno pamiętam ów dzień! Czuję jeszcze mgłę wiszącą w powietrzu, widzę biały szron na gałęziach do widm podobnych drzew, czuję lepkie od wilgoci włosy spadające mi na czoło, patrzę w mroczne przestrzenie szkolnej izby, rozświecone w to

mgliste i ciemne rano zapalonymi tu i ówdzie świecami, słyszę moich towarzyszy ogrzewających oddechem zziębnięte ręce, a tupaniem zlodowaciałe nogi.

Zjedliśmy właśnie śniadanie i mieliśmy wyjść na przechadzkę, gdy, ukazując się we drzwiach, pan Sharp zawołał.

– Dawid Copperfield proszony jest do bawialnego pokoju.

Spodziewałem się w skrytości ducha przesyłki z jakim przysmaczkiem od Peggotty. Porwałem się też z miejsca rażnie, słysząc goniące mnie wołanie towarzyszy, abym nie zapomniał o nich przy uczcie.

– Nie śpiesz, Dawidzie – zauważył pan Sharp – nic pilnego, mój chłopcze, nic pilnego.

Ton pełen współczucia, jakim przemawiał, powinien był zastanowić mnie, lecz nie zwróciłem na to wówczas uwagi, później dopiero przypomniałem sobie. Wchodząc pośpiesznie do bawialnego pokoju, zastałem pana Creakle spożywającego śniadanie i przerzucającego dzienniki. Pani Creakle trzymała w ręku rozpieczętowany list. Przesyłki nigdzie ani śladu.

– Dawidzie Copperfield – ozwała się pani Creakle, wiodąc mnie ku kanapie i sadzając przy sobie – chciałabym pomówić z tobą... mam ci coś do powiedzenia, moje dziecko.

Pan Creakle, na którego spojrzałem, kiwnął tylko głową, zatrzymując się z połknięciem kawałka grzanki.

– Jesteś zbyt młody – ciągnęła pani Creakle – aby rozumieć rozciągłość zmian, jakie dzień każdy przynosi w rzeczach... i w ludziach. Wszyscy jednak wcześniej czy później doświadczyć

musimy tej bolesnej prawdy. Jednych spotyka to w późniejszym, innych w bardzo młodym wieku.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Kiedyś opuszczał dom po wakacjach, czyś wszystkich zostawił w dobrym zdrowiu? – spytała po chwili namysłu. – Czy matka twoja była jeszcze zdrowa?

Dreszcze mię jakieś przebiegły, sam nie wiem czemu. Zamiast odpowiedzieć, patrzałem na mówiącą.

– Bo to widzisz, moje dziecko – rzekła – doszła mnie właśnie wiadomość, że... jest ciężko chora.

Pomiędzy mną a mówiącą spadł niby obłok, zasłaniając mi jej twarz. Po chwili dwa strumienie piekących łez spłynęły mi z oczu.

– Bardzo, bardzo jest chora – dodała.

Zrozumiałem.

– Umarła.

Słowo to było zbyteczne. Płakałem, jak płaczą sieroty.

Pani Creakle dobra była i okazała mi wiele współczucia. Zatrzymała mnie przy sobie dzień cały, często pozostawiając samego. Płakałem, dopóki sen mnie nie zmorzył, a potem budziłem się, by znów płakać. Gdy mi już łez nie starczyło, zacząłem rozmyślać, co bynajmniej¹⁰⁵ boleści mej nie zmniejszało.

Puste jednak były myśli moje, błąkały się wokół mej niedoli, zahaczały o tysiące drobnostek. Myślałem o ciszy,

¹⁰⁵ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

jaka tam zapanować musiała, o zamkniętych oknach. Myślałem o braciszku, o którym pani Creakle mówiła mi, że jest chory od pewnego czasu i umrze też prawdopodobnie. Myślałem o mogile mego ojca na cmentarzu i o tej, którą wykopano zapewne dla mojej matki pod dobrze znanymi mi drzewami. Pozostawszy sam, wlałem na krzesło, aby się przekonać w lustrze, czy mam zaczerwienione oczy i zasmuconą twarz. Pytałem siebie w duchu, dlaczego łzy płyną tak obficie i są takie ciężkie i czy mi się znów rzucą do oczu, gdy się zbliżę do domu, dokąd miałem udać się na pogrzeb. Czułem przy tym, że boleść moja wyróżnia mię spośród towarzyszy, dając mi pewną przewagę nad nimi.

Boleść jednak w mym dziecięcym sercu była głęboka i rozdzierająca. Mimo to z pewną dumą wszedłem po południu do szkolnej izby, gdzie pod zwróconymi na mnie spojrzeniami krok mój stawał się powolniejszy, twarz smutniejsza, a gdy towarzysze otoczyli mnie ze słowami współczucia, za zasługę nawet poczytywałem sobie, że ich traktuję serdecznie, że zwracam na nich uwagę tak, jak gdyby nic szczególnego w mym życiu nie zaszło.

Udać się miałem do domu nazajutrz rano już nie dyliżansem, lecz wozem służącym dla wieśniaków do wszystkich przejazdów po niewielkich przestrzeniach. Wieczorem nie było naturalnie mowy o codziennych opowieściach, a poczciwy Traddles chciał mi koniecznie oddać swą poduszkę. Wątpię, czy istotnie była mi potrzebna, gdyż miałem własną; sądzę, że ofiarowywał mi ją jako jedyną rzecz, którą posiadał, oprócz znakomitego zbioru

rowanych w najrozmaitszy sposób kościotrupów. Zbiór ten też ofiarował mi na wyjeźdny jako pociechę i najskuteczniejszy sposób przywrócenia zakłóconej równowagi.

Po południu wyjechałem z Salem House, nie przypuszczając, że wyjeżdżam bezpowrotnie. Dopiero nazajutrz o dziewiątej czy dziesiątej rano stanęliśmy w Yarmouth. Próżno szukałem znanego mi woźnicy Barkisa. Nie było go, zjawił się natomiast niski, pękaty człowieczek, wesoły, uśmiechnięty, ubrany na czarno, z kokardami u spodni i w czarnych pończochach.

– Czy pan Copperfield? – spytał.

– Jestem – odpowiedziałem.

– Proszę kawalera – rzekł, otwierając drzwiczki pojazdu. – Zlecono mi tu spotkać kawalera.

Wziął mnie za rękę; gubiłem się w domysłach, idąc z nieznanym do sklepu położonego przy wąskiej uliczce. Nad drzwiami czerniał napis:

Omer, krawiec, dostawca galanterii, ubrań żałobnych, liberii itd.

Sklep szczupły był i ciasny, przepelniony wykończonymi i w robocie będącymi przedmiotami, z oknem zasłoniętym do połowy piętrzącymi się na nim kapeluszami, czapkami i tym podobnie¹⁰⁶. Przeszedłszy sklep, znaleźliśmy się w małej izdebce. Trzy młode kobiety zajęte były tu krajaniem i szyciem czarnego materiału, którego skrawki walały się na stołach

¹⁰⁶ *i tym podobnie* – itp.; właściwie powinno być: i tym podobnymi. [przypis edytorski]

i podłozie. Na kominie płonął duży ogień, a w pokoju rozchodziła się woń przypalonej czarnej krepy¹⁰⁷. Woń tę, nieznaną mi przedtem, nauczyłem się odtąd doskonale odróżniać.

Trzy młode szwaczki, jak się zdawało, zadowolone i bardzo zajęte robotą, podniosły na chwilę wzrok, aby się mi przypatrzeć, i natychmiast wróciły do szycia i krajania: „Czyk, czyk, czyk”. Za oknem wtórowało im równomierne i jednostajne uderzenie młotka: „Rat-tat-tat, rat-tat-tat”.

– No! – zawołał towarzysz mój, zwracając się do jednej ze szwaczek – jak ci idzie robota, Minnie?

– Skończymy w porę – odrzekła wesoło zagadnięta, nie podnosząc głowy. – Bądź spokojny, ojczu.

Pan Omer zdjął kapelusz; usiadł, by się wysapać, co mu jego otyłość nakazywała po każdym zmęczeniu.

– Dobrze – rzekł wreszcie.

– Ojczu! – zawołała Minnie – czemuś taki smutny?

– Sam nie wiem doprawdy dlaczego, kochanie! – odpowiedział po chwili namysłu. – Ale tak jest.

– Zwykle bywasz wesoły, rozmowny. Nie bierzesz niczego do serca.

– Najlepsza to metoda.

– Zapewne! Toteż nikomu tu z nas nie brak wesołości –

¹⁰⁷ *krepa* – matowa tkanina o lekko pomarszczonej powierzchni a. ogólnie materiał czarny: nazwa dotyczy noszonego jako oznaka żałoby czarnego ubrania (względnie czarnej opaski), jak też materiału, z którego się je wykonuje. [przypis edytorski]

dorzuciło dziewczę.

– Dobrze, dobrze – potwierdził pan Omer. – A teraz, gdy się odsapał, wezmę miarę tego kawalera. Proszę kawalera do sklepu.

W sklepie krawiec pokazał mi sztukę sukna, którego gatunek zachwalał utrzymując, że najlepszy jest do ciężkiej żałoby, i zdjęwszy ze mnie miarę, zapisał ją w książeczce, zwracając przy tym moją uwagę na przeróżne fasony, o których mówił, że albo dopiero co weszły lub też wyszły już z mody.

– Tracimy na tym wiele – mówił – ale na to nie ma rady. Moda jak ludzie. Przybędą nie wiadomo jak, skąd, dlaczego, by odejść nie wiadomo jak, dokąd i po co. Zdaniem moim to wszystko jest wiernym odbiciem życia.

Zbyt smutny byłem, aby się wdawać w te, w każdym razie rozumienie moje przechodzące, dyskusje. Po wzięciu miary zadyszany krawiec zaprowadził mnie znów w głąb domu. Otworzywszy drzwi, zażądał „herbaty, chleba i masła”, co też po jakimś czasie, spędzonym przeze mnie na przysłuchiwaniu się krojącym nożyczkom w izbie i uderzeniom młotka na dziedzińcu, wniesione zostało na tacy i jak się okazało, dla mnie.

– Od dawna już – począł pan Omer, wpatrując się we mnie – od dawna znam kawalera.

– Czy tak? – spytałem. Widok tych czarnych materii i krepy odejmował mi zupełnie apetyt.

– Znam go od dnia urodzenia, a nawet i przedtem. Znałem ojca. Miał pięć stóp i dziewięć i pół cala, teraz zaś wystarczy mu pięć stóp i dwadzieścia cali.

„Rat-tat-tat, rat-tat-tat” – dźwięczało za oknem.

– Pięć stóp, dwadzieścia – powtarzał krawiec.

– Czy mi pan nie może powiedzieć, jak się ma mój braciszek?

– zagadnąłem.

Pan Omer wstrząsnął głową.

„Rat-tat-tat, rat-tat-tat”.

– Spoczywa na łonie swej matki – rzekł po chwili.

– Biedactwo! umarł!

– Niech kawaler nie bierze tego tak do serca. Tak, umarł.

Wiadomość ta rozdrażniła świeże moje rany, odepchnąłem filiżankę z herbatą i opierając głowę na drugim stole, przy którym Minnie szyla, zacząłem wylewać nowe i dla roboty szwaczki groźne łez potoki; toteż Minnie szybko odsunęła robotę. Dobra to musiała być dziewczyna, gdyż odgarniała mi łagodnie i pieszczotliwie włosy z czoła. Wesołość jej zresztą nie cierpiała na tym, cieszyła się skończeniem w porę roboty.

Za oknem ucichło, a do pokoju wszedł przystojny chłopak z młotkiem w rękę i ustami pełnymi świeczków, które musiał z nich wyjąć, zanim przemówił.

– A co, Joram? – spytał krawiec.

– Wszystko gotowe – odrzekł.

Minnie zarumieniła się tymczasem, a towarzyszki jej zamieniały uśmiechy.

– Byłeś tam wczoraj wieczorem, co? Przy świecach, gdym poszedł do klubu, co? – pytał pan Omer.

– Tak! – odrzekł Joram – pobiegliśmy razem z Minnie, by

wziąć miarę. Może by pan zobaczył.

– A jakże! – rzekł, wstając z miejsca i zwracając się nagle do mnie, dodał:

– Może byś też kawalerze...

Lecz córka przerwała mu żywo:

– Nie, nie, ojcze.

– Sądziłem, że mu to sprawi przyjemność – rzekł krawiec – lecz może i masz słuszość.

Zrozumiałem. Szło o trumnę mojej matki. Nigdy przedtem nie widziałem, jak to się robi, lecz przypomniałem sobie dopiero co słyszane uderzenie młotka i domyśliłem się, jaką to młodzienc ten skończył pracę.

Skończywszy też robotę, dwie szwaczki, nieznanne mi z imienia, oczyściły suknie ze skrawków i nitek i udały się do sklepu układać towary i obsługiwać klientów. Minnie zajęła się pakowaniem wykończonej roboty. Ciągłe przy tym coś nucila z cicha. Joram, który zalecał się zapewne do niej, pocałował ją znieńacka, korzystając z roztargnienia dziewczyny. Na mnie nie zwracano najmniejszej uwagi, mówił przy tym, że krawiec poszedł po wóz, więc że i on musi się spieszyć. Wybiegł. Ona też, skończywszy układanie, schowała napałek i nożyczki do kieszeni, wpięła w stanik igłę z długą, czarną nitką, oczyściła sukienkę, przejrzała się w lusterku, które odbiło uśmiechniętą twarzyczkę.

Przyglądałem się temu wszystkiemu, siedząc z głową wspartą o róg stołu i myśląc o tysiącu rzeczy. Wkrótce przed drzwiami

sklepu zaturkotał wóz. Wstawiono doń pudło, dopiero co zapakowane; po czym wsiedliśmy my. Miejsca było sporo. Wóz to był bowiem długi, pomalowany na czarno, ciągnięty przez czarne, o długich grzywach i ogonach konie.

Nie pamiętam, abym drugi raz w życiu podobnego doświadczył wrażenia jak to, które sprawiła na mnie podróż odbyta w śmiejącym się i wesołym towarzystwie. Wesołość ta nie gniewała mnie, przeciwnie, przerażała raczej, jak gdybym znajdował się wśród istot, z którymi nie miałem nic wspólnego.

Stary siedział na przodzie i powoził. Minnie i Joram tuż za nim, tak że mówiąc do nich musiał się obracać. Gawędzili z sobą nieustannie, chcąc i mnie wciągnąć w gawędkę, lecz milczałem odwrócony, wystraszony ich śmieszkami i miłostkami, podziwiając ich brak serca. Gdyśmy się zatrzymali przy gospodzie, oni pili i jedli, lecz ja ani pić, ani jeść nie mogłem, a gdyśmy stanęli przed domem, wyśliznąłem się czym prędzej, nie chcąc w towarzystwie tym stanąć przed zamkniętymi tak szczelnie oknami, jak powieki na niedawno jeszcze błyszczących źrenicach. Sam widok tych okien przejmował mnie boleścią.

Zanim uczyniłem parę kroków, znalazłem się w objęciach Peggotty. Na widok mój wybuchnęła płaczem, lecz opanowała się zaraz i mówiła szeptem, stąpała cicho, jak gdyby lękała się rozbudzić tę tam uśpioną. Spędziła wiele bezsennych nocy i teraz postanowiła nie odstąpić na krok swej kochanej pani. Wytrwać do końca.

Pan Murdstone nie zwrócił najmniejszej uwagi na mnie, gdy wszedł do bawialnego pokoju. Zagłębiony w fotelu, płakał. Panna Murdstone siedziała przy biurku zarzuconym papierami. Podążyła mi chłodno końce palców, pytając obojętnie szeptem, czy wzięto ze mnie miarę na żalobę.

– Tak – odpowiedziałem równie cicho.

– Przywiozłeś ze sobą koszulę? – dodała.

– Przywiozłem, mam z sobą całą moją odzież.

Na tym ograniczyły się słowa pociechy. Nie wątpię, że z pewną przyjemnością popisywała się swym hartem i tym podobnymi, szatańskimi w takich okolicznościach, zaletami swego charakteru. Dumna też była z praktyczności, jakiej i obecnie stale dawała dowody, pisząc, rachując, zajmując się wszystkim zgoła. Do samego wieczoru przesiadła przy biurku; pióro jej ustawicznie skrzypiało, do każdego przemawiała tym samym oschłym szeptem, na twarzy jej żaden nie drgnął muskuł, w głosie żadna serdeczniejsza nie zadźwięczała nuta, nawet fałdy jej sukni najlżejszej nie uległy zmianie.

Brat jej brał czasem książkę do ręki, ale jej nie czytał. Otwierał ją tylko i godzinami całymi wpatrywał się w tę samą stronicę. Czasem wstawał i przechadzał się po pokoju. Siedziałem z założonymi na piersiach rękoma i liczyłem jego kroki lub przypatrywałem się mu w milczeniu. Rzadko przemawiał do siostry, do mnie zaś ani razu. On jeden w ciszy zaległej dokoła zdawał się być miotany niepokojem.

W dniach poprzedzających pogrzeb mało widywałem

Peggotty, która nie opuszczała pokoju, gdzie spoczywała matka moja z dzieciątkiem. Wieczorem tylko, gdym się położył, siadywała przy mnie, dopóki nie zasnąłem. W wigilię pogrzebu – sędzę, że musiało to być wigilią, lecz za pamięć moją w tych ciężkich chwilach nie ręczę – zaprowadziła mnie *tam*. Wszystko było tam białe, czyste, świeże, spokojne! Lecz gdy sięgnęła ręką po zakrywającą łóżko zasłonę, zatrzymałem ją, wołając:

– O, nie! Nie, nie!

Gdyby pogrzeb miał miejsce wczoraj dopiero, nie mógłbym pamiętać dokładniej; samo powietrze i gra barw w saloniku, ogień na kominie, kipienie wina w dzbanach i kielichach, kształt talerzy i półmisek, słodki zapach ciasta, woń sukni panny Murdstone, czerń naszej żałoby, wszystko to utkwilo mi w pamięci. Pan Chillip obecny zbliżył się do mnie.

– Jak się masz, Kochamy chłopcze?

Milcząc, podałem mu rękę.

– No proszę, proszę – zauważył z uśmiechem i z zachodzącą mu zarazem wzrok wilgocia – jak te dzieci szybko rosną! Dogonią nas, ani się obejrzymy¹⁰⁸.

Ostatnie słowa zwrócone były do panny Murdstone.

– Nie zwracamy zwykle na to uwagi – ciągnął doktor, lecz zauważywszy, że go panna Murdstone zbywa chłodnym milczeniem, cofnął się wraz ze mną do kąta i nie otworzył już więcej ust.

¹⁰⁸ *obejrzym* (daw.) – niegdyś powszechnie używana skrócona forma 1 os. lm: *obejrzymy*. [przypis edytorski]

Notuję to, jak i wszystko, co mi się wraziło w pamięć, nie dlatego abym myślał wówczas o sobie. Pamiętam, że zadzwoniono w kościele i że pan Omer i inni zaczęli nas popędzać. Peggotty mówiła mi kiedyś, że odprowadzający mego ojca do tego samego grobu także wyruszali z owego pokoju.

Było nas kilku: pan Murdstone, sąsiad nasz pan Grayper, pan Chillip i ja. Gdyśmy wyszli z domu, żałobnicy stali już ze swym ciężarem w ogrodzie. Poszliśmy za nimi ścieżką, minęliśmy wiązy, bramę, weszliśmy na cmentarz, gdzie niegdyś w letnie poranki przysłuchiwałem się szczebiotowi ptasząt...

Stanęliśmy dokoła mogiły. Dzień wydawał się mi odmienny od dni innych i sama jego jasność trochę jakby przyćmiona i smętna. Panowała niewzruszona uroczysta cisza. Za chwilę mieliśmy ziemi oddać, co ziemskie. Nad odkrytymi głowami rozległ się czysty i wyraźny głos kapłana:

– „Jam jest zmartwychwstanie i życie, mówi Pan!”

Usłyszałem łkanie. Obejrzałem się. Opodal stała wierna sługa, jedyne pozostałe mi na ziemi serce! Pewien jestem, że *Pan* mógłby powiedzieć do niej:

„Idź w pokój”.

W tłumie otaczającym mogiły spostrzegłem znane mi twarze, twarze widywane w kościele, gdzie zwykł był niegdyś szukać rozrywki dla mej dziecięcej wyobraźni, twarze znane matce mojej, które witały ją, gdy w kwiecie młodości osiadła w tej okolicy. Nie myślałem wówczas o tym, cały oddany boleści, wszystko to jednak musiałem widzieć dokładnie, jeśli

zapamiętał tak wiernie nawet twarz Minnie i śmiejące się jej spojrzenia, szukające stojącego za mną kochanka.

Skończyło się. Zasypano grób ziemią, wyszliśmy z cmentarza. Przed nami wznosił się nasz dom, w niczym niezmieniony, taki jaki był dawniej, co bardziej jeszcze żal mój powiększało. Wiedli mnie do tego domu, pan Chillip coś do mnie mówił, a kiedyśmy weszli¹⁰⁹, podał mi szklanekę wody; na moją prośbę, aby mi pozwolono odejść do mego pokoju, z kobiecą zezwolił łagodnością.

Wszystko to ma dla mnie świeżość wczorajszych wspomnień. Późniejsze wypadki falują mi w pamięci jak zmienne morskie zwierciadło, te zaś stoją na kształt niewzruszonej skały.

Peggotty przysłała niebawem do mego pokoju. W dniu tym panowała świąteczna jakaś atmosfera, odpowiednia naszym nastrojom. Peggotty usiadła na brzegu mego łóżeczka i ująwszy mnie za rękę, podnosiła ją od czasu do czasu do ust, to znów gładziła i pieściła w swych dłoniach zupełnie tak, jak gdyby kołła płacz mego małego braciszka. Opowiedziała mi po swojemu, jak to wszystko się stało.

– Od dawna już – mówiła – była cierpiąca. Miotał nią niepokój, nie była szczęśliwa. Z początku po urodzeniu się dzieciątka sądziłam, że się wzmocni, ale wyglądała coraz, coraz gorzej, z dniem każdym traciła siły. Przed urodzeniem dziecka lubiła siadywać samotnie i płakać w skrytości, potem

¹⁰⁹ *kiedyśmy weszli* – inaczej: kiedy weszliśmy; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

zwykła była śpiewać nowo narodzonemu tak słodko, że czasem słuchając zdawało mi się, że głos ten spływa z wysoka i tuż, tuż się rozplynie... Sądzę – ciągnęła – że stawała się coraz bardziej nieśmiała, lękliwsza: każde ostre słowo raniło biedaczkę i dobijało. Dla mnie pozostała zawsze taka, jaką dawniej była, nie zmieniła się nigdy. Biedna moja! Kochana niebogo!

Zatrzymała się Peggotty i delikatnie gładziła mnie po rękę.

– Ostatni raz – mówiła dalej – widziałam ją taką, jaką dawniej bywała, tego wieczoru, coś przyjechał na wakacje. W dniu twego odjazdu, nieboraczka, powiedziała mi: „Nie zobaczę go już pewno więcej, przeczucie nigdy mnie nie myli”. Starła się panować nad sobą, a gdy dowodzili, że jest dziecinna i bezmyślna, nie zaprzeczała im i uśmiechała się tylko łagodnie. Nigdy też nie wspominała o tym przy mężu, bała się mówić komukolwiek, ale mnie mówiła wszystko, wszystko. Raz tylko, tydzień temu, powiedziała wieczorem mężowi: „Mój drogi, sądzą, że już umieram”. Kiedym ją wieczoru tego rozbierała¹¹⁰ do snu, mówiła mi: „Peggotty, uwierzy on temu, co mówię, bo to nastąpi i minie. Czuję się bardzo, bardzo chora. Jeśli to ma być snem, zostań przy mnie, zanim zasnę, nie odchodź ode mnie. Bogu polecam moje dzieci! Niech Pan ma w swej opiece biednego mego sierotę”. Od tego wieczoru nie odstępowałam jej ani na krok – ciągnęła Peggotty. – Często rozmawiała i z tamtymi, kochała ich nieboraczka, kochała każdego, co się do

¹¹⁰ *kiedym ją (...) rozbierała* – inaczej: kiedy ją rozbierałam; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

niej zbliżył, lecz gdy odchodzili od jej wezgłowia, zwracała się zawsze ku mnie, jak gdyby we mnie tylko znajdowała ukojenie i zasypiała na moich rękach. Ostatniego wieczoru ucałowała mnie, mówiąc: „Jeśli i moje maleństwo umrze, proszę cię, niech je położą przy mnie, niech nas razem pochowają”. Tak się też i stało. Biedactwo przeżyło matkę o jeden dzień zaledwie! „Proszę cię”, mówiła jeszcze, „niech mój Davy odprowadzi nas na miejsce wiecznego spoczynku i powiedz mu, że go matka na śmiertelnym łożu, nie raz, lecz tysiąc razy błogosławiła”.

Długie nastąpiło milczenie. Peggotty pogładziła moją rękę.

– Późno już w nocy – mówiła – zachciało jej się pić, a gdy podała napój, uśmiechnęła się do mnie tak słodko, prześlicznie... Droga moja! Nadszedł poranek i słońce już wzeszło, gdy, przyzwawszy mnie bliżej, zaczęła mówić mi, jak dobrym, cierpliwym był pan Copperfield, jak ją zawsze, gdy powątpiewała o sobie, upewniał, że kochające serce więcej znaczy od największej mądrości i że jest szczęśliwy, że posiadał jej miłość. „Podnieś mnie, zbliż do siebie”, mówiła, biedaczka, czując się coraz słabsza, „załóż mi ręce na szyję, nachyl się nade mną, nie mogę dojrzeć twojej twarzy, chcę ją mieć bliżej siebie”. Zrobiłam, jak chciała, i... O! Davy, pamiętasz? Mówiłam, że jej nie opuszczę aż do śmierci... zasnęła jak niewinne dziecko, tu, na rękę starej, gderliwej Peggotty...

Tak się skończyło opowiadanie wiernej sługi i przyjaciółki. Od chwili, jakem się dowiedział¹¹¹ o śmierci matki, stał się

¹¹¹ *jakem się dowiedział* – inaczej: jak się dowiedziałem; przykład konstrukcji

w mojej pamięci jej obraz taki, jaką była w ostatnich czasach. Od tej chwili widziały ją wspomnienia moje młodą i szczęśliwą matką z najwcześniejszych mych wrażeń, nawijającą na białe palce długie sploty jasnych włosów, tańczącą ze mną o szarej godzinie w bawialnym naszym pokoju. To, co mi opowiedziała Peggotty, nie tylko nie przypomniało mi bliższych ostatnich czasów, lecz, przeciwnie, wzmogło jeszcze wrażenie, utrwaliło głębiej w pamięci i sercu obraz dawniejszy, obraz z lepszych dni. Dziwne to, lecz prawdziwe. Śmierć snadź¹¹², zmazując wspomnienie, zwróciła mi ją we wrażeniach mych beztroską i młodą. W grobie spoczywająca matka była mi matką mego dzieciństwa. Na łonie jej spoczywające dziecko to byłem ja sam, jak niegdyś bywało, uśpiony na zawsze w jej sercu.

Rozdział X. Zaczynam zarabiać na życie

Po pogrzebie i odsłonięciu okien panna Murdstone wypowiedziała służbę Peggotty. Chociaż obecne miejsce nie mogło jej zadowalać, sądzę, że przez wzgląd na mnie Peggotty nie zamieniłaby go dobrowolnie, nawet na najkorzystniejsze. Powiedziała mi, że mamy się wkrótce rozstać, wytłumaczyła dlaczego. Z całego serca ubolewaliśmy nad tym oboje.

O mnie i o planach dotyczących mojej przyszłości nie mówiono wcale, nie powzięto żadnych kroków. Z przyjemnością

z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

¹¹² *snadź* (daw.) – widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

zapewne wypowiedziano by i mnie służbę, gdyby się to dało zrobić. Raz zdobyłem się na odwagę i spytałem pannę Murdstone, kiedy wrócę do szkół. Odpowiedziała mi oschle, że, o ile sądzi, nie wrócę wcale. Poza tym niczgom się nie dowiedział¹¹³ i wraz z Peggotty gubiliśmy się w płonnych¹¹⁴ domysłach, nie mogąc się niczego dowiedzieć.

W położeniu moim zaszła jednak pewna zmiana. Dodając mi swobody na razie, zatrwożyłaby mię co do swych przypuszczanych następstw, gdybym się był wówczas nad tym zastanawiał. Oto zniesiono ciężący przedtem nade mną dozór. Nie wymagano już, abym przesiadywał całymi godzinami w bawialnym pokoju, owszem, raz, gdym przysuwał do ogólnego stołu krzesło, panna Murdstone dała mi znak głową, abym się oddalił. Nie broniono mi przesiadywać w kuchni z Peggotty, nie zmuszano dotrzymywać towarzystwa panu Murdstone, jednym słowem, nie troszczono się o mnie zupełnie. Z początku drżałem na myśl, czy pan lub panna Murdstone nie mają czasem zamiaru zająć się sami wychowaniem mnie. Wkrótce się jednak przekonałem, że obawy były zbyteczne i jeżeli groziło mi cokolwiek, to zupełne zaniedbanie.

Na razie odkrycie to zbyt mało mnie nie zmartwiło. Ogłuszony śmiercią matki, zubożniałem na inne względy. Pamiętam tylko, że od czasu do czasu przypuszczałem możliwość nieotrzymania

¹¹³ *niczgom się nie dowiedział* – inaczej: niczego się nie dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *płonny* – bezowocny. [przypis edytorski]

wcale dalszego wychowania, wyrośnięcia na człowieka lichego, ciemnego, trawiącego lata w próżniactwie i gdzieś w wiejskiej głuszy. Czasem znów marzyło mi się, że jak bohaterowie w bajkach pójdę w świat szukać szczęścia... Czcze to były marzenia, snute w samotnych, bezczynnych godzinach, a wyglądały tak, jak gdybym czytał je lub widział kreślone na ścianach mojego pokoju. Znikały też bez śladu ze ścian tych białych, nagich.

– Peggotty – zauważyłem raz wieczorem, grzejąc ręce przy kominku – zdaje mi się, że mię pan Murdstone coraz mniej lubi. Nie przepadał za mną wprawdzie nigdy, lecz teraz już znieść mnie nie może.

– To tak... z żalu – rzekła Peggotty, głaszcząc mnie po czole.

– O nie, Peggotty! Wiem przecież, co to cierpienie, i gdyby to był tylko żal taki, nic bym nie mówił, ale to co innego, co innego...

– Skądże możesz wiedzieć? – spytała po chwili namysłu.

– Bo widzisz, jego żal inaczej się wyraża. Teraz, kiedy siedzi tam sam z siostrą u kominka jest smutny, lecz niechbym się tylko pokazał, byłby...

– Byłby? – powtórzyła Peggotty.

– Wściekły – odrzekłem, mimo woli naśladowując zmarszczenie jego brwi. – Gdyby to był, jak mówisz, żal tylko, nie tak by patrzył na mnie. Przecież i ja jestem smutny, a czuję się lepszy, niż przedtem byłem.

Peggotty milczała i ja milcząc grzałem się przy ogniu.

– Davy! – rzekła wreszcie.

– Słucham, Peggotty.

– Staralam się, o ile mogłam, znaleźć sobie miejsce tu, w tych stronach, w Blunderstone, lecz nie znalazłam nic odpowiedniego, moje dziecko.

– Więc cóż zamierzasz począć? – spytałem ją żywo. – Chcesz szukać szczęścia gdzieś po świecie?

– Sądzę – odrzekła – że będę zmuszona wrócić do Yarmouth i tam zamieszkać.

– O! To dobrze – zawołałem uspokojony nieco. – Jeśli byś odjechała daleko, to byłoby tak, jak gdybym ciebie stracił, moja ty Peggotty. Tak zaś będę cię czasem widywał, to nie koniec świata!

– I owszem! I owszem! – zawołała, ożywiając się – Dopóki tu będziesz, kochanie, będę przyjeżdżała co tydzień, regularnie co tydzień, do końca mego życia.

Obietnica ta strąciła mi kamień z serca, a Peggotty mówiła dalej:

– Teraz pojedę do brata w gościnę na parę tygodni. Chcę odpocząć i przyjść do siebie. Otóż, myślę, że może, ponieważ właściwie nie bardzo tu im teraz jesteś potrzebny, puszczą cię ze mną.

Jeśli cokolwiek mogłoby sprawić mi wówczas przyjemność, to na pewno ten projekt. Myśl znalezienia się znów wśród tych poczciwych, witających mnie z radością ludzi, odczucia na nowo błęgiego spokoju tych niedzielnych poranków, z rozśpiewanymi

w powietrzu dzwonami, z pluskiem rzucanych w morze kamyków, z widokiem znikających we mgle żagli, perspektywa błakania się po wybrzeżu z małą Emilką, opowiadania jej mej boleści, zbierania muszelek i barwnych kamyków – wlewały mi już w serce pewne ukojenie. Po chwili jednak serce to znów ogarnęło zwątpienie, co na to powie panna Murdstone? Szczęściem, zwątpienie znikło niebawem, gdyż ta ostatnia weszła właśnie do kuchni, aby dokonać wieczornego przeglądu spiżarni. Peggotty prawie natychmiast, ze śmiałością, która mnie przeraziła, przeszła do sedna sprawy.

– Chłopiec będzie próżnował – powiedziała panna Murdstone, zaglądając do garnka z piklami – a próżniactwo jest źródłem wszelakiego zła. Zresztą i to prawda, że czy tu, czy tam, wszędzie się będzie oddawał próżniactwu. Takie już moje przekonanie.

Peggotty miała gotową na ustach odpowiedź, połknęła ją jednak przez wzgląd na mnie i zachowała milczenie.

– Ha! – ciągnęła panna Murdstone, nie odrywając oczu od dna garnka. – Główna rzecz, najgłówniejsza, aby bratu memu zapewnić spokój, toteż sędzę, że chyba mogę zezwolić na odjazd tego chłopca.

Podziękowałem, nie okazując jednak zbytnej radości z obawy, aby nie cofnęła pozwolenia, co było zresztą możliwe, wnosząc ze spojrzenia, jakie rzuciła na mnie. Rzekłbyś, że je skąpała we wszystkich wyssanych z dna garnka kwasach. Bądź co bądź otrzymałem upragnione pozwolenie i jeszcze przed

upływem miesiąca byliśmy oboje z Peggotty gotowi do odjazdu.

Pan Barkis zjawił się po kuferek Peggotty. Pierwszy to raz, o ile mi było wiadomo, przekroczył próg naszego domu. Wynosząc kuferek, spojrzał na mnie, jak mi się wydało, znacząco, jeśli w ogóle umiał spoglądać znacząco.

Peggotty wyglądała na przybitą, opuszczając na zawsze dach, który od lat tyłu był jej dachem, pod którym nawiązały się najsilniejsze w jej sercu przywiązania: do mojej matki i do mnie. Wczesnym rankiem dnia tego poszła na cmentarz, a wsiadając do wózka, zakrywała oczy chustką do nosa.

Dopóki pozostawała w tym stanie żalu, pan Barkis nie dawał znaku życia. Siedział na koźle milczący i nieruchomy. Lecz gdy, uspokoiwszy się nieco, zaczęła oglądać się za węzłkami i mówić do mnie, woźnica począł kiwać głową i wykrzywiać usta. Nie domyślałem się w najmniejszej mierze, co chciał przez to wyrazić.

– Piękna mamy pogodę – zagadnałem z grzecznością.

– A niezłą – odrzekł.

– Peggotty już się uspokoiła nieco – dorzuciłem, chcąc go upewnić.

– Doprawdy.

Dopiero po chwili namysłu, oglądając się na nią, dodał:

– Więc się na dobre uspokoiła?

Peggotty uśmiechnęła się, potakując.

– Na dobre, na dobre – mruczał, trącając ją ramieniem. –

Naprawdę, na dobre? E! Co?

Za każdym pytaniem pochylał się ku niej i trącał ją ramieniem tak, żeśmy się wkrótce wszyscy troje strasznie stłoczeni znaleźli po lewej stronie wózka. Dopiero wówczas Peggotty zwróciła uwagę woźnicy na to, co się ze mną dzieje, i pan Barkis odsunął się nieco. Zdawało mi się, że był bardzo zadowolony, iż znalazł był sposób na wyrażenie swych uczuć bez pomocy słów, chichotał bowiem czas jakiś, a potem znów przysuwając się do Peggotty tak, że aż mi w tym tłoku tchu brakowało, powtarzał:

– Naprawdę, na dobre?

Wpadłem na pomysł usunięcia się na sam brzeg wózka, udając, że przyglądam się okolicy. Woźnica zatrzymał konia przy gospodzie, częstował nas baraniną i piwem, a gdy Peggotty piła piwo, począł znów przysuwać się do niej i trącał ją w ramię. Dopiero gdy zaczęło się zmierzchać, potrzeba zwracania bacności na drogę sprawiła, że nie miał czasu na zaloty. Wjeżdżając zaś na bruk w Yarmouth, byliśmy wszyscy i tak zbyt mocno szarpani i rzucani na wszystkie strony, aby móc o czym bądź myśleć.

Pan Peggotty i Ham czekali nas w zwykłym miejscu. Przyjęli tak mnie, jak Peggotty z oznakami niekłamanego zadowolenia. Ścisnęli też dłoń Barkisa, nieosobliwie wyglądającego w tej chwili; z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, z zafrasowanym wyrazem twarzy prezentował się nie najlepiej. Pan Peggotty i Ham ujęli, każdy za jedno ucho, kufer Peggotty, gdy tymczasem woźnica odwołał mnie na stronę.

– Dobrze idzie – mruknął.

Spojrzałem pytająco i z głęboką domyślnością odrzekłem:

– Aha!

– Sprawa jeszcze nieskończona – ciągnął poufnie – ale na dobrej już drodze.

Powtórzyłem:

– Aha!

– Na dobrej drodze. Czy nie mówiłem, że Barkis gotów, że Barkis gotów?

Potrząsnąłem głową.

– Bądźmy przyjaciółmi – ciągnął, ściskając mi rękę. – Dopomogłeś mi znakomicie. He? Pamiętasz, paniczu?

Pomimo poufnej miny i tonu pan Barkis był tak tajemniczy, że gdybym wpatrywał się weń godzinami całymi, nie odgadłbym zapewne, o co mu właściwie idzie. Wtem zawołała mnie Peggotty. Idąc zapytała, co mi mówił.

– Że wszystko na dobrej drodze – odrzekłem.

– Patrzcie go, jaki bezczelny! – zawołała. – Mnie to ani w głowie.

Po chwili znów spytała:

– Davy, kochanie, a co byś powiedział, gdybym wyszła za męża?

– Co? Myślę, Peggotty, że nie przestałabyś mnie kochać – odrzekłem po chwili namysłu.

Ku niemałemu zapewne zdziwieniu przechodniów, a także zdążających za nami z kuferkiem krewniaków Peggotty, poczciwa ta dusza porwała mnie w objęcia, zapewniając

o niezmienności swego przywiązania.

– Powiedz, kochanie, co byś na to powiedział? – znów zapytała, wyściskawszy mię¹¹⁵, ile się dało.

– Jeślibyś chciała wyjść za pana Barkisa?

– Tak.

– Myślałbym, że to bardzo dobrze! Miałabyś konia, własny wózek. Droga by cię nie kosztowała i przyjeżdżałabyś częściej odwiedzać mię.

– Jakie to dziecko dowcipne¹¹⁶ – zawołała Peggotty. – Przez cały przeszły miesiąc o tym właśnie tylko myślałam. A i o tym, że będę mniej zależna. Bo widzisz, we własnym domu lżej jest pracować. Nie umiem sobie wyobrazić, jakbym się dziś zdała na służącą u obcych ludzi. Zresztą pozostałabym w pobliżu miejsca spoczynku mojej kochanej pani – ciągnęła ciszej – mogłabym odwiedzać je, dopóki sama żyć będę, a potem pochowałiby mnie gdzie blisko mojej najdroższej...

Przez dość długą chwilę milczeliśmy oboje.

– Nie myślałabym jednak wcale o tym – ozwała się już wesoło Peggotty – i gdyby mój Davy miał coś przeciw temu, rozmyślałabym się nawet u stopni ołtarza, nawet gdybym miała obrączkę w kieszeni.

– Spójrz na mnie, Peggotty – rzekłem – widzisz przecie, jak się cieszę, jak tego życzę sobie.

¹¹⁵ *mię* – daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

¹¹⁶ *dowcipny* – daw. również: inteligentny, bystry. [przypis edytorski]

Istotnie życzyłem z całego serca.

– Dobrze, moje życie – rzekła Peggotty, ścisnąwszy mi rękę – myślałam o tym wszystkim tysiąc razy, we dnie i w nocy, i zdaje mi się, że mam słuszość, lecz poradzę się jeszcze brata, a tymczasem, Davy, niech to pozostanie między nami, tobie tylko i mnie wiadome. Barkis to poczciwe chłopisko i jeśli spełniając moje względem niego obowiązki, nie będę się czuć szczęśliwa, to będzie chyba moja własna wina... „naprawdę”, „na dobre” – skończyła, śmiejąc się na głos.

Przytoczenie własnych słów Barkisa i mnie rozbawiło, szliśmy więc dalej śmiejąc się i w wybornych humorach doszliśmy do mieszkania pana Peggotty.

Wyglądało ono tak samo jak dawniej, tylko może nieco skurczyło się w mych oczach. Jak dawniej, tak i teraz na progu powitała nas pani Gummidge. Wewnątrz nie zmieniło się nic, ani nawet muszelki koło lusterka w moim sypialnym pokoiku. Zewnątrz te same co dawniej homary, kraby, raki, kłębiące się w tym samym co i dawniej zakątku dziedzińca; zdawało się, że chcą zalać świat cały. Nie było tylko małej Emilki. Spytałem o nią pana Peggotty.

– W szkole – odrzekł, ocierając z czoła pot wywołany dźwiganiem kufra Peggotty, a spojrzawszy na stary holenderski zegar, dodał:

– Wróci za dwadzieścia minut lub najdalej za pół godziny. Wszystkim nam brakuje jej.

Pani Gummidge zaczęła wzdychać.

– Odwagi! Odwagi, niewiasto! – pocieszał ją pan Peggotty.

– Bo... ja więcej niż kto inny odczuwam... – skarżyła się pani Gummidge. – W moim opuszczeniu brak mi tej jedynej żywej duszy, która mi nie robi wszystkiego na przekór.

Wzdychając i trzęsąc głową, wdowa rozpałała ogień na kominie, a pan Peggotty, spoglądając na nas, potrząsał ze współczuciem głową, mrucząc: „Biedna stara”, z czego wniosłem, że w usposobieniu pani Gummidge od ostatniej mojej bytności w Yarmouth nie zaszła żadna zmiana.

Tak więc wszystko tu było jak dawniej, te same miłe mi miejsca! A jednak nie takie, jak kiedyś, wywierały na mnie teraz wrażenie. Czułem coś na kształt zawodu. Może dlatego, że nie zastałem Emilki w domu? Wiedząc, jaką będzie wracać drogą, wyszedłem na jej spotkanie.

Wkrótce ujrzałem w dali idącą postać. Poznałem ją od razu. Chociaż urosła, szczupła była nadal, a gdy zbliżyła się i dostrzegłem błękitne jej oczy, błękitniejsze niż dawniej, jej wdzięczną twarzyczkę, wdzieczniejszą, jaśniejszą, weselszą, dziwne ogarnęło mnie uczucie. Udałem, że jej nie poznaję, i minąłem, udając, że szukam czegoś. Postąpiłem tak samo raz jeszcze później w życiu, jeśli się nie mylę.

Małą Emilkę wcale to nie obeszło. Poznała mnie, lecz zamiast zawrócić i zawołać, śmiejąc się pobiegła naprzód. Musiałem ją doganiać, biegła tak szybko, że ją dopiero przy samym domu dogoniłem.

– O! To ty? – zawołała.

– Niby nie widziałaś – odrzekłem.

– A tyś nie widział, kogo spotykasz? – odrzekła.

Chciałem ją pocałować, lecz zakryła ręką śmiejące się usta, mówiąc, że przestała być małym dzieckiem i śmiejąc się ciągle, wbiegła do domu.

Odtąd zdawało się, że znajduje największą przyjemność w dokuczaniu mi, i nie mogłem się dość nadziwić zaszłej w niej zmianie. Herbata była już na stole, nakrycia nasze na dawnym miejscu, lecz Emilka, zamiast usiąść przy mnie, ofiarowała swe usługi pani Gummidge, a na zdziwione pytanie pana Peggotty odpowiedziała tylko śmiechem, kryjąc twarzyczkę we włosy, które na nią zgarnęła.

– Ach! Ty mała kotko! – zawołał pan Peggotty, gładząc ją po głowie szeroką swą dłonią.

– Kotka! Istna kotka! Prawda, panie Davy? – chichotał Ham, wpatrując się w nią z uwielbieniem, które mu rumieńcem zabarwiło policzki.

Wszyscy ją pieścili, a już najwięcej pan Peggotty, którego okręcić by mogła wokół małego palca, byleby tylko jasną główkę skłoniła na jego ramię. Takiego przynajmniej nabrałem przekonania, widząc, z jakim pieszczotliwym czyniła to wdziękiem. Nie dziwiłem się panu Peggotty. Była tak miła, słodka, przyjacielska, a zarazem tak figlarna i nieśmiała, że podbiła mię od razu zupełnie.

Dobre też miała serce! Gdy po herbacie zasiedliśmy przy kominku i pan Peggotty spoza kłębow dymu z fajeczki potracił

o stratę, jaką poniosłem, lzy napłynęły jej do oczu i popatrzyła na mnie ze współczuciem, które mnie do głębi serca wzruszyło.

– Ha! – rzekł pan Peggotty, przeciągając dłoń po jej jedwabnych włosach. – Drugą tu mamy jeszcze sierotę. Jest jeden jeszcze – dodał, uderzając bratanka po ramieniu – lecz ten wcale nie wygląda na opuszczonego.

– Nie czułbym się też opuszczonym – rzekłem – gdybym miał takiego jak pan opiekuna.

– Prawda! Wybornie! – zawołał Ham. – Nie czułbyś, paniczu, sieroctwa! Hura! Hura!

Teraz on uderzył starego po ramieniu, a mała Emilka uściskała swego opiekuna.

– Co słyhać z panicza przyjacielem? – spytał mnie pan Peggotty.

– Ze Steerforthem? – spytałem.

– A co, widzisz, mówiłem, że się tak nazywa – rzekł, zwracając się do Hama.

– Utrzymywałeś, że Rudderford – odrzekł Ham.

– Tobie zawsze rudel¹¹⁷ w głowie. Zresztą rudel czy ster na jedno wyjdzie. Jak się miewa?

– Był zdrow, gdym odjeżdżał ze szkoły – odrzekłem.

– To mi przyjaciel co się zowie! – twierdził rybak, strząsając popiół z fajeczki. – Miło spojrzeć na niego.

– Prawda, piękny! – zawołałem dumny z mego przyjaciela.

¹¹⁷ *rudel* (daw.; z niem. *Ruder*) – ster w konstrukcji statku wodnego; także: wiosło.
[przypis edytorski]

– Piękny! – rzekł pan Peggotty. – Wygląda jak... jak... no sam nie wiem, tak pysznie, jednym słowem, taki dzielny!

– O! Tak, dzielny! Odważny jak lew i nie wyobrazisz pan sobie, jaki przy tym otwarty i szczery.

– Sądzę też – mówił, otaczając się chmurą dymu, rybak – że z nauką idzie mu jak po maśle.

– Nie ma rzeczy, której by nie umiał – podchwyciłem ze wzrastającym zadowoleniem – zadziwiająco zdolny i inteligentny.

– To mi przyjaciel! – mruczał, kiwając głową, pan Peggotty.

– Nad niczym nie potrzebuje pracować – ciągnąłem – dość mu raz spojrzeć w książkę, aby umieć lekcję, a w krykiecie pierwszy gracz, może wygrać dziesięć partii z rządu.

Pan Peggotty kiwał potakująco głową.

– A jaki wymowny! Każdego przekona! Żałuję, że pan nie słyszał jego śpiewu.

Znów pan Peggotty kiwnął potakująco głową.

– Hojny, szlachetny, wytworny – ciągnąłem, zapalając się do przedmiotu – że się go dość nachwalić nie można. Do końca życia zachowam wdzięczność za troskliwą opiekę, jaką mnie, młodszego i słabszego, otaczał, kiedyś się znalazł w szkole.

Z przyjemnością mówiłem o przyjacielu, nie spuszczać przy tym oka z małej Emilki. Słuchała z zajęciem, pochyłona naprzód z lekko otwartymi ustami, z błyszczącymi oczyma, z zarumienioną twarzą. Tak była ładna w tej chwili, że się nagle zatrzymał. Wszyscy spojrzeli na nią i roześmieli się.

– Ona, tak jak ja – zawołała moja Peggotty – też pewnie chciałyby go poznać.

Emilka zawstydziała się, spuściła zarumienioną twarzyczkę, a dostrzegłszy przez zasłonę swych włosów, że patrzymy jeszcze na nią (co do mnie – patrzyłbym całymi godzinami!), uciekła i nie ukazała się aż¹¹⁸ późno wieczorem.

Leżałem jak dawniej w małym łóżeczku, a wiatr jak dawniej szalał po nadbrzeżnej płaszczyźnie, lecz teraz zdawało mi się, że wyje tak i jęczy po tych, którzy odeszli na zawsze. I zamiast myśleć jak dawniej, że morze wystąpi z brzegów, znieśie z łodzi skleconą siedzibę rybaka, myślałem, że od czasu kiedy po raz ostatni słyszałem szum jego fali, powstało i zalało własny mój rodzinny dom. W miarę jak jęki wiatru i szum morza zaczynały przycichać, dodałem, pamiętam, do ostatniej przedsennej modlitwy gorącą do Niebios prośbę, abym wyrósł co prędzej i ożenił się z małą Emilką. Sen skleił mi powieki.

Dni mijały tak, jak mijały niegdyś, z tą jednak różnicą, że teraz rzadko kiedy błakaliśmy się z Emilką po wybrzeżu. Teraz ona musiała się uczyć, robiła ręczne robótki, była zresztą przez znaczną część dnia nieobecna. Czułem też, że gdyby i pozwalały na to okoliczności, nie byłyby to już te same, co dawniej, przechadzki. W małej, dziecinnej, figlarnej Emilce budziła się kobiecość i jeden rok czasu oddalił ją ode mnie. Wyprzedziła mię, czułem to niejasno, chociaż tego nie rozumiałem. Lubiła mię z pewnością, lecz żartowała ze

¹¹⁸ aż – tu: dopiero. [przypis edytorski]

mnie, dręczyła po trosze i gdym na przykład wychodził na jej spotkanie, wracała do domu inną ścieżką, a potem witała mnie z drwiącym śmiechem. Najlepszymi były chwile, gdyśmy spokojnie siadywali na progu domu, ona z robótką, ja u nóg jej z książką, którą głośno jej czytywałem. Dziś jeszcze zdaje mi się, że nie zaznał jaśniejszych i pogodniejszych od owych kwietniowych popołudni, że odtąd nie spotkał tak słonecznej istoty, jak ta, która siadywała na progu rybackiej chaty, i nigdy nie widział podobnego nieba, morza, okrętów i żagli, jak te, które niknęły w słonecznej gdzieś dali.

Zaraz nazajutrz po naszym przybyciu pan Barkis zjawił się w niezwykle marzycielskim usposobieniu, z chustką pełną pomarańcz, że zaś nic nie wspominał o ich pochodzeniu lub przeznaczeniu, sądzono, że je zostawił przez zapomnienie i dopiero Ham, wysłany na zwiady, przyniósł wiadomość, że były one przeznaczone dla Peggotty. Odtąd pan Barkis przychodził regularnie co wieczór o tej samej godzinie, zawsze z paczką, o której nie wspominał nigdy, zostawiając ją przy drzwiach. Dary bywały przeróżnego rodzaju: prosięta z cukru, olbrzymia poduszka do szpilek, ćwierć korca jabłek, para kolczyków, kilka hiszpańskich cebulek, pudełko z dominem, kanarek w klatce, wędzona szynka i tym podobne...

Zaloty, jak i dary pana Barkisa były niezwykle. Rzadko kiedy odzywał się, siadywał przy kominku nieruchomy, zupełnie tak, jak na koźle swego wózka, wpatrując się w siedzącą naprzeciw siebie Peggotty. Pewnego wieczoru, pod natchnieniem, jak

sądzę, miłości, podjął upuszczony przez nią kawałek wosku, którego używała zwykle przy robocie, i schował do kieszonki swej kamizelki. Odtąd wyjmował go z widoczną przyjemnością na każde jej zapotrzebowanie, za każdym jednak razem odkładając w przeznaczone mu na swym sercu schronienie. Zresztą zdawał się być zawsze rozbawiony, choć wcale niepowołany do brania udziału w toczącej się rozmowie. Nawet gdy towarzyszył Peggotty na przechadzce, nie zadawał sobie w tym kierunku żadnego przymusu, poprzestając na pytaniu jej kilkakrotnym, czy się czuje zadowolona. Toteż po powrocie nieraz Peggotty kryła twarz w fartuch, śmiejąc się do rozpuku. Wszystkich nas to niezmiernie bawiło, oprócz pani Gummidge, w której zaloty Barkisa budziły zapewne dawne jakieś wspomnienia i nieukożone żale.

Wreszcie, i kiedy pobyt mój w Yarmouth miał się ku końcowi, postanowiono, że pan Barkis i Peggotty wybiorą się razem na majówkę, w której mieliśmy z Emilką też uczestniczyć. W przeddzień ciągleśmy o tym mówili¹¹⁹, a noc poprzedzającą ten dzień uroczysty miałem niespokojną. Wszyscyśmy wstali wcześniej niż zwykle, a zanim skończyliśmy śniadanie, już pan Barkis z wózkiem zjawił się po przedmiot swych uczuć.

Peggotty ubrana była w codzienną swą skromną i czystą suknię żałobną, za to pan Barkis jaśniał w nowym granatowym surducie, szytym chyba przez krawca na wyrost,

¹¹⁹ *ciągleśmy (...) mówili* – inaczej: ciągle mówiliśmy; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

a czyniącym zbyt ciężkimi, przy najchłodniejszym bodaj powietrzu, rękawiczki. Rękawy były długie, kołnierz włożył na same uszy. Stroju dopełniały piaskowe pantalone i także kamizelka. Pan Barkis wyglądał uroczyście.

Gdyśmy wsiedli do wózka, pan Peggotty wyniósł stary trzewik, prosząc panią Gummidge, aby go za nami wyrzuciła „na szczęście”.

– Nie, Danielu! niech to lepiej uczynią inne niż moje dłonie – broniła się wdowa. – Opuszczona jestem, nieszczęsna i wszystko, co przypomina mi istoty szczęśliwsze ode mnie, drażni mnie i boli.

– Spróbuj! Spróbuj, niewiasto! – zachęcał pan Peggotty.

– Nie! Nie, Danielu! – opierała się wdowa. – Gdybym czuła to mniej boleśnie, mogłabym to zrobić. Ty, Danielu, nie możesz tak jak ja czuć. Los nie był wobec ciebie tak przekorny jak wobec mnie, nieszczęsnej. Rzuć sam.

Tu Peggotty, która z pośpiechem całowała wszystkich na pożegnanie, zawołała z wózka, że trzeba koniecznie, aby pani Gummidge, a nie kto inny, rzuciła trzewik, co też ta ostatnia wreszcie uczyniła, psując ogólną radość płaczem, którym nagle wybuchnęła. Opadła na ramię Hama, wołając, że wie dobrze o tym, że jest ciężarem tylko i że będzie lepiej, jeżeli wróci do domu, na co Ham zgodził się w zupełności.

Wyjechaliśmy na majówkę. Przede wszystkim zatrzymaliśmy się u wrót kościelnych, a pan Barkis, uwiązawszy konia do płota i zostawiwszy mnie z Emilką na wózku, udał się z Peggotty do

świętyni. Skorzystałem z tej sposobności i, obejmując Emilkę, prosiłem ją, aby przez wzgląd, że już tak niedługo pozostać mam w ich domu, była dla mnie dobra i uprzejma przez cały ten dzień. Emilka zgodziła się i pozwoliła ucałować siebie, co mię tak rozentuzjasmowało, że oświadczyłem, iż nikogo więcej nigdy kochać nie będę i gotów jestem przelać krew każdego, kto stanie między nią a mną.

Jakże to ją nieskończenie ubawiło! Z jakim poczuciem nieskończonej wyższości mała kobietka oznajmiła mi, że jestem „niedorzecznym dzieckiem”. Mówiąc to, uśmiechała się jednak tak wdzięcznie, że patrząc na nią, zapomniałem o mym upokorzeniu.

Pan Barkis i Peggotty długo bawili w kościele, a gdy wyszli, pojechaliśmy dalej. Po drodze pan Barkis odwrócił się do mnie i mrugając (kto by przypuścił, że mrugać potrafi!) spytał:

– A czyje to imię napisałem wtedy na wózku?

– Klary Peggotty – odrzekłem.

– A teraz jakie trzeba napisać?

– Klary Peggotty – powtórzyłem.

– Klary Peggotty-Barkis – odrzekł, wybuchając śmiechem, który wstrząsnął całym wózkiem.

Jednym słowem, pobrali się i po to wstąpili do kościoła! Peggotty życzyła sobie, aby się to odbyło jak najciszej, bez świadków. Nagłe to oświadczenie pana Barkisa zmieszało ją nieco. Zaczęła upewniać mnie o swym niezmiennym do mnie przywiązaniu, wkrótce jednak uspokoiła się, oświadczając

z zadowoleniem, że się to raz wreszcie skończyło.

Zajechaliśmy do gospody przy drodze, gdzie czekano nas ze smacznym obiadem, i tak zeszedł nam dzień cały spokojnie i wesoło. Gdyby Peggotty była zameżna od lat dziesięciu, nie mogłaby zachowywać się spokojniej i swobodniej. Była dnia tego najzupełniej taka, jaką bywała zwykle. Przed herbatą wyszła z Emilką i ze mną na przechadzkę, a pan Barkis zapalił tymczasem fajeczkę, oddając się zapewne rozmyślaniu o swym szczęściu, co tak zresztą podnieciło jego apetyt, że chociaż przy obiedzie zjadł był zadziwiająco wiele wieprzowiny i sałaty, urozmaicając to paru dzikimi kaczkami, poprosił jeszcze o podanie do herbaty szynki na zimno i spożył sporą jej ilość.

Nieraz myślałem później o tym dziwnym, spokojnym, niezwykłym dniu weselnym. Gdy zapadł wieczór, wsiedliśmy na wózek i, wracając do domu w noc gwiazdzistą, rozmawialiśmy o ciałach niebieskich. Byłem najwymowniejszy w tej dziedzinie, co wzbudziło podziw Barkisa.

Opowiedziałem wszystko, com sam wiedział na ten temat, lecz mógłbym śmiało improwizować, tak bardzo i na ślepo ufał on moim wiadomościom i uzdolnieniu. Zapewniał nawet żonę przy tej sposobności, że jestem „niezwykłym zjawiskiem”.

Gdyśmy wyczerpali przedmiot astronomii, Emilka zrobiła ze starej okrywki płaszcz i otuliliśmy się nim oboje. Jakżem ją kochał. Co to byłoby za szczęście (myślałem sobie), gdybyśmy się pobrali i jechali tak w pole, w las, na koniec świata, nie starzejąc się nigdy, i nie zmieniając ani trochę, będąc zawsze

dziećmi, błędząc, dłoń w dłoni, wśród słonecznej pogody po rozkwieconych łąkach, wieczorem skłaniając znużone głowy na mchy wilgotne, usypiając w czystości i spokoju serca, po śmierci pogrzebani przez bujające w powietrzu ptaki. Marzenia podobne, nieziemskie, jasne i nieuchwytnie jak te tam wysoko gwiazdy, roiły mi się przez całą drogę. Teraz miło mi myśleć, że w dniu swego ślubu Peggotty miała przy sobie takie dwa dziecięce, niewinne serca, jak Emilki i moje. Miło mi myśleć o tych dwóch drobnych istotach, co w nielicznym jej weselnym orszaku były uosobieniem Wdzięku i Miłości.

Wróciliśmy do siedziby rybaka wcześniej przed nocą. Tam nas pożegnali pan i pani Barkis, udając się do swego domu. Wtedy uczułem dopiero, że utraciłem moją Peggotty. Zasnąłbym dnia tego ze ściśnionym¹²⁰ sercem, gdyby nie to, że się znajdowałem¹²¹ pod dachem osłaniającym i Emilki głowę.

Pan Peggotty i Ham rozumieli doskonale, co się dziać musiało w moim sercu, i czekając nas z wieczerzą, próbowali mnie pocieszyć. Emilka usiadła blisko po raz pierwszy w czasie mej bytności w Yarmouth i tak się zakończył ów pamiętny dzień. Gdyśmy się mieli ku spoczynkowi, pan Peggotty z bratankiem, korzystając z przyływu morza, udali się na połów. Czułem się dumnym, gdyż spadał na mnie obowiązek czuwania nad Emilką i panią Gummidge w opustoszałym domu. Pragnąłem, aby lew,

¹²⁰ *ściśniony* (daw. forma) – dziś: *ściśnięty*. [przypis edytorski]

¹²¹ *żem się znajdowałem* – inaczej: *że się znajdowałem*; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

wąż lub inny potwór napadł nas, abym go mógł zabić i okryć się chwałą. W braku rzeczywistego niebezpieczeństwa śniły mi się tylko nocą smoki, lwy i potwory morskie.

Rankiem zjawiła się Peggotty. Zastukała do mego okienka, jak to zwykła była czynić, i zdawać by się mogło, że pan Barkis jest też snem tylko. Po śniadaniu wzięła mnie z sobą do własnego domu. Śliczny to był domek! Zachwyciło mnie szczególnie stare biurko z ciemnego drzewa, stojące w bawialnym pokoiku, a którego górna część podnosiła się i chroniła wielką *Księgę Męczenników*¹²² Foxa¹²³. Książkę tę (treści jej nie pamiętam ani słowa) odkryłem od razu i odtąd, ilekroć odwiedzałem Peggotty, przysuwałem do biurka krzesło, otwierałem skrytkę z drogocennym przedmiotem i tonąłem w przeglądaniu księgi, to jest mnogich obrazków przedstawiających najrozmaitsze męczeństwa. Dotąd w myśli mej dom Peggotty i *Księga Męczenników* pozostały nierozdzielne.

Rozstałem się dnia tego z panem Peggotty, Hamem, panią Gummidge i Emilką. Noc spędziłem u Peggotty w małym

¹²² *Księga Męczenników* – monumentalne dzieło Johna Foxe'a (1516/17–1587) wyd. w 1563 r. pt. *Actes and Monuments*, popularnie zwane *Book of Martyrs*, zawierające żywoty męczenników chrześcijańskich w kulturze Zachodu ze szczególnym uwzględnieniem ang. protestantów lub proto-protestantów od XIV stulecia (prześladowania lollardów) do czasów panowania Marii I Stuart; księga była powszechnie znana wśród brytyjskich purytanów, stanowiła pokaźną pozycję wydawniczą, licząc sobie ok. 2000 stron i od ukazania się stanowiła rodzaj fundamentalnej pracy dla kościoła anglikańskiego. [przypis edytorski]

¹²³ *Foxe, John* (1516/17–1587) – ang. duchowny, zasłużony dla kościoła anglikańskiego jako historyk i autor *Księgi męczenników* (1563). [przypis edytorski]

pokoiczku na poddaszu, gdzie zastałem na półeczce książkę o krokodylach, a o którym to pokoiczku Peggotty powiedziała, że pozostanie moim na zawsze.

– Teraz i zawsze, za młodu i w starości, Davy, dziecko moje – mówiła – dopóki dach ten będzie moim, możesz tu przyjeżdżać jak do własnego domu. Pokoik ten zawsze gotów będzie na twoje przyjęcie. Utrzymywać go będę tak, jak utrzymywałam twój pokoik tam, w Blunderstone. Choćbyś nawet kiedy do samych Chin wyjechał, to po powrocie żadnej tu nie zauważysz zmiany.

Czułem całą szczerłość i serdeczność słów mej starej piastunki. Dziękowałem jej z serca, ale niezbyt wymownie, gdyż mówiąc tuliła mnie mocno do piersi, a ranku tego wracać miałem do Murdstonów, gdzie mnie pan Barkis z żoną odwieźli sami. Nie bez żalu pożegnali mnie przy bramie, z dziwnie też ściśniętym sercem stanąłem pod drzewami, przed tym domem, w którym nie było już nikogo, kto by mnie przyjaźnie powitał, i oczyma pełnymi łez spoglądałem za odjeżdżającą Peggotty.

Teraz popadłem w stan zaniedbania i litość nad samym sobą mnie ogarnia, ilekroć o tym wspominam; strącono mnie w samotność, bez dobrego słowa, bez towarzystwa, bez rówieśników, pozostawiono własnym myślom, których cień rozciąga się i dosięga aż stronic obecnie pisanych.

Cóż bym dał za to, aby być wysłanym do najsroźszej ze szkół, cóż bym dał, aby się uczyć, czego bądź, jak bądź, gdzie bądź! Nie zostawiono mi nawet tej nadziei. Nie lubili mnie, zaniedbywali uparcie, srogo i stale. Sądzę, że w tym czasie pan Murdstone sam

był widocznie przybity, ale niewielki to miało wpływ na mój los. Nie znosił mnie po prostu i, odpychając mnie od siebie, chciał, jak sądzę, utrwalić się w przekonaniu, że mi nic nie jest winien, co mu się zresztą udało.

W istocie nie obchodzono się ze mną źle, w pospolitym tego słowa znaczeniu, nie bito, nie głodzono, lecz wyrządzano mi krzywdę nieustannie, systematycznie i z rozmysłem. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu zaniedbywano mnie najzupełniej. Myślałem czasem, co by poczęli, gdybym zachorował. Czy leżałbym opuszczony w samotnym mym pokoiku, trawiony chorobą czy też przyszliby mi wówczas z pomocą?

Gdy pan i panna Murdstone byli w domu, jadałem z nimi, gdy ich nie było w domu – jadałem sam. Zresztą przez dzień cały błąkałem się po domu i okolicy bez opieki. Chyba że opieką nazwę zakaz przyjaźnienia się z kimkolwiek. Bali się może, abym się przed ludźmi nie skarżył. Dlatego to zapewne, chociaż pan Chillip (był wdowcem od lat kilku, utraciwszy drobną swą jasnowłosą żonę, której obraz w mych wspomnieniach łączył się z obrazem jasnej, o pręgowatej sierści kotki) zapraszał mnie często do siebie, ale rzadko kiedy miałem przyjemność spędzić popołudnie w jego gabinecie na oglądaniu książek, z których wydzielał się silny apteczny zapach, lub na rozcieraniu w moździerzu i pod jego kierunkiem jakichś niewinnych proszków.

Dla tychże samych zapewne powodów, popartych niechęcią

do niej, rzadko pozwalano mi odwiedzać Peggotty. Wierna swej obietnicy, regularnie co tydzień odwiedzała mnie lub spotykała się gdzie bądź ze mną i nigdy nie przybywała z pustymi rękoma. Lecz ileż gorzkich odmów słyszałem, gdym prosił, by mi pozwolono pójść do Barkisów? Rzadko kiedy udawało mi się uzyskać ich zgodę.

Z czasem dowiedziałem się, że pan Barkis jest „niby”, jak Peggotty mówiła, „skąpcem”, że chowa pieniądze w stojącym pod łóżkiem kuferku, zapewniając, że napełniony jest samą starą odzieżą. W kuferku tym zamykał swe skarby tak szczelnie, że dla wydobycia najmniejszej ich części wypadało rozwijać prawdziwą dyplomatyczną akcję. Aby dostać to, co było niezbędnym na pokrycie tygodniowych wydatków, Peggotty musiała dosłownie spiskować.

Ciągle też odnosiłem wrażenie, że w zaniedbaniu, w jakie popadłem, marnieją moje zdolności, i byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby nie moje stare książki. Stanowiły one jedyną mą pociechę i okazały się wiernymi przyjaciółmi, do których też ustawicznie wracałem, odczytując je kilkakrotnie.

Zbliżam się do epoki mego życia, której nie zapomnę nigdy, którą pamiętam w najdrobniejszych szczegółach i której wspomnienie, niewywoływane przeze mnie, nieraz, i to w najszcześniejszych dniach mego życia, wznosiło się na mojej drodze na kształt zagrobowej mary.

Pewnego dnia, gdym włóczył się bez celu, rozmarzony i beczynny, jak zwykle, na skrócie drogi przy naszym domu

spotkałem pana Murdstone przechadzającego się z jakimś nieznajomym. Zmieszany, chciałem się cofnąć, gdy nieznajomy, spostrzegłszy mnie, zawołał:

– Aha! Brooks!

– Nie, panie, Dawid Copperfield – odrzekłem.

– Co mi tam bzdurzysz, mały! Brooks jesteś, Brooks z Sheffield, znam cię przecie!

Wpatrzyłem się uważnie w nieznajomego. Uderzył mnie jego śmiech.

Przypomniałem sobie pana Quinion, poznanego w czasie mej wycieczki z panem Murdstone do Lowestoft przed... mniejsza z tym, kiedy.

– Jakże ci się powodzi, Brooks? Gdzie się uczysz? – pytał mnie pan Quinion, biorąc za ramiona i zawracając, abym szedł z nimi. Nie wiedząc, co odpowiedzieć na to pytanie, spoglądałem nieśmiało na pana Murdstone.

– Obecnie jest w domu – rzekł ten ostatni – i nie wiem doprawdy, co z nim począć. Niełatwy to charakter!

Przy tych słowach znane mi skośne spojrzenie spoczęło na mnie, by po chwili odwrócić się ze ściągnięciem brwi i widocznym wstrętem.

– Aha! – odchrząknął pan Quinion, wodząc okiem po nas. Po chwili dodał – Śliczna pogoda.

Zapanowało milczenie. Rozmyślałem, jak oswobodzić moje ramię od cięższej na nim ręki nieznajomego i wymknąć się czym prędzej, gdy ten ostatni znów mnie spytał:

– A czy nadal jesteś taki bystry, jak dawniej bywałeś, co, Brooks?

– O! dość bystry – zauważył z niecierpliwością pan Murdstone. – Puść go lepiej. Nie będzie ci wdzięczny, że się nim interesujesz.

Pan Quinion puścił mnie. Wbiegłem do domu, na skrócie drogi obejrzałem się; pan Murdstone stał oparty o furtkę cmentarną i rozmawiał z panem Quinion, a że obydwaj patrzyli za mną, pewien byłem, że o mnie mówią.

Pan Quinion nocował u nas. Nazajutrz po śniadaniu odstawiłem swe krzesło i zabierałem się właśnie do wyjścia, gdy mnie pan Murdstone zatrzymał. Zwrócił się z powagą do stołu, przy którym panna Murdstone przeglądała rachunki. Pan Quinion tymczasem z rękami w kieszeniach wyglądał obojętnie przez okno. Ja zaś przyglądałem się im.

– Dawidzie – zaczął pan Murdstone – młodość wymaga czynu, na nic się nie zda zbijanie bąków, mazgajstwo, lenistwo.

– W czym właśnie celujesz – zauważyła panna Murdstone.

– Pozostaw mi to, Jane. Otóż mówiłem ci, Dawidzie, że młodość wymaga życia czynnego, nie zaś mazgajstwa i próżniactwa! Zwłaszcza dla chłopca o takim jak ty usposobieniu największym dobrodziejstwem jest skierowanie go na drogę pracy, wykorzenienie w nim zgubnych skłonności.

– Tu krnąbrność nie pomoże – wtrąciła siostra – trzeba ją przełamać i przełamaną zostanie.

Spojrzał na nią z wymówką, ale i z aprobatą zarazem, po czym

mówił dalej, zwracając się do mnie:

– Wiadomo ci zapewne, Davy, że nie jestem bogaty. W każdym razie przyjm to od tej chwili do swej wiadomości. Wychowanie, jakie dotąd otrzymałeś, było staranne i pociągało znaczne koszty. Gdyby jednak wcale nie pociągało kosztów lub gdybym i był w możności podołania takowym, to jednak, zdaniem moim, szkoły nie przyniosą ci żadnej korzyści. Czeka cię ciężkie życie i im wcześniej w nie się wdrożysz, tym lepiej.

Zdawało mi się wtedy, że już kosztowałem goryczy ciężkiego życia, ale myliłem się jednak.

– Czy słyszałeś co kiedy o kantorze? – spytał pan Murdstone.

– O kantorze, panie?

– Tak, „Murdstone i Grinby”, handel winami.

Musiałem wyglądać na zdziwionego, bo dodał szybko:

– Aleś musiał słyszeć o kantorach, handlu, piwnicach, przystaniach?

– Istotnie słyszałem – rzekłem, przypominając sobie jego rozmowy z siostrą, na które nie zwracałem dotąd szczególnej uwagi – nie wiem tylko, co słyszałem.

– Mniejsza z tym – rzekł. – Oto pan Quinion zarządza tym interesem.

Spojrzałem z uszanowaniem na pana Quinion, wyglądającego ciągle oknem.

– Pan Quinion mówił mi właśnie, że potrzebuje kilku chłopaków i mógłby wziąć cię na tych samych co inni warunkach.

– Skoro – zauważył półgłosem i na wpeł odwracając się od okna pan Quinion – nie ma dlań innych widoków.

Pan Murdstone z niecierpliwym i rozgniewanym gestem mówił dalej, nie zważając na tę przerwę:

– Warunki są następujące: powinieneś sam zarobić na jedzenie, buty i drobne potrzeby, ja zaś opłacę twoje pomieszczenie, a co do oprania...

– Można tu odsyłać – zauważyła panna Murdstone.

– O ubraniu twym też pomyślmy – dodał pan Murdstone – tymczasem nie podołałbyś temu. Jedziesz więc, Dawidzie, z panem Quinion do Londynu, aby rozpocząć życie na własną rękę.

– Krótko mówiąc, wystaraliśmy się o to dla ciebie. Staraj się i ty więc godnie spełniać swe obowiązki – dokończyła panna Murdstone.

Chociaż wiedziałem dobrze, że na dnie tych projektów leży jedynie chęć pozbycia się mnie, nie pamiętam już, jakie na mnie wiadomość ta wywarła wrażenie. Zdaje mi się, że byłem wszystkim oszołomiony. Nie pozostawiono mi zresztą czasu dla ochłonięcia z pierwszego wrażenia, zaraz następnego dnia mieliśmy wyjechać z panem Quinion.

I oto nazajutrz w starym, białym kapelusiku, opasanym krepą żałobną, w czarnym spencerku¹²⁴ i takichże sztywnych

¹²⁴ *spencerek* – zdrobn. od *spencer*; daw. krótka kurtka dwurzędowa; w stroju męskim: ubiór codzienny, sportowy a. roboczy (kurtka do jazdy konnej, łowiectwa itp.), rodzaj fraka z obciętymi połami; w stroju damskim: wygodny kaftanik noszony na suknię. [przypis edytorski]

welwetowych spodenkach – panna Murdstone uznała wszystko to za dostateczną zbroję w walce z życiem, na którą mnie wyprawiano – z całym mym szczupłym mieniem zamkniętym w stojącej przede mną walizce, opuszczony (że użyję wyrażenia pani Gummidge), znalazłem się wraz z panem Quinion w dyliżansie mającym zawieźć nas do Londynu. Oto nikną już w oddali wieże naszego kościółka i cmentarne krzyże... i coś mi już zakryło znane mi... moje dwie mogiły... przede mną pusta droga, nade mną puste, głębokie niebiosa.

Rozdział XI. Zaczynam życie na własną rękę, co mi nie smakuje

Dziś nawet, kiedy znam świat i ludzi w tym stopniu, że nic mnie już niemal nie dziwi, to dziwię się łatwości, z jaką pozbyto się mnie w tak wczesnym wieku. Dziwię się, że nikt nie stanął w obronie małego chłopca, zdolnego, rozważnego, serdecznego i delikatnego, łatwo mogącego spacyfikować się moralnie i fizycznie. Tak się jednak stało i w dziesiątym roku życia musiałem iść zarabiać na chleb w firmie „Murdstone i Grinby”.

Skład główny znajdował się nad brzegiem, poniżej dzielnicy Blackfriars¹²⁵. Późniejsze przebudowy zmieniły tę część miasta;

¹²⁵ *Blackfriars* – nazwa stosowana w odniesieniu do wielu miejsc w Anglii, niegdyś związanych z obecnością zakonu dominikanów (ang. *friar*: brat zakonny); Blackfriars w Londynie to dzielnica w centrum miasta (City of London), w której usytuowany był kiedyś klasztor dominikanów. [przypis edytorski]

wówczas był to ostatni dom przy wąskiej uliczce zakończonej kilkoma stopniami, po których schodziło się do rzeki i łodzi. Domisko było stare, rudera prawie, posiadająca własną przystań, kąpiącą się podczas przyływu w wodzie, podczas odpływu w szlamie i zapełnioną dosłownie szczurami. Jej tynkowane ściany pokryte pleśnią i pyłem wielu lat, jej spróchniałe podłogi i schody, hece i szmery siwych szczurów po piwnicach i korytarzach, kurz i pajęczyny pokrywające wszystkie kąty – stoją mi w oczach tak, jak gdyby lata nie przeszły od przekłętej godziny, w której po raz pierwszy z ręką drżącą w dłoni pana Quinion przekroczyłem próg tej rudery.

Operacje handlowe firmy „Murdstone i Grinby” były wielce rozgałęzione, a znaczna ich część polegała na dostarczaniu okrętom win i napojów spirytusowych. Nie wiem już, gdzie je przewożono, lecz statki odpływały tak do Wschodnich, jak do Zachodnich Indii. Jednym z następstw tego handlu było wielkie nagromadzenie pustych butelek, których przeglądaniem, myciem i wycieraniem zajmowało się kilku mężczyzn i paru nieletnich chłopców. Gdy znowu butelki były napełnione, trzeba je było korkować, pieczętować, oklejać odpowiednimi etykietami i gotowe pakować w olbrzymie skrzynie. Zostałem właśnie jednym z pracujących w tym dziale chłopców. Licząc w to i mnie, było nas trzech. Miejsce do pracy wyznaczono mi w kącie dziedzińca, który pan Quinion mógł obserwować, podnosząc się z krzesła stojącego w oknie kantoru, gdzie dzień cały pracował. Zaraz pierwszego poranku, pod tak pomyślnymi

wróżbami rozpoczynającego się mego wejścia w świat i czynne życie, najstarszy z pracujących w handlu chłopaków otrzymał polecenie wtajemniczenia mnie w obowiązki nowego zawodu. Chłopak nazywał się Mick Walker; nosił on podarty fartuch i tekturowy kapelusz. Oznajmił mi, że ojciec jego jest tragarzem, lecz w uroczyste święta chodzi w czarnej aksamitnej czapce w orszaku Lorda Mayora¹²⁶. Oznajmił nadto, że głównym naszym towarzyszem będzie chłopak noszący dziwaczną nazwę: „Mączysty Kartofel”. Przekonałem się niebawem, że nie został ochrzczony tak dziwacznym mianem, lecz przezwany w handlu z powodu swej bladej i okrągłej twarzy. Tego znów ojciec był woziwodą, służył nadto w straży ogniowej i z tego powodu co wieczór bywał w jednym z wielkich teatrów, gdzie krewna – sądzę, rodzona siostra Kartofla – występowała w pantomimach w roli chochlika.

Któż wyrazi tajemne męki mej duszy, gdym ujrzał się otoczony podobnym towarzystwem, które porównywałem z tym otoczeniem, jakie miałem w dniach szczęśliwych mego dzieciństwa, że już nie wspomnę Steerfortha, Traddlesa i innych szkolnych towarzyszy! Gdzież się podziały nadzieje i marzenia moje o wyrośnięciu na wykształconego, światłego dżentelmena! Znikły bez śladu. Wspomnienie tego, co było, ostateczna utrata wszelkiej nadziei, wstyd i upokorzenie z powodu obecnego

¹²⁶ *Lord Major* – odpowiednik burmistrza w City of London (historyczne centrum miasta); urzędnik wybierany przez mieszczan na roczną kadencję od 1189 r. (sam tytuł funkcjonuje od 1354 r.). [przypis edytorski]

mego położenia, przeświadczenie, że właśnie czas, w którym powinienem był uczyć się i kształcić, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu mijać będzie marnie, niepowrotnie – napełniały mnie rozpaczą. Za każdym oddaleniem się Micka Walkera mieszałem gorzkie łzy z wodą, którą płukałem butelki, wzdychając tak głęboko, jak gdyby rozpacz rozsadzała mi piersi.

Zegar w kantorze wskazywał wpół do pierwszej i zabierano się do pójścia na obiad, gdy pan Quinion skinął na mnie przez okno.

Wchodząc do kantoru, spostrzegłem tęgiego, niemłodego mężczyznę w ciemnym surducie, czarnych pantoflach i obcisłych spodniach, z głową szeroką i zupełnie łysą, z ogromną twarzą, którą zwrócił ku mnie. Odzież jego była zbrukana¹²⁷, tylko kołnierz od koszuli wyglądał imponująco biało, w rękę trzymał laskę ozdobną sutymi kutasami¹²⁸, na kamizelce połyskiwał monokl¹²⁹, dla ozdoby, jakem się potem przekonał, przewieszony, gdyż używał go rzadko i nic wcale przez niego nie widział.

– Oto on – rzekł, wskazując mnie, pan Quinion.

– To jest więc – rzekł z napuszeniem i zarazem z uprzejmością

¹²⁷ *zbrukany* (daw.) – zabrudzony, brudny. [przypis edytorski]

¹²⁸ *kutasy* (daw.) – frędzle; ozdoba pasmanteryjna. [przypis edytorski]

¹²⁹ *monokl* – pojedyncze szkło korekcyjne, okulary na jedno oko; przyrządu używano, osadzając go ciasno w oczodole i przytrzymując od góry łukiem brwiowym i przyciskając do góry policzka; monokl stanowił też rodzaj ozdoby, element mody męskiej, noszono go na łańcuszku przymocowanym do specjalnej, górnej kieszonki ubrania. [przypis edytorski]

wielką nieznajomy – młody Copperfield! Mam nadzieję, że zastaję pana w dobrym zdrowiu?

Odpowiedziałem mu, że zdrow jestem i tak dalej. Wprawdzie czułem się bardzo niedobrze, lecz nie było w zwyczaju moim uskarżać się na różne trapiące mnie tak srogo dolegliwości. Nawzajem spytałem nieznajomego o jego zdrowie.

– Zdrow jestem – odrzekł. – Chwała Bogu zdrow, zupełnie. Właśnie otrzymałem list od pana Murdstone. Życzy on sobie, abym salkę, którą mam właśnie niezajętą, wynajął młodzieńcowi – tu nieznajomy uprzejmie skłonił ręką, a brodę zagłębił w sztywnym kołnierzyku – którego mam przyjemność i zaszczyt poznać.

– Pan Micawber – objaśnił pan Quinion.

– Istotnie, tak, istotnie – potwierdził nieznajomy.

– Pan Murdstone – wtrącił pan Quinion – zna pana osobiście. Pośredniczy on w potrzebie w zdobywaniu dla nas obstalunków. Pan Murdstone prosił go w liście o wyszukanie dla ciebie mieszkania. Otóż będziesz mieszkał u niego.

– Mój adres: Windsor Terrace, City Road – rzekł pan Micawber i wyraził gotowość odwiedzenia mnie raz jeszcze, by wskazać najbliższą drogę.

Podziękowałem, przepraszając za ambaras, jakim się zechciał dla mnie obarczyć.

– O której godzinie – spytał – mógłbym...

– Około ósmej – odrzekł pan Quinion.

– Około ósmej tedy – kończył pan Micawber. – Nie

zatrzymuję pana dłużej, żegnam.

Nałożył kapelusz, wyszedł z laską pod pachą, wyprostowany, pogwizdując jakąś piosenkę, gdy znalazł się za drzwiami kantoru.

Wówczas pan Quinion udzielił mi moralnej nauki, zlecił, abym się starał być użyteczny i sumiennie spełniał obowiązki za płacę sześciu szylingów tygodniowo. Nie pamiętam zresztą dokładnie, sześciu czy siedmiu. Zdaje mi się, że na początek sześciu, siedmiu dopiero później, gdy na to podwyższenie honorarium zasłużyłem. Zresztą (zdaje się, że z własnej kieszeni) wypłacił mi z góry pensję za cały tydzień, a nadto dał coś Kartoflowi, rozkazując, aby moją walizkę, zbyt ciężką na moje siły, przeniósł wieczorem na Windsor Terrace. Pierwszy mój obiad kosztował mnie sześć pensów. Składał się z kawałka pieroga z mięsem i wycieczki do najbliższej studni. Resztę czasu przeznaczonego na obiadowanie przewałęsałem po ulicy.

Pan Micawber zjawił się wieczorem o umówionej godzinie. Umyłem się starannie i poszliśmy razem do mego – zdaje mi się, że miałem prawo tak je nazwać – mieszkania. Po drodze towarzysz mój starał się wpoić w młodocianą moją pamięć nazwy mijanych ulic i kształty rozlicznych narożnych domów, abym nazajutrz nie zbłądził na któryś z zakrętów.

Gdyśmy przybyli do położonego przy Windsor Terrace domu, wydał mi się on, jak i przewodnik mój, lichej, lecz pełen pretensji. Pan Micawber przedstawił mnie swej żonie, szczupłej, zwiędłej, wcale niemłodej kobiecie, siedzącej w bawialnym pokoju (całe

pierwsze piętro stało puste i rolety dla omamienia zapewne sąsiadów były wszędzie spuszczone) z niemowlęciem na ręku. Było to jedno z dwojga bliźniąt. Notuję to, gdyż rzadko kiedy zdarzyło mi się nie widzieć choć jednego z nich u piersi matki. To jedno, to drugie na zmianę się posiłało.

Oprócz tego było tam dwoje jeszcze starszych dzieci: młody Micawber w wieku lat czterech i trzyletnia panna Micawber. Młoda, śniada służąca, sapiąca i chrupiąca ustawicznie, która, zanim pół godziny upłynęło, oznajmiła mi, że jest „sierotą” wziętą z pobliskiego przytułku, dopełniała skład domu. Pokoik mój był na poddaszu, od dziedzińca, pomalowany w deseń, który bujnej mej wyobraźni przypominał bułeczki podawane do herbaty, umeblowany zresztą więcej niż skromnie.

– Nie przypuszczałam nigdy – rzekła pani Micawber, która z bliźniętami i starszymi dziećmi odprowadziła mnie na górę – wówczas gdy przed zamążpójściem mieszkałam z papą i z mamą, abym kiedy potrzebowała brać lokatora. Wszelkie jednak osobiste względy muszą być pominięte, skoro pan Micawber znajduje się w kłopotliwym położeniu...

– Zapewne, pani! – odrzekłem.

– Interesy mego męża są właśnie w opłakanym stanie – ciągnęła kobieta – i nie wiem doprawdy, jak się z tego wywinie. Kiedym mieszkała przed zamążpójściem z papą i z mamą, nie miałam pojęcia o tym, lecz „doświadczenie uczy wszystkiego”, jak mawiał papa...

Nie wiem już, czy mi to powiedziała, czy tylko wyobraził

sobie, że pan Micawber był niegdyś oficerem i służył w marynarce. Dość, że mi się tak po dziś dzień zdaje. Potem przenosił się z domu do domu, nieosobliwie na tych spekulacjach wychodząc.

– Jeśli – ciągnęła pani Micawber – wierzyciele mego męża nie zostawią mu czasu dla uregulowania interesów, sami padną ofiarą swojej niecierpliwości. Co do mnie, wyznaję, chciałabym, aby się to już raz skończyło. Z kamienia krwi nie można wycisnąć, a z pana Micawbera żadnych zaliczek ani nawet na prawne koszty nikt nic nie wycisnie.

Nie wiem, czy to drobna moja osoba wzbudziła od razu tyle zaufania u mojej gospodyni, czy też potrzeba wylania wezbranych uczuć była tak wielka, że w braku innych powierników skarżyłaby się zawieszonym u jej piersi bliźniętom, dość że, raz zacząwszy, skarżyła się stale podczas prowadzonych ze mną rozmów. Biedna kobieta! Utrzymywała, że starała się, w czym mogła, dopomóc mężowi, w co zresztą najzupełniej wierzyłem. Nade drzwiami domu czerniał napis olbrzymi: „Pensjonat pani Micawber dla dziewcząt”. Nigdy też, co prawda, żadnej nie spotkałem w domu uczennicy i nie widziałem też żadnej dziewczynki, którą chciano by powierzyć opiece mojej gospodyni, ani w domu żadnego ku temu przygotowania. Jedynymi odwiedzającymi, których widywałem lub o których słyszałem, byli wierzyciele. Ci przybywali o każdej porze, a niektórzy z nich byli prawdziwie okrutni. Zwłaszcza pewien szewc, jak mi się zdaje, wczesnym już rankiem stawał na

schodach, wołając:

– Co?! Jeszcześ nie wstał?! Zapłać, coś winien, nie kryj się, to nie pomoże! Na twoim miejscu wołałbym zapłacić dobrowolnie! Słyszysz!

Nie otrzymując odpowiedzi, używał mocniejszych wyrazów, jak „łotr” i „złodziej”, a gdy i to nie skutkowało, wychodził na ulicę i na głos wymyślał, grożąc pięścią oknom, za którymi znajdował się dłużnik. Przywodziło to tego ostatniego do rozpacz. Czasem uciekał się do ostateczności i raz, jak to zdradził wrzask jego żony, porwał brzytwę, chcąc położyć koniec torturom, co mu nie przeszkadzało w pół godziny potem czyścić starannie buty i wyjść z domu, pogwizdując tkliwą lub wesołą piosenkę. Żona jego była równie elastyczna, że tak powiem. Nieraz o trzeciej zanosila się od płaczu z powodu jakiegoś pozwu, a o czwartej z najlepszym apetytem zjadała baranie kotlety i zapijała je grzany winem, opłaconym ostatnimi dwiema srebrnymi, do lombardu zaniesionymi łyżeczkami. Raz, pamiętam, wróciwszy wcześniej niż zwykle do domu, zastałem ją spłakaną, z potarganymi włosami, na wpół omdlałą, trzymającą jednak zawsze na rękę jedno z bliźniąt, nie pamiętam, czym widział ją kiedy weselszą, niż była tegoż samego wieczoru, gdy, smażąc kotlety, opowiadała mi długo i szeroko o swym papie, swej mamie i wytwornym towarzyskim kole, w którym jej rodzice się obracali.

W domu tym spędzałem wśród Micawberów wolne godziny. Z rana trochę mleka i bułki stanowiło me śniadanie, które

kosztowało mnie dwa pensy. Drugą bułkę i miniaturowy kawałek sera chowałem na wieczерę w kącie półki jednej z szaf. Czyniło to znaczny uszczerbek w moich sześciu czy siedmiu szylingach. Wiedziałem o tym, wiedziałem też, że mi suma ta wystarczyć musi na tydzień. Zresztą dzień cały spędzałem w sklepie. Od poniedziałku rano do soboty wieczorem nie słyszałem słowa rady, zachęty, współczucia, nikt mną nie kierował, nikt się o mnie nie troszczył, nikt, zupełnie nikt, tak mi Boże dopomóż.

Byłem tak małym jeszcze dzieckiem, tak nieprzygotowanym (mogłoby być inaczej?) do podjęcia ciężaru życia, że często rano, dążąc do handlu „Murdstone i Grinby”, zatrzymywałem się przed cukiernią lub piekarnią i wobec silnej pokusy topniały nieraz przeznaczone na obiad pieniądze. Wówczas nie obiadowałem wcale lub żywiłem się porcją puddingu. Pamiętam dwie piekarnie, o wyborze pomiędzy którymi decydowały środki, jakie posiadałem. Jedną w głębi dzielnicy, w pobliżu kościoła św. Marcina (dom ten już nie istnieje), gdzie robiono specjalnie przysmak ten z rodzynkami, lecz gdzie porcje były mniejsze i znacznie droższe. Druga przy Strandzie (i ta część miasta uległa przebudowaniu), gdzie wyrabiano puddingi blade, ciężkie, zakalcowate, z rzadkimi gdzieniegdzie rodzynkami. Podawano je ciepłe jeszcze i nieraz na podobnym posiłku poprzestawałem dzień cały. Regularne i paradne moje obiady składały się na przemian z kawałka chleba i sera ze szklanką piwa lub z kawałka pieczonego mięsa kupowanego w traktierni tuż naprzeciw naszego handlu, zwanej „Pod Lwem” lub podobnie,

jeśli mnie pamięć nie myli. Raz, pamiętam, z owiniętym w papier a zaoszczędzonym na śniadanie kawałkiem chleba, który nosiłem pod pachą jak książkę, wszedłem do słynnej traktierni przy Drury Lane i kazałem podać sobie pół porcji pieczeni wołowej. Co sobie o tak małym i samotnym gościu myślał usługujący mi chłopak, nie wiem. Wiem tylko, że mi się ciekawie przypatrywał i pokazywał swym towarzyszom. Wychodząc, czułem się w obowiązku zostawić mu pół pensa, pragnąc w duszy, by go nie przyjął.

Pod wieczór uwalniano nas na pół godziny na herbatę. Gdy wystarczyło mi pieniędzy, kupowałem w najbliższej kawiarni pół porcji gotowej kawy. Gdy ich nie miałem, przypatrywałem się wystawie wędlin na Fleetstreet lub przechadzałem się aż do rynku targowego Covent Garden i przyglądałem się ananasom. Lubilem zapuszczać się aż do Adelphi. Miejsce to pociągało mnie swoją tajemniczością. Widzę siebie raz pod wieczór pod tymi ciemnymi lukami, przy jakiejś gospodzie tuż nad rzeką, z otwartym przed nią placikiem, na którym tańczyło właśnie kilku węglarzy. Przypatrując się im, usiadłem na ławce.

Co też oni myśleć o mnie musieli!

Tak drobnym byłem jeszcze dzieckiem, że nieraz, gdym wchodził do szynku na szklankę piwa lub porteru dla zapicia niedostatecznych obiadów, wahano się z podaniem mi żądanych trunków. Raz, pamiętam, w wieczór po dniu upalnym, wszedłem do jakiejś restauracji i spytałem gospodarza:

– Ile kosztuje u pana szklanka dobrego, ale to najlepszego

piwa?

Był to dzień wyjątkowy, moje urodziny czy też coś podobnego.

– Dwa pensy i pół – odrzekł gospodarz.

– Proszę! – powiedziałem, kładąc pieniądze na stole. – Tylko po brzegi.

Gospodarz obejrzał mnie od stóp do głowy i zamiast nalać, wsadził głowę za firankę, mówiąc coś do żony. Wyszła z robotą w rękę i zaczęła się też przypatrywać mi bacznie. Staliśmy naprzeciw siebie, gospodarz w koszuli tylko, oparty o półkę, jego żona w drzwiczkach na poły przysłoniętych firanką, ja przed nimi, zmieszany nieco. Poczęli wypytywać, jak się zwę, ile mam lat, gdzie mieszkam, co robię, jakim sposobem trafiłem do piwiarni. Na wszystkie te pytania, ze strachu, by nie skompromitować nikogo, odpowiadałem wymijająco. Podano mi szklanę piwa (ale nie najlepszego, jak mi się wydało), za to żona gospodarza nie tylko zwróciła mi za nie pieniądze, lecz nadto pocałowała mnie serdecznie, z czysto kobiecą tkliwością.

Nie, nie przesadzam, mówiąc o szczupłości mych środków czy o trudnościach życia. Każdy szyling, który mi wpadł w rękę, opłacał obiad lub herbatę. Od rana do nocy ja, drobne dziecię, pracowałem na równi z dorosłymi ludźmi. Wpół głodny, wałęsałem się po ulicach bez żadnej opieki i tylko łaska Najwyższego strzegła mnie, żem nie został włóczęgą lub złodziejem.

Wyrobiłem sobie, co ciekawsze, nawet pewne stanowisko

w handlu „Murdstone i Grinby”. Pan Quinion, o ile mógł to czynić człowiek tak zajęty, traktował mnie nieco odmiennie. Nigdy nie powiedziałem nikomu z mego otoczenia, jak wszedłem do nieliczącego ze mną zawodu, nigdy się przed nikim na nic nie uskarżałem. Mnie samemu tylko wiadome było, com cierpiał, a wyrazić tego nawet nie zdołałem! Milcząc starałem się spełniać swój obowiązek, wiedząc z góry, że jeśli mu nie podołam, nie potrafię uniknąć wzgardy i poniewierki. Wkrótce też stałem się tak wprawny jak i moi towarzysze, z którymi żyłem w przyjaznych stosunkach, mimo że w obejściu różniłem się od nich, co wytwarzało pewien dystans między nami. Mówiąc o mnie, nazywali mnie „paniczem” lub „małym z Suffolk” i tylko jeden z tragarzy, zwany Grzegorzem, i drugi, nazwiskiem Tipp, wołali mnie czasem po imieniu, i to przez przychyłność raczej niż lekceważenie, gdyż przy robocie starałem się rozerwać ich opowiadaniem tego, com dawniej czytał i co się już stopniowo zacierało w mojej pamięci. Zrazu Mączysty Kartofel buntował się przeciw mojej „wytworności”, lecz go Mick Walker przywiódł do opamiętania.

Nie miałem żadnej nadziei wyjścia kiedykolwiek z tego opłakanego położenia. Ani na chwilę nie godziłem się z tym, wprawiało mnie ono w rozpacz, znosiłem je jednak i nawet w częstych listach do Peggotty, w części przez przywiązanie do niej, przez dumę w części, nie uroniłem najłżejszej skargi.

Niedola rodziny Micawberów powiększała jeszcze me troski. W opuszczeniu mym przywiązałem się niemal do tej rodziny

i podzielałem niepokoje, z jakich mi się gospodyni moja codziennie zwierzała. Rozmyślałem o długach i o wierzycielach jej męża i o sposobie ratowania interesów bez wyjścia. Rzec by można, że i mnie przygniatał ciężar długów pana Micawbera. Najdłuższe zwierzenia miały miejsce zwykle w sobotę wieczorem. Dzień ten lubiłem szczególnie, po pierwsze, czułem dnia tego w kieszonce od kamizelki całe siedem moich szylingów, po wtóre, z pracy zwalniano nas wcześniej. Zwierzenia powtarzały się też w niedzielę rano, gdym odgrzewał na kominku wczoraj przyniesioną kawę. Niejednokrotnie sobotnie te zwierzenia rozpoczynały się potokami łez, a kończyły wesołą jakąś piosenką. Nieraz też widziałem wieczorem pana Micawbera wracającego do domu w rozpacz; mówił wtedy, że mu nic nie pozostaje oprócz więzienia, a w godzinę potem obliczał, ile by kosztowały lustrzane szyby do okien. „A nuż wszystko się jeszcze zmieni”, było ulubionym jego powiedzeniem. Żona najzupełniej podobna była w tym do męża.

Ciekawe też stosunki – pomimo różnicy wieku, lecz dzięki zapewne wspólnym naszym nędzom – zawiązały się pomiędzy mną a mymi gospodarzami, stosunki najzupełniej przyjazne. Nie pozwalałem sobie wprawdzie nigdy korzystać z zaproszeń pani Micawber do jedzenia, odkąd przypuściła mnie do swych domowych tajemnic. Zdarzyło się to w następujący sposób:

– Panie Copperfield – rzekła pewnego wieczoru – nie uważam pana za obcego i muszę powiedzieć, że interesy nasze są

opłakane.

Ze współczuciem patrzyłem w zaczerwienione oczy mówiącej.

– W spiżarni – ciągnęła – nie mam nic oprócz kawałka szwajcarskiego sera, niemogącego służyć za posiłek tak małym, jak moje, dzieciom. Ach! W spiżarni! Mieszkając z mamą i papą, przywykłam tak mówić i teraz zapominam się... po prostu nie ma co jeść.

– Boże mój! – westchnąłem z głębi serca.

Miałem jeszcze parę szylingów tygodniowej pensji – rozmowa powyższa toczyła się, jak sądzę, w czwartek – wydostałem je więc spiesznie, usilnie błagając panią Micawber, aby je przyjąć raczyła jako pożyczkę, lecz odmówiła stanowczo, ucałowała mnie tylko serdecznie.

– Nie, nie, kochany panie Copperfield! Daleka byłam od podobnej myśli, roztropny jednak jesteś nad wiek swój i inną mi możesz oddać usługę.

Byłem na rozkazy.

– Rozstałam się ze srebrem – mówiła – sześć łyżeczek do herbaty, dwie do soli, szczypczyki do cukru, wszystko zastawiłam sama. Bliźnięta niemałym są ciężarem. Operacje te jednak nie zgadzają się z tym, do czego w rodzicielskim przywykłam domu. Przekonania mego męża bronią mu również mieszać się w podobne sprawy, a Clickett – (było to imię służącej) – zbyt jest ordynarna, abym ją do poufałości dopuścić miała. Toteż, gdybyś pan zechciał...

Zrozumiałem, o co idzie, i ponownie ofiarowałem me usługi. Odtąd rzadki był dzień, w którym by mnie nie obarczono podobnymi zleceniami. Wszystko, co dało się wynieść, zostało wyniesione z domu. Najpierw kilka książek z szafki, którą pan Micawber nazywał „biblioteką”, sprzedane zostały przeze mnie za byle co antykwariuszom gnieźdzącym się podówczas gęsto, tuż obok sklepów z ptakami, na City Road. Handlarz starych książek, z którym z tej okazji nawiązałem stosunki, upijał się zwykle co wieczór, a co rano dostawał porządne „kazanie” od żony. Nieraz, wczesnym rankiem, zastawałem go z rozbitą głową lub podbitym okiem – śladami nocnej bójk. Drżącą ręką szukał pieniędzy w kieszeniach leżącej jeszcze na ziemi, częstokroć porwanej odzieży, gdy tymczasem żona, ze spuszczoną pończochą i dzieckiem na ręku, nie przestawała czynić mu wyrzutów. Bywało, że pieniędzy wcale nie mógł znaleźć. Widocznie stracił je lub roztrwonił. Wówczas prosił, abym zaszedł później, lecz w takich razach zapłatę dostarczała żona. Posądzałem ją nawet, że ona to wypróżnia kieszenie nietrzeźwego męża i znalezione w nich pieniądze chowa w ukrytym miejscu.

Równie często widziano mnie w lombardzie na rogu. Znano mnie tam i kupiec, załatwiając interes, nieraz kazał mi odmieniać jakieś łacińskie słowo. Po każdej podobnej transakcji zwykła była następować u moich gospodarzy sutsza¹³⁰ niż zwykle wieczerza.

¹³⁰ *suty* (daw.) – obfity. [przypis edytorski]

Nadszedł nareszcie dawno przewidywany kryzys w interesach pana Micawbera; poprowadzono go pewnego poranku do więzienia za długi, w dzielnicy Borough. Przed wyjściem z domu mówił, że palec Boży ciąży nad nimi, istotnie był przybity (a i ja także), słyszałem jednak, że już w południe zorganizował w więzieniu partię kręgli. Zaraz w pierwszą niedzielę po jego uwięzieniu obiecałem odwiedzić go i zjeść nawet z nim obiad. Miałem trafić na pewien plac, minąć go, przejść ulicę, zawrócić w lewo, w prawo, minąć dziedziniec, stanąć u furty przed odźwiernym. Gdym się z tego wszystkiego wywiązał i, ujrawszy furte, rozmyślałem o odźwiernym pilnującym więzienia Rodericka Randoma, ten, którego dostrzegłem z daleka okrytego wełnianą kołdrą, znikł mi sprzed zasłoniętych mgłą oczu. Serce biło mi, nieborakowi, gwałtownie!

Pan Micawber czekał mnie u furty i poprowadził do swej celi, zalewając się gorzkimi łzami. Zaklinał mnie, pamiętam, aby mi smutny los jego pozostał na zawsze upomnieniem, że ten, co posiada rocznego dochodu dwadzieścia funtów, może wydać tylko dziewiętnaście funtów, dziewiętnaście szylingów i sześć pensów, lecz biada mu, jeśli wydaje dwadzieścia jeden. Po czym wręczył mi szylinga na portera, dał kartkę do żony, otarł łzy i oddał się wesołości.

Siedzieliśmy przed słabo płonącym i skąpo zasilanym ogniem. Współlokator pana Micawbera wszedł, niosąc kawał baraniny, mającej stanowić składkowy nasz obiad. Wysłano mnie na wyższe piętro do pana „kapitana Hopkinsa” z ukłonami i prośbą

o łaskawe pożyczenie noża i widelca.

Kapitan wręczył mi żądane sztucce. Wzajemnie kazał kłaniać się panu Micawber. W pokoiku kapitana zastałem niedbale ubraną kobietę i dwie dziewczynki, jego córki, z potarganymi kudłatymi włosami, co mi nasunęło myśl, że lepiej już u kapitana pożyczać noże i widelce niż grzebienie. Sam obdarty był i nędzny, w starym tabaczkowym surducie, pod którym nie mogłem dostrzec nawet rąbka koszuli, z parą olbrzymich bakenbardów na bladej twarzy. Pościel leżała zwinięta w kątku izdebki, na półkach stały talerze i kubki, którem prędko policzył¹³¹, domyślając się od razu, że chociaż kędzierzawe dziewczęta są córkami kapitana, brudna kobieta nie jest jego żoną. Wszystko to zbadałem jednym rzutem oka i wychodząc nie wątpiłem o trafności mych spostrzeżeń.

Tchnący nieco cyganerią obiad był jednak zupełnie przyjemny i wesoły. Po obiedzie, odniósłszy sztucce właścicielowi, wróciłem do domu, by zdać pani Micawber sprawę z mych odwiedzin. Zemdląta na mój widok, a dla pocieszenia się usmażyła wieczoru tego jajecznicę.

Nie wiem, kto i kiedy zajął się wyprzedają mebli i sprzętów moich gospodarzy. Obeszło się tym razem bez mego pośrednictwa. Wyniesiono wszystko oprócz jednego łóżka, paru kulawych krzeseł i kuchennego stołu. Pani Micawber, dzieci, służąca sierota i ja mieściliśmy się w dwóch pokojach z resztą

¹³¹ *którem (...) policzył* – inaczej: które policzyłem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

sprzętów. Nie wiem, jak długo to trwało, wdaje mi się, że bardzo długo. Wreszcie pani Micawber postanowiła przenieść się do więzienia, gdzie udało się jej mężowi pozyskać celę na wyłączny swój użytek. Odniosłem gospodarzowi domu, ku widocznemu jego zadowoleniu, klucz od opuszczonego przez nas mieszkania. Resztę ruchomości, wyjąwszy moje łóżko, przeniesiono do więzienia, w którego pobliżu znalazło się, ku wielkiemu memu zadowoleniu, schronienie i dla mnie. Dzielać ich biedę, przywiązałem się do rodziny mych gospodarzy. „Sierota” ulokowała się gdzieś w sąsiedztwie. Moje mieszkanie znajdowało się na poddaszu, kształt miało tabakierki i widok na dachy, wydawało mi się jednak pałacem, gdym rozważał położenie mych przyjaciół.

Tymczasem pracowałem ciągle, jednostajnie, w handlu „Murdstone i Grinby”, wśród tych samych towarzyszy, na tych samych co i przedtem warunkach, z niezmiennym przeświadczeniem wyrządzonej mi niezastużenie krzywdy i poczuciem wielkiego upokorzenia. Nigdy – na szczęście moje zapewne – nie nawiązywałem znajomości, a nawet unikałem rozmowy z licznymi chłopakami przybywającymi do handlu lub z tymi, których spotykałem na ulicy, idąc na obiad. Prowadziłem jak dawniej życie odosobnione, smutny, zamknięty w sobie. Te tylko chyba zaszyły zmiany, że się odzież moja porwała, lecz z serca spadł mi ciężar ciągłej troski o los państwa Micawber, gdyż znaleźli się krewni czy przyjaciele, którzy zobowiązali się pomagać im w obecnym ciężkim przejściu, toteż dawni

moi gospodarze wiedli w więzieniu o wiele wygodniejsze życie niż przedtem na swobodzie. Jadałem teraz z nimi śniadania na mocy jakichś układów i kombinacji, których szczegółów nie pamiętam. Nie pamiętam też, o której godzinie otwierały się przede mną drzwi więzienne, lecz pamiętam doskonale, że nieraz już o szóstej rano przechadzałem się po Londyńskim Moście¹³² lub siadywałem na kamieniu, przypatrując się przechodniom, lub pochylony nad poręczą patrzałem w słońce odbite w wodzie, lub wznosząc głowę podziwiałem jego odbłyски na szczycie pomników. Tu spotkałem „sierotę”. Opowiadałem jej straszne i zadziwiające historie o Tower¹³³, w które zresztą

¹³² *Londyński Most* (ang. *London Bridge*) – most na Tamizie, łączący centrum dawnego Londynu (City) z przeciwległą dzielnicą Southwark; istniał od czasów średniowiecza i stanowił nie tylko przeprawę przez rzekę (jedyną do 1750 r.), ale także targ: stały na nim sklepy i kamieniczki, często podmywane przez wodę i wymagające remontów, co stało się tematem popularnej piosenki *London Bridge is falling down* (tj. Londyński Most się wali) ze znanym refrenem „*My fair lady*” (tj. moja pani kramarko); w czasach, kiedy została napisana powieść Dickensa (1849–1850) most ten już nie istniał, w 1832 r. został rozebrany, więc czas akcji *David Copperfielda* przypada na ostatnie lata jego istnienia; Most Londyński bywa mylony z mostem Tower Bridge, będącym jedną z wizytówek Londynu, wybudowanym w 1894 r. w bezpośrednim sąsiedztwie zamku Tower of London, charakteryzującym się dwoma wieżami w stylu neogotyckim i konstrukcją zwodzoną umożliwiającą przepływanie statków oceanicznych. [przypis edytorski]

¹³³ *Tower of London* – twierdza obronna i siedziba monarchów Anglii od czasów Wilhelma Zdobywcy do Jakuba I (1566–1625), pierwszego z dynastii Stuartów; Tower słynęła przez wieki jako pilnie strzeżone więzienie (i skarbiec), do którego dostęp był jedynie od strony rzeki; więźniów przywożono więc łodziami; Tower została wybudowana w 1078 r., jej pełna ang. nazwa brzmi *Her Majesty's Royal Palace and Fortress, The Tower of London* (Pałac i Twierdza Jej Królewskiej Mości); symbolem

sam najzupełniej wierzyłem. Wieczorem po skończonej pracy wracałem znów do więzienia i przechadzałem się po dziedzińcu z panem Micawber lub grałem w *czekino*¹³⁴ z panią, słuchając po raz nie wiem już który o świetnościach i słodyczach życia, jakie wiodła w rodzicielskim domu. Czy pan Murdstone wiedział, co się ze mną dzieje? Nie wiem zgoła. Nie wspominałem go i nie słyszałem nic o nim.

Tymczasem interesy pana Micawber, pomimo przejścia kryzysu, niezbyt się poprawiały. Szło o jakiś „skrypt”; mówiono o nim wiele, a który, rozumiem to teraz, musiał być zapewne jakąś umową z wierzycielami, ale umowa w myśli mojej zostawiła wrażenie diabelskiego kontraktu, z którym poradzić sobie nie umiano. Wreszcie pani Micawber oznajmiła mi, że się jej rodzina wdaje w tę zawiłą sprawę; mąż poda prośbę o uznanie niewypłacalności na podstawie prawa o niewypłacalnych dłużnikach i po sześciu czy siedmiu tygodniach zostanie uwolniony.

– Wówczas – dodał obecny przy tej rozmowie pan Micawber – rozpocznę życie na nowo, na inną, o, na inną skalę! Jeśli, ma się rozumieć, wszystko, jak się spodziewam, odmieni na lepsze.

wieży są kruki. [przypis edytorski]

¹³⁴ *czekino* (z wł. *cinque*: pięć) – loteria, loteryjka; gra towarzyska, hazardowa (początkowo popularna wśród niższych klas społecznych), w której pięć numerów trafionych stanowi wygraną (stąd nazwa); potępienie tej gry zawierał utwór Leona Unickiego, *Czekino, czyli Łapka na grosze: komedia w pięciu aktach wierszem*, wyd. w Wilnie w 1809 r. w Drukarni Diecezjalnej Księży Misyonarzy; w oryg. użyto innej nazwy gry: *casino*. [przypis edytorski]

W wyczekiwaniu tych błogich zmian pisał, zdaje mi się, prośbę do Izby Gmin o wprowadzenie wskazanych przezeń zmian prawnych, dotyczących więzienia za długi. Notuję ten szczegół i wiele innych celem przypomnienia samemu sobie wszystkiego, co mi dopomogło wówczas stworzyć sobie własny świat wewnętrzny, obcy zewnętrznym otaczającym mnie warunkom.

W więzieniu, pamiętam, był klub, w którym pan Micawber, jako dżentelmen, cieszył się pewną powagą. Projekt prośby do Izby Gmin znalazł tam gorący poklask. Zagrzany tym poklaskiem, zawsze czynny, gdy szło o coś, co nie miało związku z jego własnymi interesami lub co było zupełnie zbyteczne i niepotrzebne, zasiadł do dzieła. Rozrastało się ono pod jego piórem do imponujących rozmiarów, wreszcie dnia pewnego wezwał wszystkich członków klubu i mieszkańców więziennych, by podpisali prośbę.

Chociaż prawie wszystkich ich znałem i wszyscy oni mnie znali, tak ciekaw byłem i przejęty ważnością gotującej się uroczystości, że zwolniłem się z handlu o godzinę wcześniej, by w korytarzu więziennym przypatrywać się wchodzącym do pana Micawber gościom. Tylu wybitniejszych członków klubu, ilu mogło się pomieścić bez trudu w ciasnej izdebce, otoczyło pana Micawber stojącego obok, a kapitan Hopkins (umyty i ogolony na tę uroczystość) odczytywał na głos prośbę tym, którzy z nią dostatecznie obznajmieni nie byli. Nastąpiły podpisy. Podpisujący wchodzili jeden za drugim, a każdego z kolei

kapitan pytał, czy zna treść prośby, i za każdym „nie” lub nawet najlżejszym wahaniem rozpoczynał na nowo czytanie głosem wyraźnym i dobitnym. Sądzę, że jeśliby tam było dwadzieścia tysięcy podpisujących, czytałby każdemu z osobna, szczególnie podkreślając takie frazesy, jak na przykład:

„Przedstawicielom narodu w Parlamencie! Z pokorą przystępujący do przezacnej Izby, nieszczęśni poddani Jego Królewskiej Mości” i tym podobnie. Słowa te w ustach jego nabrzmiewały niezwykłą uroczystością, lubował się nimi, smakował je, a pan Micawber przysłuchiwał się im nie bez odrobiny autorskiej miłości własnej, wodząc skromnie okiem po niskim suficie izdebki.

Chodząc tak codziennie z dzielnicy Blackfriars do dzielnicy Southwork i nazad, włączając się w godzinach obiadu po ciasnych uliczkach i zaułkach, których kamienie noszą ślady dziecinnych moich stóp, iluż spotykałem takich, których cienie powstają na odgłos słów kapitana Hopkinsa! Gdy myślą zwracam się w przeszłość, pytam siebie, ile z tych historii, w które stroiła przechodniów dziecinna rozigrana moja wyobraźnia, zmieniło się w dotykálną rzeczywistość? I widzę przed sobą, budzące politowanie moje, małe, rozmarzone chłopię, rozwijające myśl i uczucie w tak niestosownym, opłakanym otoczeniu nikkzemnych ludzi i zdarzeń.

Rozdział XII. Zdobywam się na stanowczy krok

Prośba pana Micawbera osiągnęła pożądany skutek. Ku wielkiemu memu zadowoleniu uwolniono go z więzienia. Wierzyście okazali się zupełnie ludzkimi, a pan Micawber mówił mi, iż nawet okrutny szewc zeznał przed sądem, że mu nie życzy nic złego i lubi tylko, by mu płacono, jeżeli mu się pieniądze należą. Dodał przy tym, że zgodne jest to z naturą ludzką.

Po skończonej rozprawie wrócił jeszcze do więzienia dla dopełnienia potrzebnych formalności. W klubie przyjęto go z entuzjazmem. Podczas gdy ucztował on wieczorem w gronie członków klubu, my tymczasem w jego celi otoczeni śpiącą rodziną spożyliśmy wspólnie z panią Micawber barani mostek.

– Przy tej sposobności – zauważyła ta ostatnia, przygotowując napój z piwa, wina, cukru i gorącej wody – wnieśmy¹³⁵ z panem Copperfieldem toast pamięci mej mamy i papy.

– Zatem nie żyją? – spytałem, wychyliwszy do dna kieliszek.

– Mama moja pożegnała świat ten, zanim się jeszcze zaczęły kłopoty mego męża, a przynajmniej zanim się wzmogły nie do wytrzymania. Papa żył czas jakiś jeszcze, by nas ratować. Umarł ogólnie opłakiwany.

Pani Micawber uroniła łzę żalu, którą skropiła czoło jednego

¹³⁵ wnieść toast – dziś: wnieść toast. [przypis edytorski]

ze spoczywających na jej ręku bliźnięt.

Skorzystałem ze sposobności, aby zadać pytanie w żywo obchodzącej mnie kwestii.

– Chciałbym spytać – rzekłem – co państwo zamierzacie począć po załatwieniu interesów i wyjściu z więzienia, gdzie zamieszkać?

– Rodzina moja – odpowiedziała pani Micawber, a zwykła słowa wymawiać z wielką emfazą, chociaż właściwie mówiąc, nie dowiedziałem się nigdy, kto mianowicie mianem tym był objęty – rodzina moja życzy sobie, abyśmy opuścili Londyn i aby mąż mój próbował sił swych i zdolności na prowincjonalnej arenie. Znane są zresztą panu, panie Copperfield, wysokie uzdolnienia mego męża.

Skinałem twierdząco głową.

– Wysokie uzdolnienia! Zdaniem mojej rodziny, przy jakimś staraniu człowiek tak uzdolniony z łatwością zajmie należne sobie stanowisko, chociażby w komorze celnej. Że zaś rodzina moja ma stosunki tam na miejscu, zamierzamy udać się do Plymouth. Zdaniem rodziny mojej krok ten będzie najstosowniejszy.

– Najłatwiej będzie tam działać – zauważyłem.

– Właśnie! Mąż mój powinien być pod ręką, w razie jeśliby się coś trafiło.

– A czy pani zamierza towarzyszyć mężowi?

Wzruszenia dnia tego, do spółki z bliźniętami, a może i wychylone toasty, tak dalece rozczuliły panią Micawber, że

głośnym wybuchła płaczem.

– Nigdy nie opuszczę pana Micawbera – zawołała patetycznie.
– Chociaż skrywał przede mną stan swych interesów, w nadziei, że się z nich wywikła, wie, jak kochającą, gotową do poświęceń ma we mnie towarzyszkę życia. Naszyjnik z pereł, bransolety odziedziczone po mojej matce poszły za pół ceny, także garnitur koralowy, ślubny podarek papy! Za nic niemal. Tak to, tak! A jednak nie opuszczę mego męża za nic, nigdy, i niech mnie nikt o to nie prosi.

Czułem się zmieszany i spoglądałem nieśmiało na mówiącą.

– Mąż mój ma zapewne wady, winy – ciągnęła, patrząc na ścianę – wiem, że skrywał przede mną istotny stan swych interesów, w innym przedstawiał światło, tym niemniej nie opuszczę go nigdy.

Tu łkania mówiącej wzmogły się do tego stopnia, że przerażony pobiegłem do klubu po biesiadującego tam małżonka. Siedział on przy długim stole, wtórując śpiewającym chórem:

Nalej Dobbin,
Dalej Dobbin,
Wychył Dobbin!
Nalej Dobbin...

Na wieść o stanie, w jakim się znajdowała jego połowica, rozplakał się i wybiegł za mną z surdudem pokrytym odłamkami skorupki raków, które właśnie spożywał.

– Co ci jest, aniele mój! Emmo! – wołał, wpadając do celi.

– Nie opuszczę cię nigdy, nigdy! – wołała, rzucając mu się w objęcia żona.

– Święcie ci wierzę, aniele mój! Przekonany o tym jestem.

– Jest on rodzicem dzieci moich, rodzicem bliźnięt, małżonkiem moim – wołała łkając kobieta – i nie opuszczę go nigdy, nigdy!

Pan Micawber zdawał się być tak wzruszony tym wybuchem małżeńskiej wierności (i mnie to do łez rozczuliło), że, ściskając żonę, błagał, aby się uspokoiła i spojrzała na niego. Głucha na te zakłęcia, wodziła błędnym okiem dokoła i wcale się uspokoić nie chciała. Prosił mnie tedy, abym wyszedł na korytarz, zanim rozbierze ją i położy. Chciałem pożegnać go, lecz nie zgodził się, abym odszedł przed ostatnim dzwonkiem więziennym. Po jakimś czasie wyszedł do mnie na korytarz.

– Jak się ma pani Micawber? – spytałem.

– Słaba – rzekł, wstrząsając głową – słaba. Zwyczajne następstwa silnych wzruszeń. Dzień to był wyjątkowo ciężki. Pozostaliśmy sami, przez wszystkich opuszczeni...

Ścisnął mi ręce, wyrzekał, płakał. Dziwiło to mnie, gdyż, przeciwnie, spodziewałem się, że zobaczę go w tym dniu pocieszonym i rozweselonym. Widać, myślałem, tak przywykli do biedy, że się nie mogą pogodzić ze zmianą okoliczności. Dość, że mi się nigdy nie zdali bardziej przybici jak tego wieczoru. Doprawdy, odchodząc, żegnany tkliwie i błogosławiony przez rozżalonego pana Micawbera, bałem się zostawiać go samego,

tak się zdawał być zrozpaczony.

W tym wszystkim zasmucało mnie najbardziej to, że opuszczają Londyn, a zatem, że będę zmuszony rozstać się z nimi. Wieczoru tego, wracając do siebie, a potem leżąc bezsennie większą część nocy, powziąłem po raz pierwszy myśl, która się z czasem zmieniała w stałe postanowienie.

Tak przywykłem do tej rodziny, tak się w ich biedzie z nimi żyłem, tak zresztą byłem samotny i opuszczony, że lękałem się większego jeszcze osamotnienia, szukania nowego schronienia wśród obcych, nieznanych ludzi. Wszystkie zranione, tłumione moje uczucia i wstręty budziły się ze zdwojoną siłą. Nie, podobne życie było nie do wytrzymania!

I nie było nadziei zmiany. Chyba ucieczka wyrwać mnie mogła z tego piekła. Chyba! O panu i o paninie Murdstone żadne nie dochodziły mnie wieści, oprócz paru zawiniątek z gotowym odzieniem, w którym na świstku papieru J. M. zlecała D. C., aby pilnował miejsca i spełniał sumiennie swe obowiązki. Nic nadto i poza tym. Byłem popychadłem i zostać nim miałem zawsze.

Nazajutrz, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem, że wyjazd z Londynu państwa Micawberów nie nastąpi, przynajmniej natychmiast. Najęli sobie w domu, w którym mieszkałem, pokój na cały tydzień i dopiero po tygodniu zamierzali wyjechać do Plymouth. Po południu pan Micawber udał się we własnej osobie do kantoru, aby uprzedzić pana Quinion o swym wyjeździe i udzielić mi przy tym jak najlepszego świadectwa, na które zresztą w zupełności zasłużyłem. Wskutek tego pan Quinion

ułożył się z woźnicą Tipp, żonatym i posiadającym izdebkę do wynajęcia, o nowy dla mnie lokal ku obopólnemu naszemu, jak sądził, zadowoleniu, gdyż nie mówiłem mu nic, chociaż powziąłem już stanowczy zamiar.

Resztę wieczorów pozostałych nam do spędzenia pod wspólnym dachem spędzaliśmy z państwem Micawber razem, przywiązując się wzajemnie do siebie coraz bardziej. Ostatniej niedzieli zaprosili mnie na obiad, złożony z wieprzowiny i puddingu. Jako podarek przy rozstaniu ofiarowałem drewnianego konika małemu Wilkinsowi, a lalkę małej Emmie, służącej zaś całego szylinga.

Pomimo rozrzewnienia wobec bliskiego rozstania dzień zszedł nam nader przyjemnie.

– Ile tylko razy – upewniała pani Micawber – wspomnę sobie ten okres czasu, w którym interesy mego męża w tak opłakany sposób były stanie, tyle razy myśleć będę o panu, panie Copperfield. Postępowanie pańskie było nad wyraz szlachetne i delikatne. Nie lokatora, lecz prawdziwego mieliśmy w panu przyjaciela.

– Widzisz, duszko – rzekł pan Micawber – Copperfield – (od niejakiego czasu zaprzestał już nazywać mnie „panem”) – posiada serce zdolne odczuć niedolę bliźnich, głowę do rady, ramię do... jednym słowem, umie robić stosowny użytek z przymiotów, jakimi natura go obdarzyła.

Podziękowałem za tak pochlebne o mnie mniemanie, wyrażając przy tym żal nad bliskim rozstaniem.

– Przyjacielu! – mówił pan Micawber – starszy jestem od

ciebie i posiadam niejakie doświadczenie, zwłaszcza... Jakby to powiedzieć? Zwłaszcza w trudnych życiowych przejściach. Tymczasem i zanim coś się zmieni, a właśnie z godziny na godzinę wyczekuję pomyślanej zmiany losu, nie mogę niczym ci służyć, jeno dobrą radą. Rady moje mają to chociażby do siebie, że sam ich nie słuchołem i doszedłem do opłakanego stanu, w jakim właśnie mnie widzisz...

To mówiąc, dotąd wesół i uśmiechnięty, zaczął marszczyć się i krzywić.

– Mężu mój drogi! – upomniała żona.

– ...mówię tedy... – z uśmiechem już ciągnął pan Micawber – do opłakanego stanu, w jakim mię widzisz. Otóż dam ci radę: nigdy nie odkładaj na jutro tego, co dziś ma być zrobione. Każda zwłoka jest okradaniem czasu, który musimy trzymać za kołnierz, by nam nie umknął.

– Zasada mego ojca! – westchnęła pani Micawber.

– Duszko – odrzekł mąż – ojciec twój miał słuszość i zgadzam się z nim najzupełniej. Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który by w jego wieku mógł pochwalić się takimi jak on łydkami i najdrobniejsze druki czytać bez okularów. Lecz co do powyższej maksymy, rozciągając takową do naszego małżeństwa, przyśpieszył je, narażając mnie na koszta, których dotąd pokryć nie zdołałem.

Spojrzał z ukosa na żonę i dodał:

– Nie uskarżam się jednak na to, kochanie, wcale, wcale się nie uskarżam i owszem.

Po chwili milczenia ciągnął:

– Dalsze moje rady znane już ci są, Copperfieldzie. Kto ma dochodu dwadzieścia liwrów, a wyda rocznie dwadzieścia jeden, ten jest na drodze do ruiny i bankructwa. Biada mu! Zatruty będzie miał spokój, zwiędnie jak liść miotany wichrem, w gorycz mu się zmieni wszelka radość.

Dla poparcia słów swych pan Micawber podnosił w górę z istotnym zadowoleniem kufel ponczu i zaczął wesolą pogwizdywać piosenkę.

Upewniałem go, że zachowam w pamięci słowa jego i rady, które, prawdę mówiąc, wraziły mi się stokroć lepiej w pamięć przykładem, który miałem przed sobą. Nazajutrz odprowadzałem odjeżdżających na pocztę, patrząc z bólem w sercu, jak zajmowali miejsca w dylizansie.

– Niech Bóg ma pana w swej opiece – mówiła pani Micawber.
– Nigdy nie zapomnę pana!

– Copperfieldzie – wołał mąż jej – żegnaj mi, żegnaj! Życzę ci wszelkiego szczęścia i powodzenia. Z biegiem czasu spodziewam się dożyć tej pociechy, że los mój posłuży ci za naukę; będę szczęśliwy, jeśli się moje doświadczenie na coś przyda! A jeśli przekorne dotąd dla mnie losy zmieniają się na lepsze, jak tego mam nieomyślne przeczucie, licz na mnie i na serdeczne z mej strony poparcie we wszystkich swych zamysłach.

Zdaje mi się, że dopiero siedząc w głębi dylizansu, z dziećmi dokoła siebie, pani Micawber, patrząc na mnie stojącego na drodze i smutnie w nią wpatrzonego, dostrzegła po raz

pierwszy, jak małym byłem dzieckiem. Pewien nawet tego jestem, gdyż spojrzała na mnie z nieznanym mi dotąd wyrazem macierzyńskiego jakby żalu, skinęła ręką, a gdym się wspiął na stopień, przycisnęła mnie po raz pierwszy do piersi, długo i gorąco, jak gdybym był własnym jej dzieckiem. Zaledwim zeskoczył, dylizans potoczył się. Chwilę jeszcze dostrzec mogłem powiewające u jego okien chustki. Po chwili wszystko znikło w oddali! Chwilę jeszcze staliśmy na drodze, w dal zapatrzeni, służąca i ja, po czym uścisnęliśmy się za ręce i rozeszli każde w swoją stronę, „sierota” zapewne do przytułku, z którego ją wzięto, ja do handlu „Murdstone i Grinby”.

Zdecydowany byłem niedługo już tam pozostać. Postanowiłem uciec. Uciec w ten lub inny sposób i trafić do jedynej pozostałej mi na świecie krewnej, do ciotki Betsey Trotwood.

Nie wiem już, jak to zauważyłem powyżej, kiedy myśl ta powstała mi w głowie, lecz raz powstawszy, w niezłomne zmieniła się postanowienie. Wątpię, czy mi się zdawała szczęśliwą lub czy budziła we mnie nadzieję lepszego losu; dość, że postanowiłem wprowadzić ją mimo wszystko w czyn.

Od owej nocy, kiedy mi się po raz pierwszy przedstawiła w sennym, gorączkowym marzeniu, nie wiem już, ile razy wspomnieniem przebiegałem wszystko, co mi matka i Peggotty opowiadały o wypadkach towarzyszących memu urodzeniu. Niegdyś niesłuchanie to mnie bawiło i głęboko wrażyło się w pamięć. Na całą tę historię osoba ciotki Betsey, niby potężna

i sroga wróżka, rzucała cień ponury; był tam jednak szczegół, z którego dziecięce moje serce czerpało otuchę. Zdawało się matce mojej, że gdy płakała przed ciotką, uczuła na swych włosach pieszczotliwe dotknięcie jej ręki. Chociaż matka moja mogła się była mylić, chociaż nie mogło to mi w żadnej mierze służyć za podstawę, utkwilo głęboko jednak w dziecięcej mej wyobraźni. Słodka piękność mej matki, której żywe zachowałem wspomnienie, musiała rozbroić srogą ciotkę. Przekonanie to musiało, mimo mej wiedzy, wpłynąć na moje postanowienie.

Że jednak nie wiedziałem nawet, gdzie ciotka Betsey mieszka, spytałem o to w liście Peggotty, nadmieniając dla niepoznaki, że coś słyszał o damie mieszkającej – tu wymienilem pierwszą lepszą miejscowość, która przyszła mi na myśl. Jednocześnie dodałem, że potrzebuję bardzo pół gwinei i wdzięczny będę Peggotty, jeśli mi pożyczy na czas jakiś; gdy się znowu zobaczymy, powiem, na co pieniądze te użyte zostały. Odpowiedź nadeszła szybko, pełna, jak zwykle, najserdeczniejszych zapewnień niezmiennego przywiązania. Peggotty przysyłała mi żądane pieniądze. Z trudnością musiała je kochana moja piastunka wydobyć ze skrytki, w której mąż jej gromadził swe oszczędności; pisała, że ciotka Betsey mieszka w pobliżu Dovru, nie umiała tylko objaśnić mi, gdzie sam Dover¹³⁶ leży, w Hythe, Sandgate czy Folkstone¹³⁷. Ktoś, kogom

¹³⁶ *Dover* – nadmorskie miasto z przeprawą promową, położone w hrabstwie Kent, w Anglii, nad Cieśniną Kaletańską, w najważniejszym miejscu kanału La Manche, na pld.-wsch. od Canterbury; wybrzeże w okolicy Dover słynie z białych, kredowych skał, dzięki którym Anglia nazywana była niegdyś Albionem (z łac. *albus*: biały). [przypis

zagadną¹³⁸ o te miejscowości, powiedział mi, że leżą tuż przy sobie, co mi się wydało wystarczające dla moich zamysłów. Uskutecznienie ich odłożyłem do końca tygodnia.

Byłem bardzo uczciwy i nie chciałem niczym obarczać pamięci, jaką miałem po sobie zostawić w handlu „Murdstone i Grinby”; otrzymawszy zaś w sobotę tygodniową płacę, uważałem się związanym do dnia tegoż, a gdy wieczorem przyszła chwila nowej wypłaty i woźnica Tipp zjawił się po nią jak zwykle pierwszy, uściśnąłem dłoń mego towarzysza Micka Walkera, prosząc go, aby gdy przyjdzie kolej na mnie, oznajmił panu Quinion, że wyszedłem wcześniej w celu przeniesienia mej walizki do Tippów. Po czym, pożegnawszy się z Mączystym Kartoflem, wybiegłem ze sklepu.

Walizka moja znajdowała się jeszcze w uprzednim mieszkaniu. Na adresie sklepu, któryśmy zwykli byli przypinać do roznoszonych po mieście paczek, skreśliłem: „Pan Dawid. Zatrzymać do zgłoszenia się odbiorcy. Poczta w Dover”. Miałem to gotowe w kieszeni i udając się do mieszkania, oglądałem się, czy nie znajdę kogoś, kto mi pomoże wynieść walizkę. Pod obeliskiem, na Blackfriars Road, przed pustym wózkiem, stał młody dryblas, który wydał mi się odpowiedni.

Spytałem go, czy nie chciałby co zarobić.

edytorski]

¹³⁷ *Hythe, Sandgate, Folkstone* – miejscowości położone wzdłuż wybrzeża przy drodze do Dover. [przypis edytorski]

¹³⁸ *kogom zagadnął* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: kogo zagadnąłem. [przypis edytorski]

– Co mianowicie? – spytał.

– Przewożąc walizkę.

– Czyją?

Powiedziałem mu, że moją i że trzeba ją odstawić do stacji pocztowej za opłatą sześciu pensów.

Zgodził się i toczył swój wózek tak szybko przed sobą, że go z trudnością mógł dogonić. Było coś nieprzyjemnego w wyrazie jego twarzy, mówiąc zaś, żuł kawałek słomy, lecz że umowa stanęła, nie było co robić. Postawiliśmy na wózku walizkę, wahałem się jednak powierzyć mu adres i przyszło mi na myśl zawezwać kogo z rodziny moich byłych gospodarzy. Prosiłem go tedy, aby zatrzymał się chwilę przy furtce więziennej. Zaledwie to wymówił, wózek wraz z mą walizką potoczył się jak szalony. Zadyszałem się, biegnąc i wołając. Zmęczony, rozgrzany, wyrzuciłem z kieszonki moje pół gwinei i, podjąwszy ją, dla większego bezpieczeństwa wziąłem w usta, drżącymi dłońmi usiłując uwiązać do wózka walizkę. Wtem poczułem silne pchnięcie i pieniądz mój z ust moich przeszedł do rąk dryblasza.

– Aha! – wołał ten ostatni, porywając mnie za kołnierz – Tak to, mały łotrze! Chodź do policji, do policji!

– Oddaj mi moje pieniądze i zostaw mnie w pokoju – jąkałem się wystraszony.

– Do policji, do policji – ciągnął napastnik.

– Oddaj mi moje pieniądze i moją walizkę – wołałem, wybuchając płaczem.

Odpowiedział mi tylko „do policji! do policji!”, wlokąc mnie za sobą w tak gwałtowny sposób, jak gdyby sędziowie znajdowali się tuż, zaraz. Po chwili jednak zmienił zamiar, wypuścił mnie ze swych szpon i z wózkiem i walizką popędził szybko, wołając, że sam tak prędzej dobiegnie do policji.

Pędziłem za nim długo, nie mając już siły wołać i nie śmiejąc, gdybym ją miał. Chwilami traciłem go z oczu, to znów dostrzegałem, znów traciłem, czułem się w biegu smagany biczem, popychany, ślizgałem się w błocie, padałem, podnosiłem się, trącałem przechodniów. Zmęczony, zgrzany, wystraszony, z opuszczającymi mnie siłami, sądząc, że pół Londynu goni za mną, wyrzekłem się wreszcie pogoni, pieniędzy, walizki i płacząc, lecz nie zatrzymując się wcale, zawróciłem ku Greenwich, wyobrażając sobie, że tędy wiedzie droga do Dovru, do celu mej ucieczki.

Rozdział XIII. Następstwa tego kroku

Kiedy wyrzekłem się pogoni za złodziejem i zwróciłem się do Greenwich, zamiarem moim było zapewne dobiec do samego Dovru. Po długiej dopiero chwili ochłonałem nieco i usiadłszy na kamieniu przy tarasie, koło którego był basen wody z jakąś olbrzymią, w suchą konchę dmiącą postacią, starałem się zebrać rozpierchłe myśli. Tchu mi brakowało w piersiach, nie miałem sił nawet, by opłakiwać stratę walizy i pół gwinej.

Ściemniało. Zegar gdzieś wybił dziesiątą. Szczęściem,

wieczór był pogodny i ciepły. Wypocząwszy trochę, powstałem, lecz ani na chwilę nie zdjęła mnie chętka powrotu. Ręczę, nie przyszłoby mi to na myśl nawet wobec śnieżnej na drodze zamieci.

Niepokoiliła mnie jednak nieco ta okoliczność, że posiadałem tylko w kieszeni, Bóg wie jakim cudem, z tygodniowego wydatku pozostałe trzy półpensy. Przypominając sobie różne czytane w dziennikach nowiny, wyobrażałem sobie, jak i mnie za parę dni znajdą nieżywego pod płotem. Rozmyślenia te nie wstrzymały mego kroku i właśnie mijałem sklepik z napisem, że się tu kupuje męską i damską odzież, w najlepszej zaś cenie są szmaty, kości i kuchenne sprzęty. Właściciel sklepu, bez surduta, z fajką w ręku siedział na progu. W oknie wisiał surdut i para spodni, słabo oświetlone dwiema świeczkami, wszystko to wywarło na mnie ponure wrażenie. Wyobrażałem sobie, że człowiek ten mściwy być musi i że zapewne wieszka wszystkich swych wrogów.

Doświadczenie nabyte w obcowaniu z panem i panią Micawber nauczyło mnie, że nie ma takiej biedy, która by się jako tako zażegnać nie dała. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, ściągnąłem z pleców kamizelkę i zwinąwszy ją starannie, zbliżyłem się do handlarza, mówiąc:

– Przepraszam pana, chciałbym to sprzedać za dobre pieniądze.

Pan Dolloby – nazwisko to było wypisane na szyldzie – wziął mi z rąk paczkę, postawił przy drzwiach fajkę, wszedł do

sklepiku, a ja za nim. Palcami utarł nadpalone u świec knoty. Długo oglądał ze wszech stron kamizelkę, wreszcie spytał:

– I wieleż to się ceni?

– Pan to sam lepiej może wiedzieć – odrzekłem.

– Nie mogę być zarazem kupującym i sprzedającym – odrzekł

– proszę o wymienienie żądanej ceny.

– Osiemnaście pensów – wyjąkałem po długim wahaniu.

– Dając dziewięć okradłbym mą rodzinę – rzekł, zwijając kamizelkę i zwracając mi ją.

Było to wielce delikatne postawienie sprawy. Obcy i nieznany, nie mogłem przecież wymagać, aby pan Dolloby krzywdził i okradał dla mnie własną rodzinę. Pod naciskiem położenia zauważyłem nieśmiało, że zgodziłbym się na dziewięć, które też otrzymałem. Pożegnawszy handlarza, wyszedłem ze sklepiku bogatszy o całe dziewięć pensów, lecz bez kamizelki na plecach. Ściągnąłem, ile się dało, na piersiach surducik, przewidując, że się i z nim wkrótce będę musiał rozstać i dalszą drogę odbyć w spodenkach tylko, co byłoby jeszcze nader szczęśliwie. Nie zastanawiałem się jednak nad tym dłużej. Wszystko blade wobec przestrzeni, jaką miałem przebyć, i przygody z walizką.

Powziąłem plan spędzenia nocy i wykonaniem jego zająłem się niebawem. Otóż postanowiłem przespać się pod murem mojej dawnej szkoły, w narożnej niszy, gdzie składano siano i słomę. Zdawało mi się, że śpiąc tak w pobliżu dawnych mych towarzyszy i sypialni, w której niegdyś długie opowiadałem im historie, mniej będę opuszczony, chociaż nic o mnie towarzysze

wiedzieć nie będą, a sypialnia ich nie udzieli mi schronienia.

Zmęczony byłem i z trudnością dowlokłem się do Salem House. Dowlokłem się jednak i znalazłem pod murem stos siana. Obszedłszy dom dokoła i przekonawszy się, że światła nie było już w żadnym oknie, położyłem się. Nie zapomnę nigdy wrażenia pierwszej pod gołym niebem spędzonej nocy.

Sen objął mnie jak i wielu innych wyrzutków, przed którymi zamknęły się tej nocy drzwi domów i na których warczały psy stróżujące rządnych mieszkańców. Sen objął mnie i śniło mi się, że w szkolnej sypialni, otoczony towarzyszami, baję im, jak niegdyś bywało. Zbudziłem się nagle z imieniem Steerfortha na ustach, zdziwiony mruganiem gwiazd jasnych nade mną. Z poczuciem rzeczywistości zdjął mię strach, powstałem i począłem przechadzać się wzdłuż muru i dopiero świtanie uspokoiło mnie nieco, a że mi się oczy kleiły ze znużenia, wróciłem na posłanie i zasnąłem, czując jednak chłód poranku. Dopiero wschodzące słońce ogrzało mnie i zbudził dźwięk dzwonu w Salem House. Gdybym był pewien, że się tam Steerforth jeszcze znajduje, czekałbym, dopóki nie wyjdzie na dziedziniec. Ale Steerforth musiał już opuścić od dawna szkołę. Był tam może jeszcze Traddles, lecz nie byłem tego pewien, zresztą nie ufałem tak bezwzględnie jego rozprawom i dobrej gwieździe, chociaż ufałem najzupełniej sercu, by mu się zwierzyć w mej biedzie. Odszedłem tedy od Salem House w chwili, gdy uczniowie pana Creakle ze snu wstawali. Sam byłem na drodze,

która, jakem się o tym niegdyś, w szkole będąc, dowiedział¹³⁹, wiodła do Dover, i żadne znane dostrzec nie miało mnie oko.

Jakże się ten niedzielny poranek różnił od tamtego, spędzonego w Yarmouth! Wlokąc się powoli, słyszałem wprawdzie głos kościelnych dzwonów, spotykałem idących do kościoła ludzi, przechodząc koło otwartych drzwi świątyni, słyszałem pobożne pieśni wiernych, widziałem, jak stojący u drzwi lub chłodzący się pod drzewami cmentarza zakrystianie przyglądali się podejrzliwie, lecz nie udzielało mi się świąteczne wesele i świątecznego zażyć nie mogłem wypoczynku. W tym była rzecz. Sam sobie wydawałem się bezbożny w zbrukanej mej odzieży, z potarganymi włosami i wąpnię, czyby mi sił starczyło do dalszej podróży, gdyby mnie nie zagrzewało wspomnienie matki mojej w całym blasku młodości i piękności, płaczącej w przeddzień mego urodzenia przed siedzącą u kominka ciotką. Obraz ten miałem ciągle w myśli, on to mnie wiodł i podtrzymywał.

Zrobiłem niedzieli tej coś około dwudziestu trzech mil¹⁴⁰ pieszo, co mnie, nieprzyzwyczajonego, zmęczyć bardzo musiało. Wieczorem, kulejąc i gryząc kawałek na wieszaczę schowanego chleba, doszedłem do mostu w Rochester¹⁴¹. Widziałem

¹³⁹ *jakem się (...) dowiedział* – inaczej: jak się dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *mila angielska* – miara długości wynosząca ok. 1609 m; istniała też mila londyńska, licząca równo 5000 stóp, czyli ok. 1524 m. [przypis edytorski]

¹⁴¹ *Rochester* – miasto w hrabstwie Kent w Anglii, położone u ujścia rzeki Medway, oddalone 30 mil (ok. 50 km) od Londynu; należało do ulubionych miast

wprawdzie nad bramą małego domku napis „Gospoda dla podróżnych”, bałem się jednak wydać ostatni pieniężny zapas, a jeszcze bardziej może przestraszały mnie fizjonomie spotykanych podróżników. Wolałem więc pozostać znów przez noc całą pod gołym niebem, włokąc się do Chatham¹⁴², które w nocnym mroku wydało mi się sennym widzeniem wapna, mostów zwodzonych, okrętów bez masztów, podobnych do arki Noego, uwięzłych w zamulonej wodzie. Wylazłem wreszcie na trawę porośniętą baterie, gdzie przechadzały się warty. Tu, pod działem, uszczęśliwiony z sąsiedztwa żołnierza, który nie wiedział o mnie więcej niż poprzedniej nocy współtowarzysze moi z Salem House, położyłem się i snem twardym spałem do samego rana.

Z rana zbudziłem się zmęczony, zbity, ogłuszony biciem w bębny, pochodem wojsk, które napełniły wąską ulicę. Wiedziałem, że chcąc dotrzeć do celu mej podróży, muszę oszczędzać opuszczające mnie siły, postanowiłem przede wszystkim sprzedać tego dnia mój surducik. Zdjąłem go więc i trzymając pod pachą, ruszyłem naprzód w poszukiwaniu kupca.

Miejsce to zresztą było najzupełniej odpowiednie dla podobnych transakcji, w zaułkach roili się tandeciarze.

Charlesa Dickensa, który nieopodal, w Higham, wiosce położonej między Rochester a Gravesend, miał w latach 1856–1870 dom letni Gads Hill Place, gdzie zakończył życie. [przypis edytorski]

¹⁴² *Chatham* – notowane już w 2. poł. IX w. miasto w hrabstwie Kent w Anglii, położone u ujścia rzeki Medway do Morza Północnego; znajduje się w odległości ok. 35 mil (tj. ponad 56 km) od centrum Londynu. [przypis edytorski]

W oknach sklepików wisały same mundury, epolety i tym podobne przedmioty. Imponowały mi tak dalece, że długi czas nie śmiałem proponować mego towaru stojącym na progach kramarzom.

Nieśmiałość kazała mi szukać sklepów jeszcze mniejszych, podobnych do sklepu pana Dolloby. Znalazłem wreszcie coś podobnego na skrawku wąskiego i cuchnącego zaułka, przytykającego do zagrodzonego placu zarosłego pokrzywą, którego płot zawieszony był zardzewiałą bronią, ceratowymi kapeluszami i pękami zardzewiałych kluczy wszelkich rozmiarów, wystarczających, rzecz można, do otwarcia wszystkich pod słońcem istniejących zamków.

Do niskiego i ciasnego, rozświetlonego skąpą smugą światła wpadającą przez małe okienko sklepiku, do którego zstępowało się po kilku niepewnych stopniach, wszedłem z bijącym sercem, bynajmniej nie uspokojony widokiem starca, który wylaź z kąta i od razu porwał mnie za włosy. Straszny był, z długą, siwą brodą, w starym flanelowym kaftanie. Czuć go było wódką i rumem. W kącie pod oknem stało plugawe jego legowisko, pokryte zszywaną z gałganów kołdrą, za oknem widać było same pokrzywy i wśród nich chudego, kulawego osła.

– Czego chcesz, mały?! – zawołał. – Po co tu włączysz? O goroo, goroo! Ach, oczy moje i członki, czego ty tu chcesz? Ach, płuca moje i wątroba, czego chcesz? Ach, goroo, goroo!

Tak mnie przeraził jego widok, a zwłaszcza niezrozumiałe, chrapliwym głosem wymawiane słowa, że nie mogłem zdobyć

się na odpowiedź. Stary, nie puszczać mnie, wrzeszczał:

– Czego chcesz, mały?! Och, oczy wy moje i członki! Czego ty tu chcesz, czego? Och, goroo, goroo! – wykrzykiwał to z taką energią, aż mu oczy na wierzch wychodziły.

– Chciałbym wiedzieć – odrzekłem, drząc cały – czy... czy nie sprzedałbym tego surduta.

– Pokaż, pokaż! – zawołał, wypuszczając włosy moje z drżących rąk, podobnych do szponów olbrzymiego ptaka, i nakładając okulary na zaczerwienione oczy. – Pokaż, o moje ty płomienne serce! Och! Oczy wy moje i członki! Pokaż! O! Goroo! A ile za to?

– Pół korony – odrzekłem, przychodząc pomału do siebie.

– Och! Oczy wy moje i członki! Co to, to nie! Goroo! Osiemnaście pensów, goroo!

Za każdym wykrzyknikiem oczy mu na wierzch wyłaziły, każde słowo wymawiał na kształt wycia wiatru przechodzącego z minorowych¹⁴³ do majorowych¹⁴⁴ tonów.

– Dobrze – rzekłem – zgoda i na osiemnaście pensów.

– O życie ty moje! Życie! – zawrzeszczał, chowając surdut mój na półkę. – Czego ty chcesz ode mnie?! O moje wy członki! Czego chcesz?! Pieniądzy? Goroo, weź co na zamianę.

Nie pamiętam, abym był kiedy bądź przedtem czy potem tak

¹⁴³ *minorowy* – smutny, płacziwy, od terminu muz. określającego tonację utworu: tonacja minor tj. tonacja molowa. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ *majorowy* – radosny; od terminu muz. określającego tonację utworu: tonacja (skala) majorowa tj. durowa. [przypis edytorski]

przerażony, jak wówczas. Tłumaczyłem pokornie kramarzowi, że potrzebuję koniecznie pieniędzy, nie zaś czego innego w zamian za mój surdut, dodawałem, że jestem gotów na pieniądze poczekać, nie w sklepie, ale na ulicy przed sklepem. Wyszedłem też czym prędzej i usiadłem w kątku, w cieniu jakiejś wystającej belki. Siedziałem długo, godziny całe. Słońce weszło wysoko i znów się skłoniło, a ja siedziałem ciągle, wyczekując pieniędzy.

Wątpię, aby się gdzie znajdował drugi podobny handlarz, pijak i wariat. Że go znano w okolicy całej, gdzie uchodził za sprzedaną diabłu duszę, dowiedziałem się od uliczników przedrzeźniających go ustawicznie przed drzwiami sklepiku i wołających nań, aby się opamiętał i oddał swoje złoto. „Ho! ho! – wołali – wiemy dobrze, co się święci! Wiemy, żeś bogaty, stary sknero, nie oszukasz nas swymi lamentami, oddaj złoto! Oddaj skarby, za które sprzedałeś się diabłu! Ho! ho! Podnieś no się ze swego legowiska, rozpruj swój materac, a pożywimy się jego wnętrznościami”.

Wołając tak, obiecywali pożyczyć mu nawet noża lub nożyczek do rozprucia materaców. Rozwścieczony wybiegał ze sklepiku, co było zwykle dla uliczników hasłem do rozpraszenia się, a wracali oni, skoro się drzwi zamknęły. Czasem brał mnie za jednego z nich i rzucał się na mnie tak, jak gdyby miał mnie rozszarpać, lecz opamiętawszy się, wracał do swej nory, gdzie mruczał coś niezrozumiałego, przerywanego ustawicznymi „och” i „goroo”. Na dobitkę, widząc spokojne i cierpliwe moje zachowanie się u drzwi tandeciarza, ulicznicy zwrócili ku mnie

część swych drwinek i przedrzeźnień.

Tandeciarz tymczasem usiłował skłonić mnie do przyjęcia starych rupieci zamiast osiemnastu pensów, które był mi dłużny. Przynosił mi kolejno wędkę, skrzypce, kapelusz z kokardą, tornister, flecik. Trwałem w postanowieniu, zrozpaczony, lecz niezłomny i prosiłem go za każdym razem o pieniądze lub o zwrot mego surducika. Zdecydował się wreszcie zapłacić i przez parę godzin przynosił mi po pół pensa, za każdym wychyleniem się ze swej nory wołając:

– Och, oczy wy moje i członki, czy nie mógłbyś zejść innym razem po resztę?

– Nie – odpowiedziałem – umarłbym z głodu.

– Och! Goroo! Goroo! Poczekaj do jutra na trzy pensy.

– Za nic, nie mogę.

– Och! Goroo! No, to masz czternaście pensów i kwita! – wołał, wychylając poza drzwi głowę z wyłożonymi na wierzch oczyma.

Tak byłem zmęczony i głodny, że zgodziłem się ostatecznie na tę zniżkę. Miało się już ku zachodowi. Wydatek trzech pensów pozwolił mi posilić się i ugasić trawiące mnie pragnienie. Przed nadejściem nocy uszedłem jeszcze siedem mil.

Nocowałem znów na stogu siana, obmywszy obrzękłe nogi w potoku i owinąwszy je świeżymi liśćmi. Nazajutrz droga wiodła mię¹⁴⁵ wśród sadów i chmielem obsadzonych

¹⁴⁵ *mię* – daw. forma zaimka osobowego w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; dziś jednolita forma: mnie. [przypis edytorski]

plotów. Ogrody rumieniły się dojrzałymi jabłkami, a liczni robotnicy pracowali w chmielu. Wszystko to zachwycało mnie. Postanowiłem przespać noc tym razem w chmielu pod strażą wysokich, giętkimi gałązkami oplecionych tyczek.

Spotykani dnia tego podróżni straszniejsi mi się jeszcze wydali. Niektórzy zaczepiali mnie, a gdym uciekał od nich, ile sił starczyło, rzucali za mną kamienie i klątwy. Jeden, pamiętam, blacharz, wnosząc z jego sakwy i piecyka, który miał przewieszony przez plecy, idący w towarzystwie jakiejś kobiety, zaczepił mnie, a gdym szedł milcząc dalej, zaczął mi wymyślać:

– Wróć no się, gdy cię wołam, smarkaczu tam jakiś, bo ci połamie ręce i nogi!

Uznałem za stosowne usłuchać wezwania i zbliżyłem się do blacharza, starając się rozbroić go najtkliwszym spojrzeniem. Towarzysząca mu kobieta miała podbite oko.

– Gdzie idziesz? – pytał, chwytając mnie za koszulę.

– Do Dover – odrzekłem.

– A skąd cię diabli niosą?

– Idę z Londynu.

– Czym dowiedziesz? Zuch z ciebie! Co?

– Nie – wyjąknąłem.

– Niech cię diabli! Jeśli nie zechcesz zrobić mi grzeczności, roztrzaskam ci czaszkę.

Wypuścił mnie z rąk swoich, strasząc i grożąc pięścią, obrzucił wzrokiem od stóp do głowy.

– No, mały, jeśli masz na kufelek piwa, dawaj, bo odbiorę.

Oddałbym wszystko, gdyby mnie nie powstrzymało spojrzenie kobiety, która wstrząsnęła przecząco, choć nieznacznie głową.

– Ubogi jestem – tłumaczyłem się – nic nie mam.

– Co ty myślisz sobie! – wrzasnął blacharz.

– Panie!

– Co myślisz! Niby to nie poznałem na twej szyi jedwabnej chustki mego rodzonego brata? Oddawaj!

W mgnieniu oka chustka moja była w jego rękę. Zmiał ją i rzucił kobiecie. Ta roześmiała się jak z dobrego żartu, lecz odrzucając mi ją z powrotem, wzrokiem i nieznacznym poruszeniem ust mówiła wyraźnie: „zmykaj”. Zanim to jednak zdołałem uczynić, blacharz wyrwał mi znów z rąk chustkę, okręcił ją koło własnej szyi i zwracając się do swej towarzyszki, począł bić ją srodze. Nie zapomnę jej nigdy upadającej na drogę i leżącej w pyle, z potarganymi włosami. Gdym odbiegł, obejrzałem się jeszcze. Siedziała nad rowem ocierając z czoła i twarzy krew końcem chustki, którą była okryta. Blacharz poszedł dalej.

Wypadek ten przeraził mnie tak dalece, że odtąd, widząc zbliżających się ludzi, chowałem się za płoty i do rowów, wychodząc, gdy mnie minęli i dostrzec już nie mogli. Opóźniało to o wiele moją podróż. W tych, jak i innych trudnościach, podtrzymywał mnie ciągle w myśli obecny obraz pięknej, młodej mojej matki w przeddzień mego urodzenia. On to czuwał nade mną, gdy spałem wśród chmielów, on mnie prowadził, gdym

ruszył rano w dalszą drogę. Widzę go też na tle słonecznego krajobrazu, ponad ulicami, starymi domami i malowniczymi bramami, ponad szarą katedrą w Canterbury i jej wieżycami pokrytymi wronimi gniazdami. On to złocił połyskiem nadziei nagie, smutne płaszczyzny Dover, on to dowiódł mnie dnia szóstego do celu mej podróży. I dziwne, odbiegł mnie właśnie w chwili, gdy bosy, brudny, obdarty, słońcem i wiatrem spalony, na wpół nagi i na wpół zagłodzony stanąłem na bruku tego miasta.

Rozpytywałem z początku rybaków o moją ciotkę, otrzymując najsprzeczniesze wskazówki. Jeden mówił, że mieszka przy gazowni, przez co osmaliała swe faworyty. Drugi, że daleko za wodą, gdzie dojść tylko można przy odpływie. Trzeci, że ją zamknięto w więzieniu za kradzież dzieci. Czwarty, że odpłynęła właśnie wieczorem do Calais. Zwróciłem się do dorożkarzy, lecz i ci zbyli mnie podobnymi żarcikami. Kramarze, zanim usta otworzyłem, wołali, żebym odchodził, bo wcale nie mają tego, czego żądam. Czułem się ostatecznie znużony i nieszczęśliwy, bez grosza, głodny, sił nie miałem ustać na nogach i cel podróży, do którego dotarłem, zdawał mi się teraz o wiele dalszy niż kiedykolwiek.

Cały ranek przeszedł na próżnych poszukiwaniach. Usiadłem na progu niezajętego sklepu, w pobliżu rynku, rozmyślając, czy pójść we wskazywane tak sprzecznie miejsca, gdy przejeżdżający dorożkarz zgubił derę. Podjąłem ją i podając mu, ośmielony poczciwym jego wyglądem, po raz nie wiem już który

powtórzyłem nieśmiało pytanie.

– Trotwood – odrzekł, namyślając się – słyszałem coś. Staruszka?

– Zapewne – odrzekłem.

– Sztywna – ciągnął, prostując się.

– Zapewne – dodałem.

– Nosi zawsze torbę, ot taką dużą. Mrukliwa, kwaśna.

Serce mi biło, poznawałem ciotkę po tym wiernym opisie.

– Trzeba iść tędy – wskazał biczem – samym brzegiem morza.

Jest tam, jak raz naprzeciw morza, domek, tak wprost. Musiałeś słyszeć o niej? Ręczę, że ci nie da feniga, masz oto za fatygę.

Przyjąłem z wdzięcznością pensa i zaraz kupiłem sobie chleba. Spożywając skromne to śniadanie, szedłem długo i daleko, nie mogąc znaleźć domku, o którym mówił woźnica. Wcale nawet w okolicy tej domów nie było. Dostrzegłem wreszcie parę i wszedłem do sklepiku, aby znów zapytać o pannę Trotwood. Pytanie zwróciłem do kramarza ważącego właśnie ryż na szalkach, ale odpowiedziała na nie stojąca przed kantorkiem młoda kobieta.

– Moja pani! Czego możesz chcieć od mojej pani?

– Chciałbym ją widzieć – odrzekłem bardziej jeszcze niż przedtem onieśmielony.

– O, chcesz jałmużny.

– Nie, wcale nie – odrzekłem, lecz zaczerwieniłem się na myśl, że istotnie po to chyba przyszedłem.

Służąca, wsypawszy do koszyka odważony ryż, wyszła ze

sklepiku i powiedziała, że, idąc za nią, dowiem się, gdzie panna Trotwood mieszka. Nogi pode mną drżały, gdyśmy się zbliżyli do wiejskiego domku, przed którym bielił się piaskiem wysypany dziedziniec, a dokoła woń rozpuszczał starannie utrzymany, rozkwiecony ogród.

– Tu mieszka panna Trotwood – rzekła służąca – a teraz sam radź sobie – dodała, wbiegając szybko do domu, jak gdyby chciała uniknąć wszelkiej odpowiedzialności za następstwa tak śmiałego kroku. Pozostałem u bramy drżący, spoglądając nieśmiało i zapewne błagająco w okna.

Po niejakiś czasie w jednym z nich uchyliła się muślinowa firanka, ukazując zieloną zasłonkę, może wachlarz, w oknie stojący stoliczek i głęboki fotel. Nasunęło mi to myśl, że mogę ujrzeć natychmiast ciotkę we własnej osobie.

Obuwie moje było w opłakanym stanie. Brudne, porwane, ledwie się stóp moich trzymało. Kapelusz (służył mi też w drodze za poduszkę) utracił wszelkie kształty i wstydliwie opuścił brzegi. Pot, rosa, pył, siano, na którym spałem, pozostawiły tysiące śladów na koszuli i spodenkach. Zawieszane na kiju służyć by mogły do wystraszania wróbla z ogrodu, u którego wrót stałem. Włosów moich, od wyjścia mego z Londynu, nie dotknął grzebień ani szcztotka, twarz moja, ręce i szyja spalone były na brunatny kolor, a od stóp do głowy pokrywał mnie kurz gęsty, białawy. Pod taką to postacią i świadomy nędznego wyglądu miałem przedstawić się straszliwej ciotce.

Cisza w oknie uspokoiła mnie. Zapewne nie było tam ciotki.

Podniosłem nieśmiało oczy. W oknie stał niemłody, rumiany, uśmiechnięty dobrotliwie mężczyzna. Włosy miał siwe, mrużył oko, kiwnął mi kilkakrotnie głową, potrząsnął nią kilkakrotnie i odszedł.

Tyle już doznałem zawodów, że tym razem zamyślałem na serio odejść, gdy z domu wyszła dama, w chustce do nosa związanej na czepku, w rękawicach i z ogrodowymi nożycami w rękę, w ogromnym jak u malarzy fartuchu. Domyśliłem się od razu, że mam przed sobą ciotkę Betsey. Zjawiła się tak nagle i niespodzianie, jak niegdyś w Blunderstone.

– Precz stąd! – zawołała, machając nożycami – nie tu miejsce dla uliczników.

Cofnąłem się mimo woli, przyglądając się jej. Weszła do ogrodu i zaczęła wycinać suche gałązki. Zdobyłem się na odwagę i stanąwszy za nią, dotknąłem z lekka jej ramienia.

– Proszę pani...

Odwróciła się, spojrzała mi prosto w oczy.

– Ciotko!...

– Co? – zawołała zdumiona.

– Proszę pani, ciociu... jestem twoim siostrzeńcem.

– Jezu?! Maria! – zawołała i usiadła na ścieżce.

– Jestem Dawidem Copperfieldem z Blunderstone w Suffolk, gdzie pani raz już była, odwiedzając drogą moją mamę w chwili, kiedym się właśnie urodził. Bardzo jestem nieszczęśliwy od śmierci mamy. Poniewierano mną, niczego nie uczono, wyprawiono z domu, kazano zarabiać na życie, umieszczając

w niestosownym dla mnie miejscu. Nie mogłem wytrzymać, uciekłem, okradli mnie, obdarli na drodze, szedłem pieszo, nie miałem gdzie spać ani co jeść...

Tu odwaga, w jaką się uzbroiłem na początku, opuściła mnie, wyciągnąłem ręce, chcąc może tylko przekonać ciotkę o stanie mej odzieży, o prawdzie słów moich, i wybuchnąłem wielkim, od tygodnia w piersiach dławiącym mnie, a ciągle powstrzywanym łkaniem.

Ciotka siedziała ciągle, nie mogąc przyjść ze zdziwienia do słowa, a gdym się rozplakał, porwała się z miejsca, pociągnęła mnie za sobą do domu. Pierwszą jej czynnością było otworzenie szafy; dostała stamtąd kilka butelek i zaczęła wlewać mi coś w usta. Czyniła to w pośpiechu, bez wyboru, toteż czułem kolejno smak anyżowej wody, sosu sardelowego i octu. Gdy to nie skutkowało i nie mogłem powstrzymać łkań, położyła mnie na sofie, zakryła głowę szalem, a zdjętą z własnej głowy chustkę podłożyła pod nogi, abym nie zbrukał pokrycia kanapy. Wówczas dopiero usiadła sapiąc, wachlując się wielkim zielonym wachlarzem i od czasu do czasu wołając:

– To mi historia!

Po jakimś czasie zadzwoniła.

– Janet! – rzekła do służącej. – Pójdź na górę, poproś pana Dicka, chcę z nim pomówić.

Służąca spojrzała na mnie ze zdziwieniem, nie śmiałem poruszyć się, by nie rozgniewać ciotki, lecz odeszła, nie robiąc żadnej uwagi. Ciotka tymczasem chodziła wzdłuż i wszerz

pokoju. Po chwili wszedł uśmiechnięty staruszek, ten sam, który mrugał i kiwał był na mnie przez okno.

– Panie Dick – zaczęła ciotka – bądź, proszę, rozważny, umiesz nim być, gdy chcesz, wszyscy to wiedzą, bądź tedy rozważny.

Staruszek spoważniał w mgnieniu oka, spoglądając na mnie tak, jak gdyby zlecał mi milczenie o tym, co zaszło u okna.

– Panie Dick – ciągnęła ciotka – musiałeś nieraz słyszeć, jak mówiłam o Dawidzie Copperfieldzie. Nie udawaj, proszę, że nie pamiętasz, oboje wiemy, jak doskonałą masz pamięć!

– Dawid Copperfield – zaczął stary z roztargnieniem – Dawid Copperfield? A tak, pamiętam, właśnie Dawid.

– Dobrze – rzekła ciotka. – Masz oto przed sobą jego syna. Podobniuteńki byłby do ojca, gdyby nie to, że i matkę przypomina bardzo.

– Jego syna? Aha! Syna Dawida Copperfielda.

– W sam raz – potwierdziła ciotka – nie wyobrazisz sobie, co nadokazywał! Uciekł, uciekł! Jego siostra, Betsey Trootwood, pewnie by nie uciekała. – Mówiąc to, kiwała głową pełną zaufania w zalety dziewczęcia, które się nie narodziło.

– O! – zauważył pan Dick. – Tak sądzisz, pani!

– Patrzcie go – oburzyła się ciotka – jak on to mówi! Czy ja tak sądzę? Naturalnie. Mieszkałaby ze mną, swą chrzestną matką, wychowywałaby się u mnie, przepadałybyśmy jedna za drugą. Gdzieżby zresztą Betsey Trotwood mogła uciec?

– Nigdzie – potwierdził pan Dick.

– A widzisz, widzisz, jakiś dowcipny i domyślny! A teraz do rzeczy. Oto widzisz przed sobą małego Dawida Copperfielda i nasuwa się pytanie: co mam z nim począć?

– Co począć? – wyjąknął, kiwając głową, zapytany. – Co począć?

– Właśnie, w tym rzecz – mówiła ciotka, patrząc mu w oczy i podnosząc wskazujący palec. – Pomyśl i daj mi dobrą radę.

– Ha! Gdybym był na pani miejscu... – zaczął, patrząc z roztargnieniem na mnie. Nagle uderzyła go szczęśliwa myśl, bo zawołał żywo – Umyłbym go!

– Janet! – zawołała uradowana ciotka. – Wyborną radę daje nam pan Dick. Zagrzewaj wannę.

Chociaż rozmowa ta interesowała mnie niemało, przypatrywałem się ciekawie mówiącym. Ciotka była wysoką, o grubych rysach, lecz raczej przyjemnej powierzchowności kobietą. W twarzy jej, głosie, ruchach była stanowczość, która musiała niegdyś wystraszyć tak słodkie i nieśmiałe stworzenie jak moja matka, lecz twarz ta surowa piękną dotąd była. Przede wszystkim uderzyły mnie wielkie, błyszczące oczy. Pod czepkiem siwe włosy, rozdzielone nad czołem, układały się w dwa gładkie pasma. Suknię miała ciemną, wąską, coś w rodzaju amazonki. Przy boku nosiła męski zegarek z dewizką i sygnetem. Biały męski kołnierzyk i mankiety wykańczały jej ubranie.

Pan Dick, jak to już zauważyłem, siwy był i rumiany. Głowa mu się trzęsła, nie z wieku jednak, lecz w sposób

przypominający mi jednego z moich szkolnych towarzyszy potrzęsającego podobnie głową po bolesnych napomnieniach pana Creakle; jego szeroko rozwarte, jasne źrenice o nieco błędnym spojrzeniu, wraz z dziecięcym poddaniem się ciotce, widocznej radości, gdy go chwaliła, nasuwały myśl, że jest obłąkany i dziwiło mnie tylko, jakim sposobem mogę go tu widzieć. Ubrany był najzwyczajniej w szary ranny surdut i białe spodnie, z zegarkiem u boku, z kieską w kieszeni, którą od czasu do czasu pobrzękiwał z widocznym zadowoleniem.

Janet była świeżą, dwudziestoletnią dziewczyną, ubraną czysto i starannie. Dodam tu, czegom się z czasem dopiero dowiedział¹⁴⁶, że była jedną z pupilek mojej ciotki, która miała ich kilka z kolei. Wszystkie wychowywała w pogardzie dla małżeństwa, a każda z kolei wyrzekała się pierwotnych, przez ciotkę wszczepionych zasad, wychodząc za piekarza.

Pokój, w którym znajdowaliśmy się, równie był czysty jak ciotka i jej służąca. Teraz jeszcze, gdy, przypominając go sobie, odkładam na bok pióro, czuję świeży powiew od strony morza, zapach kwiatów z ogrodu, widzę stare, skromne, od czystości lśniące sprzęty, w szerokiej framudze okna fotel ciotki, stół, zielony wachlarz, chodnik chroniący dywan, kota, dwa kanarki, starą porcelanę, wazę do ponczu, pełną zasuszonych różanych liści, szafkę zastawioną jakimiś czarkami i flakonikami – i wśród tego wszystkiego, wyciągniętą na kanapie, wszystkiemu temu

¹⁴⁶ *czegom się (...) dowiedział* – inaczej: czego się dowiedziałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

przypatrującą się, brudem, kurzem pokrytą moją osobę.

Zaledwie Janet odeszła przygotowywać kąpiel, ciotka ku wielkiemu memu przestraszowi porwała się nagle, spojrzawszy w okno, zawołała gwałtownie:

– Janet! Osły!

Słyszając to, służąca zbiegła ze schodów, jak gdyby dom się palił, i zaczęła odganiać od zielonej wąskiej smugi trawy dwie na osłach siedzące damy, a tymczasem ciotka, zbiegłszy na dół, własną ręką chwyciła cugle trzeciego, niosącego na swym grzbiecie małego chłopca, wyciągnęła go na ścieżkę, targając nadto za uszy nieszczęśliwego jeźdźca.

Po dziś dzień nie wiem, czy ciotka miała istotne prawo własności do tej smugi murawy, czy też wyobrażała sobie, że je posiada, co zresztą dla niej i w zastosowaniu wychodziło na jedno. Za największą, osobiście wyrządzoną jej obrazę poczytywała wtargnięcie osłów w nietykalne te granice. Chociażby nie wiem jak była zajęta, chociażby rozmawiała o najważniejszych kwestiach, widok osła na drodze zmieniał bieg jej myśli, pochłaniał całą jej uwagę. Konwie pełne wody były zawsze w pogotowiu dla ukarania nieuważnych jeźdźców, różgi leżały za bramą, baczność była nieustanna, nieustanne też zatargi i potyczki. Sądziłem nawet, że wynajmujący osły chłopcy umyślnie tam wjeżdżali lub że osły same, ze znaną swą przekorą, przekraczały zabronioną im granicę. Dość że zanim przygotowano kąpiel, zaszły aż trzy podobne wyżej opisanemu zatargi, a w jednym z nich, najognistszym, ujrzałem ciotkę

moją walczącą z piętnastoletnim jasnowłosym chłopakiem, który w zaskoczeniu, zanim się obejrzał, na kształt piłki odskoczył od bramy. Wszystko to dziwiło mnie nieskończenie, tym bardziej że ciotka jednocześnie poila mnie rosółem za pomocą łyżeczki od kawy, w przekonaniu, że pokarm winien być udzielany zagłodzonym w minimalnych dawkach, i pomiędzy jedną a drugą dawką, zanim czas miałem zamknąć usta, zrywała się wołając: „Janet! Osły!”.

Kąpiel pomogła mi bardzo. Czułem ból w kościach i straszne znużenie, tak że z trudnością tylko podnosiłem oczy. Po kąpeli ciotka ze służącą odziały mnie w koszulę należącą do pana Dicka i określiły dwoma czy trzema szalami.

Wyobrażam sobie, jak zabawnie musiałem tak spowity wyglądać. Ciepło mi było, słabo, oczy się do snu kleiły, niebawem też usnąłem na kanapie.

Śniły mi się, zapewne pod wpływem wspomnień i wrażeń dawnej opowieści mojej matki, wypadki poprzedzające moje przyjście na świat, lecz zdawało mi się, że przez sen czuję oddech pochylonej nade mną ciotki, miękką dłoń odgarniającą mi z czoła włosy. Zdaje mi się też, że słyszałem coś na kształt: „biedne dziecię!” czy też może: „ładne dziecię”, nic jednak, gdym się przebudził, nie wskazywało na to, aby ciotka wyrzec miała te słowa. Siedziała wyprostowana w fotelu u okna, z zielonym wachlarzem w ręku, kręcąc gwałtownie kółko u jego rączki.

Kiedy się obudziłem, podano obiad składający się

z pieczystego i puddingu. Siedziałem przy stole, podobny do skrepowanego ptaka, z trudnością poruszając rękami i ramionami, nie skarżyłem się jednak, będąc tak spowitym przez samą ciotkę. Niespokojny też byłem, rozmyślając, co pocnie ze mną. Jadła milcząco i tylko od czasu do czasu zatrzymywała wzrok na mnie, mrucząc: „to mi historia” – co mię bynajmniej nie uspokajało.

Gdy zdjęto obrus i postawiono na stole sherry¹⁴⁷ – i mnie dostał się kieliszek – ciotka posłała po pana Dicka. W jego obecności zaczęła mnie badać. Odpowiadałem na wszelkie jej pytania. Patrzyła przy tym ciągle na pana Dicka, który wyglądał tak, jak gdyby zasypiał. Marszczyła brew, gdy uśmiechał się nie w porę.

– Pojąć nie mogę, co skłoniło to dziecko nieszczęsne do powtórnego zameścia! – zawołała, gdy skończył.

– Może się zakochała – zauważył nieśmiało pan Dick.

– Zakochała! Masz tobie! Potrzebne jej to było!

– Może – po chwili głębokiego namysłu zauważył pan Dick – to tak sobie dla przyjemności.

– Piękna mi przyjemność! Biedne dziecię! Zaufać psu,

¹⁴⁷ *sherry* – mocne wino hiszp. pochodzące z rejonu miasta Jerez de la Frontera, położonego w płd.-zach. części kraju, w prowincji Kadyks w Andaluzji; fenicka nazwa osady Xera oraz arab. Sherish stanowią źródłosłów dla nazwy alkoholu (*sherry*, *jeres a. xeres*), z którego słynie region; czerwone wino wzmacniane przez dolanie brandy (przez co uzyskuje 16–20% alkoholu) stało się niezwykle popularne w Anglii od czasu, gdy w r. 1587 Francis Drake, korsarz jej królewskiej mości Elżbiety I, ograbił Kadyks i wśród innych łupów przywiózł do kraju 2900 beczek tego trunku. [przypis edytorski]

który ją tak czy owak zwieść musiał. Czegóż jeszcze chcieć mogła! Miała przecie jednego męża. Złapała sobie była Dawida Copperfielda uganiającego się zawsze za woskowymi lalkami. Miała nadto dziecko... o, owego piątkowego wieczoru dwoje ich tam było niebożąt, jedno wątle co do doświadczenia, tyle co i drugie. Pamiętam!

Pan Dick kiwał głową, patrząc na mnie tak, jak gdyby pojąć nie mógł najzupełniej ostatnich słów ciotki.

– Nie mogła nawet urodzić dziecka, jak wypadało – ciągnęła ta ostatnia – nie byłoby tego wszystkiego, gdybyśmy tu zamiast chłopca mieli przed sobą Betsey Trotwood. Nie zaprzeczaj mi, proszę.

Pan Dick wyglądał na wystraszonego.

– A ten tam człowiek, ten doktorek jakiś z przechyloną na ramię głową! Jellips czy jak go tam! Bardzo był potrzebny! Na to się chyba zdał, aby jak szpak powtarzać: „Chłopiec! Chłopiec się urodził”, osobliwość wielka, chłopiec! Głupcy!

Ostatnie słowa, wyznaję, przeraziły nie tylko pana Dicka. I mnie się serce ścisnęło.

– Mało jej tego było – ciągnęła ciotka – jeszcze mało. Wychodzi powtórnie za męża, i to za kogo? Za jakiegoś Morderer¹⁴⁸ czy tam podobnie mianującego się zbója. Tak jak rodząc tego swego „chłopca” weszła w drogę Betsey, tak powtórnym tym zamięściem weszła w drogę znów temu. Zanim się urodził, był on już Kainem.

¹⁴⁸ *Morderer* – wym. jak ang. *murderer*: morderca. [przypis edytorski]

Pan Dick spojrział na mnie ciekawie. Chciał się zapewne przekonać, czym istotnie do Kaina podobny.

– Mieli tam jeszcze jakąś poganę z imienia! A i ta ich Pelgolty, czy jak ją tam, nie miała nic pilniejszego jak wyjść też za mąż! Przykład był zachęcający, bardzo zachęcający! No, nie ma co mówić! Mam nadzieję, że przynajmniej trafiła kosa na kamień, mężulek porządnie smagać ją będzie, tak jak na to zasługuje.

Oburzyłem się. Zapewniłem, że Peggotty jest najlepszą, najwierniejszą pod słońcem istotą, że kocha mnie całym sercem; przywiązana była, aż do poświęcenia, do matki mojej, nie opuściła jej do śmierci, przyjęła ostatni pocałunek umierającej. Mówiłem, że dom pani Barkis uważam za własny, ze wszystkim, co do niej należy, podzieliłaby się ze mną chętnie i obecnie prosiłbym ją o schronienie, tylko żem się bał narzucać ubogim ludziom. Wszystko to mówiłem prędko, z duszącym mię łkaniem. Rozpłakałem się wreszcie i skryłem twarz w dłoniach.

– Dobrze, dobrze! – zauważyła ciotka. – Dobrze, że bronisz tych, co dbali o ciebie. Janet! Osły!

Gdyby nie te nieszczęsne osły, nastąpiłoby może pomiędzy nami porozumienie, gdyż ciotka położyła już była rękę na mym ramieniu, a ja czułem chęć nieprzemogłą rzucić się jej na szyję i błagać o opiekę. Osły przerwały rozmowę. Nastąpiło zwykłe w podobnych razach zamieszanie i aż do herbaty ciotka rozprawiała z panem Dickiem o sposobach usunięcia podobnych

przekroczeń. Stanowczo Stany¹⁴⁹ powinny były wydać przeciw osłom prawa.

Po herbacie siedzieliśmy przy oknie, pilnując, jak z zapuszczonych w dal oczu ciotki wnosiłem, najścia wrogów jej, osłów i osłarzy. Gdy ściemniało, Janet spuściła rolety, zapaliła świece i rozłożyła stół do kart.

– A teraz, panie Dick – zaczęła ciotka z powagą i podniesionym do góry palcem – zadam ci znów pytanie, na które odpowiedzieć mi trzeba rozsądnie. Oboje wiemy, że potrafisz, gdy zechcesz, odpowiedzieć rozsądnie. Spójrz na to dziecko.

– Na syna Dawida? – spytał, zbierając myśli, pan Dick.

– Właśnie. Pomyśl tylko, co byś teraz z nim zrobił?

– Hm! Z synem Dawida?

– Właśnie, z Dawida synem.

– O, tak... co bym zrobił?... Ano, położyłbym spać.

– Janet! – zawołała ciotka z tym samym, com przedtem zauważył, zadowoleniem. – Pan Dick, jak zawsze, najlepszą daje nam radę i jeśli łóżko posłane, położymy to dziecko.

Na zapewnienie służącej, że łóżko posłane, zaprowadzono

¹⁴⁹ *Stany* – chodzi tu zapewne o obie izby parlamentu (w rodzaju fr. Stanów Generalnych, *les états généraux*, zgromadzenia reprezentującego wszystkie stany społeczne); w oryg. mowa jest jedynie ogólnie o konieczności naprawy prawodawstwa krajowego w celu zapobieżenia przestępstwom popełnianym przez osły („*kept my aunt indignantly declaiming to Mr. Dick about her determination to appeal for redress to the laws of her country, and to bring actions for trespass against the whole donkey proprietorship of Dover*”). [przypis edytorski]

mnie łaskawie do sypialnego pokoju, lecz trzymając niby więźnia pomiędzy ciotką a służącą. Jedyłą okolicznością pobudzającą nieco nadzieje moje było zatrzymanie się na schodach ciotki, która spytała, skąd pochodzi odór spalenizny? Janet odpowiedziała jej na to, że spaliła właśnie w kuchni moją starą koszulę. W przeznaczonym mi jednak na nocleg pokoiku nie było innej odzieży jak tylko bielizna, którą miałem na sobie. Zostawiono mnie z ogarkiem, który, jak ciotka upewniała, miał się w ciągu pięciu minut dopalić, i zamknięto na klucz. Co zważywszy, przyszedłem do przekonania, że ciotka, poznawszy mnie od kilku zaledwie godzin i w tak niezwykłych okolicznościach, musiała mnie posądzać o nałóg uciekania i dlatego wołała mieć pod kluczem.

Pokoik na poddaszu, w którym spałem, był przyjemny, z widokiem na morze osrebrzone księżycem. Po zmówieniu pacierzy i zgaśnięciu ogarka, długo, pamiętam, wpatrywałem się w blaski księżycyca na falujących wodach, tak jak gdybym z jasnej tej księgi pragnął wyczytać moją przyszłość lub się spodziewał, że matka moja, z dzieciątkiem na ręku, taka właśnie, jaką widziałem ją po raz ostatni, odjeżdżając po wakacjach z domu do szkoły, zstąpi ku mnie po srebrnej smudze miesiąca. Pamiętam, z jaką wdzięcznością, z jakim ukojeniem, oderwawszy oczy od blasków tych, przenieśliem je na czyste, białe zasłane łóżeczko. Wdzięczność ta wzmogła się jeszcze, gdym wyciągnął zmęczone członki pod świeżymi prześcieradłami. Długo myślałem o tych samotnych, opuszczonych miejscach, gdzie przez kilka dni

sypiał bez dachu, z przydrożnym kamieniem pod głową. I pamiętam, jak gorąco błagałem nieba, aby nadal nie pozbawiały nigdy już dachu biednej mej głowy, o, pamiętam, jakem sływał¹⁵⁰ po połyskujących bezbrzeżnych przestrzeniach morza, daleko, daleko... w świat sennych marzeń.

Rozdział XIV. Ciotka moja czyni postanowienie

Kiedym zszedł nazajutrz, ciotka moja, siedząc przy śniadaniu z łokciami wpartymi w tacę, pogrążona była w takiej zadumie, że nie spostrzegła cieknącej z imbryka wody, która zdążyła już zalać cały stolik, i dopiero moje wejście zbudziło ciotkę z zamyślenia. Domyślałem się, że rozmyślała o mnie, i tym ciekawszy byłem powziętych względem mnie postanowień, lecz nie śmiałem o nic pytać.

Wzrok mój jednak, mniej od ust posłuszny, zwracał się ustawicznie na ciotkę. Za każdym razem dostrzegałem zamyślonę oczy utkwione we mnie, lecz tak jak gdybym był nie wiem jak oddalony, nie zaś siedział naprzeciw niej przy niewielkim okrągłym stoliku. Po spożyciu śniadania oparła się o poręcz fotela, złożyła na piersiach ramiona, ściągnęła brew, wpatrując się we mnie z większym jeszcze niż poprzednio natężeniem. Mieszało to mnie, a żem nie skończył jeszcze

¹⁵⁰ *jakem sływał* – inaczej: jak sływałem; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

śniadania, starałem się pokryć zmieszanie jedzeniem, lecz sztucze dzwoniły po talerzu, chwyciłem w powietrzu za duże łyżki szynki, krztusiłem się w pośpiechu łykając herbatą.

– Hum! – mruknęła wreszcie ciotka.

Spojrzałem na nią nieśmiało.

– Pisałem do niego – rzekła.

– Do...?

– Do twojego ojczyma. Wezwałam go, aby się ze mną na czysto rozmówił.

– Czy wie, gdzie się znajduję? – pytałem przerażony.

– Właśnie, pisałam mu to.

– I... czy mam mu być oddany? – wyjąknąłem.

– Zobaczymy – odparła ciotka.

– O! – zawołałem. – Nie wiem, co pocznę, jeśli mnie pan Murdstone znów weźmie.

– Nie wiem jeszcze, jak to będzie, zobaczymy...

Mrowie mnie przechodziło na samą tę myśl. Spuściłem głowę. Ciotka nie zwracała na mnie uwagi, przepasała fartuch, własnoręcznie wymyła i wytarła filiżanki i gdy wszystko już było w należyтым porządku, zadzwoniła na służącą, aby wzięła tacę. Następnie, wdziawszy rękawiczki, starannie zmiotła kurz ze sprzętów, nawet z posadzki, ustawiając w porządku meble i graciki. Po starannym dokonaniu tych czynności, zrzuciła fartuch i rękawiczki, złożyła je, schowała w przeznaczonym na to miejscu i wzięwszy robotę, usiadła z nią w oknie, zasłaniając się wachlarzem przed słońcem.

– Chciałabym – ozwała się, nawlekając igłę – abyś poszedł na górę, pokłonił się ode mnie panu Dickowi i spytał, jak mu idzie jego praca.

Byłem gotów spełnić dane mi zlecenie.

– Sądzę – ciągnęła ciotka, spoglądając na mnie bacznie i nawlekając wciąż nitkę – że ci nazwisko pana Dicka wydaje się przykrótkie.

– Krótkie jest istotnie – odrzekłem.

– Wiedźże, proszę, że to zdrobniałe jego imię, a sąsiad nasz nazywa się w istocie panem Ryszardem Babley.

Chciałem właśnie powiedzieć, że stosowniej byłoby może tak go nazywać, gdy ciotka uprzedziła mnie:

– Nie nazywaj go tylko tak nigdy, on tego nie znosi. Jest to dziwactwo, chociaż, prawdę mówiąc, nie ma w tym nic dziwnego, jeśli nam ktoś noszący pewne nazwisko wielką wyrządzi krzywdę, i samo nazwisko mamy w obrzydzeniu. Pan Dick tak się nazywa teraz tu i wszędzie, gdziekolwiek by się udał, czego zresztą nie uczyni nigdy. Pamiętaj o tym i nazywaj go nie inaczej jak „panem Dickiem”.

Upewniłem ciotkę, że się najchętniej zastosuję do jej zleceń, i wchodząc na schody, rozmyślałem, nad czym pan Dick pracować może. Wnosząc z tego, com ujrział wchodząc, pracować musiał ciężko. Siedział z ogromnym piórem w rękę i z głową prawie położoną na papierze, a tak był pochłonięty pisaniem, że miałem sporo czasu przypatrzeć się i papierowemu latawcowi zwieszonemu nad biurkiem, i zwojom rękopisów

leżącym na biurku przy stosach piór, a przede wszystkim już niesłychanej ilości atramentu wypełniającego tuziny całej przeróżnych rozmiarów flaszek i flaszeczek.

– O, Febusie! – zawołał, odkładając na bok pióro. – Jak się to wszystko składa na świecie... Chciałbym coś o tym wtrącić, ale jak obrócić, ale jak obrócić... – dodał ciszej, a dostrzegłszy mnie, nachylił się i nad samym zawołał mi uchem:

– Na szalonym świecie. Co prawda, dom wariatów, chłopcze! Zaśmiał się wesoło i ze stojącej na stole tabakierki wziął niuch tabaki.

Nie śmiejąc wyrazić zdania w tak zawilej kwestii, powtórzyłem zlecenie, jakie mi dano.

– Dobrze – odrzekł pan Dick – wzajemnie oświadczyć jej me uszanowanie. Uważam, że się posunął... Byłeś w szkole?

Przy tym pytaniu spojrział na swój rękopis.

– Tak panie, niedługo.

– Czy pamiętasz – spytał, porywając pióro – datę ścięcia Karola I¹⁵¹?

¹⁵¹ *Karol I Stuart* (1600–1649) – król Anglii i Szkocji, (1625–1649), następca Jakuba I Stuarta; z powodu wieloletniego konfliktu z parlamentem, chybionej polityki podatkowej i religijnej (obawiano się rekatolizacji Anglii) oraz dążeń absolutystycznych doszło do powstania, a następnie wojny domowej, król został uwięziony, osądzony i ścięty; po jego śmierci władzę w państwie ogłoszonym republiką sprawował jako lord protektor Olivier Cromwell (do 1658 r.), a następnie została przywrócona władza królewska (od 1660 r.), jednak charakter rządów uległ przekształceniu do formy monarchii parlamentarnej; Karol I został uznany przez Kościół Anglii męczennikiem, a data jego egzekucji, 30 stycznia, stanowi święto w kalendarzu liturgicznym. [przypis edytorski]

Odpowiedziałem, że miało to miejsce w tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym roku.

– Aha – rzekł, kładąc pióro za ucho i patrząc na mnie z powątpiewaniem. – Tak stoi wprawdzie w historii, wątpię jednak, aby to było dokładne. Bo to widzisz, jeśli to miało miejsce tak dawno, jakim sposobem tyle kłopotów spadłych z jego głowy mogłoby dziś leżeć na mojej?

Zdumiony nie umiałem na to odpowiedzieć.

– Dziwne! – mówił pan Dick ze wzrokiem utkwionym w papiery, z dłonią zatopioną w siwych włosach. – Nie mogę wybrnąć z tego... Mniejsza z tym, mniejsza – dodał wesoło, wstając z miejsca – czasu mamy sporo przed sobą dla rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości. Pokłoń się ode mnie panie Trotwood i powiedz proszę, że mi idzie nieźle, wcale nieźle.

Miałem już wyjść, gdy zwrócił uwagę moją na latawca.

– Jak ci się podoba? – spytał.

Podobał mi się bardzo. Pewien byłem, że wzbija się wysoko.

– Sam go zrobiłem – upewniał. – Puścimy go razem, widzisz?

Pokazał mi, że zrobiony był z rękopisów. Wiersze były gęste, lecz nieregularne i nieczytelne. Tu i ówdzie jednak wpadało w oko imię Karola I.

– O, sznur długi – mówił – i rzeczy te, fakty idą w górę, wysoko, wysoko! Jest to mój system rozprzestrzeniania ich. Nie troszczę się wcale, gdzie spadną. Zależy to od okoliczności, prądów i tak dalej, moja to już rzecz; dość, że się wzbija wysoko,

wysoko!...

Wyraz jego twarzy był tak łagodny i uprzejmy, tak w całej jego rumianej postawie było coś godnego, że m pomyślał, iż żartuje ze mnie, i zaśmiałem się, czemu też z całego wtórował mi serca. Gdyśmy się rozstawali, byliśmy już przyjaciółmi.

– I cóż tam porabia pan Dick? – spytała mnie ciotka, gdy m wrócił.

Powiedziałem, że przesyła swe uszanowanie i że mu idzie nieźle, wcale nieźle.

– Co myślisz o nim? – spytała ciotka.

Miałem chętkę dać wymijającą odpowiedź, lecz niełatwe to było z ciotką. Opuściła robotę na kolana i zakładając ręce, a patrząc mi bystro w oczy, rzekła:

– Szczerze! Siostra twoja, Betsey Trotwood, powiedziała by mi bez wahania każdą myśl swoją. Bądź, o ile się da, do niej podobnym i otwartym.

– Czy pan Dick – jąkałem się – pytam, ciotko, bo sam nie wiem doprawdy, czy jest... przy zdrowych zmysłach?

– Najzupełniej – stanowczo odrzekła.

– Doprawdy?

– Najzupełniej – powtórzyła z mocą. – Nikt bardziej od niego nie jest w pełnym posiadaniu swych zmysłów.

– Doprawdy? – powtórzyłem nieśmiało.

– Miano go za wariata. Z prawdziwym i osobistym zadowoleniem to zaznaczam, że miano go za wariata niegdyś. Od lat dziesięciu, to jest od chwili, w której mnie twoja siostra Betsey

tak zawiodła, jest on moim stałym towarzyszem i doradcą.

– Od tak dawna! – wtrąciłem.

– Śliczni to byli ludzie ci, co go za wariata poczytywali – ciągnęła. – Pan Dick jest dalekim moim kuzynem. Mniejsza z tym, w jakim stopniu, to nie należy do rzeczy. Gdyby nim nie był, nie byłby go brat rodzony zamknął i obezwładnił. W tym rzecz!

Zdaje mi się, że byłem tym razem nieco obłudny, lecz widząc, jak przedmiot rozmowy zajmuje ciotkę, udawałem też wielkie zainteresowanie.

– Dobry mi wariat – ciągnęła. – Pod pretekstem, że był nieco ekscentryczny, chociaż nie więcej od wielu innych, brat rodzony nie mógł go ścierpieć pod własnym dachem i chociaż mu ojciec umierając zlecił nad nim opiekę, zamknął go gdzieś w szpitalu. Mądry! On to sam, bez wątpienia, jest wariatem.

Wyglądałem równie jak mówiąca na przekonanego.

– Ale ja się wmieszałam – ciągnęła – uczyniłam następną¹⁵² propozycję. Brat twój, powiedziałam, jest zdrow, zdrowszy stokroć od ciebie, pozwól mu pobierać małą rentę i niech zamieszka ze mną. Ja się go wcale nie boję, nie jestem próżna ani słaba, otoczę go staraniem i nie będę znęcać się nad nim, jak to czynili niektórzy... i nie w szpitalu nawet. Po wielu targach stanęło na moim. Wzięłam go, mam go tu. Najlepszy to, najmiłszy pod słońcem, człowiek! Jedyny do rady! Tylko nikt go oprócz mnie nie zbadał, nie poznał.

¹⁵² *następna* (daw.) – tu: następująca. [przypis edytorski]

Ciotka poprawiła suknię i potrząsnęła głową, tak jak gdyby wyzywała świat cały.

– Miał on – mówiła – siostrę, dobre, zacne stworzenie. Dobra była dla niego, cóż, zrobiła to, co i one wszystkie, wyszła za męża i tak jak wszystkie, zawiodła się. Ta jej niedola, wraz z tym, co wycierpiał od brata, wstrząsnęła jego umysł (nie jest to jednak wcale pomieszanie zmysłów!) do tego stopnia, że aż dostał gorączki. Coś mu z tego zostało. Powiedz, czy ci wspominał o Karolu I?

– Tak, ciotko.

– A widzisz – rzekła, trąc nos tak, jak gdyby się jej coś nie podobało. – Widzisz, używa tego rodzaju przenośni. Osobę własną spaja z wielkimi niedolami i tego imienia używa chętniej niż innych. Wszak to nikomu nie szkodzi.

– O nie, ciotko!

– Nie jest to, wyznaję, pospolity i dla wszystkich dostępny sposób mówienia. Jeśli zresztą wspominał o tym, to dlatego tylko, że to właśnie nie powinno mieć miejsca w jego memoriale.

– Píše zatem memoriał własnego życia?

– Właśnie – rzekła ciotka, znów nos pocierając – pisze go do Lorda Kanclerza czy tam do kogo innego, czyją jest rzeczą otrzymywać memoriały. Píše o całej swej sprawie. Mam nadzieję, że się pomyślnie wywiąże z zadania. Dotąd płacze mu się ustawicznie pióro. Mniejsza z tym, praca ta zajmuje go, to ważne.

W rzeczy samej, z czasem przekonałem się, że od lat

dziesięciu pan Dick starał się, bezowocnie niestety, usunąć ze swego memoriału płaczącego mu się wciąż pod piórem Karola I.

– Powtarzam – mówiła ciotka – że nikt, oprócz mnie, ani się domyśla, co to za dusza. Najmilszy, najlepszy z przyjaciół. I cóż, że lubi puszczać od czasu do czasu latawce? Niby to Franklin¹⁵³ ich też nie puszczał? A tamten był przecie kwakrem¹⁵⁴ czy tam czymś podobnym, a kwakrowi mniej niż komu bądź przystoi puszczać latawce.

Gdybym przypuszczał, że ciotka szczegóły te opowiada mi jako dowód zaufania, czułbym się niesłychanie pochlebiony.

¹⁵³ *Franklin, Benjamin* (1706–1790) – amer. polityk, jeden z ojców-założycieli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; urodził się w Bostonie, mając 17 lat wyemigrował do Filadelfii, gdzie pracował początkowo jako drukarz, włączając się w życie społeczne kraju, by wreszcie rozpocząć karierę polityczną; jednocześnie oddawał się badaniom naukowym, m.in. przeprowadzał doświadczenia z latawcami, badając działanie ładunków elektrycznych; jest uważany za wynalazcę piorunochronu. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *kwakier* – jeden z członków Religijnego Towarzystwa Przyjaciół, którzy siebie nazywali właśnie przyjaciółmi (*friends*), zaś popularnie byli określani prześmiewczo jako kwakrzy (z ang. *quakers*: drżący), co miało się odnosić do fizycznych reakcji towarzyszących praktykom doświadczenia mistycznego; kwakrzy, będący odłamem ang. purytanizmu, podkreślali wagę bezpośredniego (niewymagającego osób duchownych ani sformalizowanych nabożeństw), osobistego, wewnętrznego objawienia, nie tylko wierności Biblii, jak wiele wspólnot protestanckich; początki tej grupy religijnej sięgają 1646 r. i działalności George’a Foxa (1621–1691), kwakrzy byli prześladowani (co spowodowało ich emigrację m.in. do Ameryki i Niemiec) i dopiero w 1689 r. na mocy dekretu tolerancyjnego uzyskali wolność wyznania w Anglii; wśród zasad, którymi kierują się kwakrzy, wylicza się pacyfizm, zakaz składania przysięg, zakaz służby wojskowej oraz powstrzymanie się od hucznych zabaw: puszczenie latawców raczej nie należy do takich. [przypis edytorski]

Uważałem jednak, że chociaż zwracała mowę do mnie, mówiła o rzeczach tych, raz na nie wpadłszy, własnym raczej odpowiadając myślom. Jednocześnie gorąca ta jej obrona biednego, bezbronniego starca nie tylko napełniła mi serce żywą otuchą, lecz jednała je dla siebie. Zrozumiałem, że pomimo dziwactw swych i ekscentryczności było w niej to, co wzbudza szacunek i zaufanie. I chociaż dnia tego była równie jak wczoraj sztywna, równie często i ostro wypadała na osły i ich właścicieli, chociaż w prawdziwy atak wściekłości wprawił ją jakiś młodzieniec oglądający się na stojącą w oknie Janet – nic już bardziej nad to nie mogło jej rozgniewać – wydała mi się godną szacunku, chociaż pozostawała równie straszna i niedostępna.

Nie podobna¹⁵⁵ wyrazić niepokoju, z jakim wyczekiwałem odpowiedzi na list wysłany do pana Murdstone. Mimo to starałem się być przyjemnym i użytecznym tak ciotce, jak jej przyjacielowi. Puszczalibyśmy razem latawce, gdyby mnie brak odzieży nie zatrzymywał w domu. Wychodziłem tylko o zmroku na krótką przechadzkę dla zdrowia. Nie oddalałem się wówczas od domu i ciotka nie spuszczała mnie z oka. Nadeszła wreszcie wyczekiwana odpowiedź. Ciotka oznajmiła mi, że pan Murdstone we własnej osobie przyjdzie nazajutrz rozmówić się z nią o całej tej sprawie. Nazajutrz, nadal spowity w szale, liczyłem godziny i minuty, targany na przemian nadzieją i trwogą, drżąc na samą myśl ujrzenia tej ponurej twarzy.

¹⁵⁵ *nie podobna* (daw.) – nie (jest) możliwe; nie można. [przypis edytorski]

Ciotka dnia tego była niecierpliwsza jeszcze i bardziej niż kiedykolwiek zasepiona. Siedziała jak zwykle z robotą u okna i ja siedziałem naprzeciw niej, myśląc ciągle o wszelkich przypuszczalnych następstwach wyczekiwanych odwiedzin. Późno już było po południu i chociaż obiad miał być dnia tego opóźniony, już go ciotka kazała podawać, gdy miało miejsce nowe wtargnięcie osłów na wzbronione grunty i ku wielkiemu memu zdziwieniu w zbliżającej się do domu amazonce¹⁵⁶ poznałem pannę Murdstone.

– Z drogi! Z drogi! Nie tędy! – wołała, przechylając się przez okno ciotka. – Nie masz tu żadnego interesu, jak śmiesz wtargnąć aż tu, jakaś tam...

Chłodne i dumne zachowanie się panny Murdstone tak zirytowało ciotkę, że oniemiała na chwilę, wbrew zwyczajowi nie zbiegając ze schodów. Szepnąłem jej, że nowo przybyła jest właśnie panną Murdstone, w towarzystwie brata, który nieopodal zsiadł już był z osła.

– Co mi tam kto! – zawołała ciotka rozmachująca wcale nie uprzejmie rękoma. – Nie pozwolę nikomu tu wtargnąć, nikomu! Precz stąd! Janet, wyprowadź, zawróć osła!

Rozpoczęła się prawdziwa potyczka. Osioł wparł się czterema kopytami w ziemię. Janet targała go za uzdę w prawo, panna Murdstone w lewo, ostatnia podniosła wreszcie na służącą parasol. Ulicznicy, zwabieni widokiem, z czynną pośpieszyli pomocą. Wtem ciotka moja dostrzegłszy wśród nich jednego

¹⁵⁶ *amazonka* – tu: kobieta uprawiająca jazdę konną. [przypis edytorski]

ze swych najzaciętszych wrogów – dziesięcioletniego malca – wypadła jak bomba, schwyciła go i wciągnęła na dziedziniec, wołając na Janet, aby przyzwała natychmiast policjanta. Udało się jednak malcowi wymknąć z żelaznych szponów ciotki. Pozostawiając głębokie ślady przejścia na klombach, dopadł swego osła i pogalopował na nim, ile im obu sił starczyło.

Tymczasem panna Murdstone zsiadła i stanąwszy obok brata u wnijscia do ogrodu ze zwykłą sobie godnością wyczekiwała, aż ciotka zechce przybyłych powitać, lecz ta ostatnia zdyszana i zirytowana minęła ich, jak gdyby nie dostrzegała nawet. Musieli się zaanonsować przez Janet.

– Czy mam odejść? – spytałem, drżąc cały.

– Nie – rzekła – wcale nie! – Mówiąc to wepchnęła mnie w kąt, obok siebie, i zastawiła niby więźnia krzesłem. Pozostałem tak aż do końca sceny, z kąta i spoza krzesła przypatrując się wejściu pana i panny Murdstone.

– Och! – ozwała się ciotka moja. – Nie wiedziałam, kogo gromię, lecz nikt nie ma prawa tratować mojej murawy i nikt nie może stanowić w tym względzie wyjątku.

– Jest to prawo nieco niedogodne dla przybyszów – zauważyła panna Murdstone.

– Czyżby? – odrzekła ciotka.

Pan Murdstone, zapobiegając zapewne nowej utarczce, odezwał się:

– Panno Trotwood.

– Przepraszam pana – zauważyła, zwracając nań bystre

spojrzenie. – Mam przed sobą pana Murdstone, męża wdowy po moim siostrzeńcu Dawidzie Copperfield z Wroniego Boru koło Blunderstone? Dlaczego mianowicie Wroni Bór, tego nie rozumiałam nigdy.

– Jestem nim – odparł pan Murdstone.

– W takim razie, wybaczy mi pan, lecz powiem otwarcie, że lepiej byś zrobił pozostawiając to biedne dziecko samej sobie.

– Tak dalece podzielałam to zdanie – wtrąciła panna Murdstone – że uważam naszą nieodżałowaną Klarę pod każdym względem za prawdziwe dziecko...

– Wielka to pociecha dla nas obu – odcięła się ciotka – że w naszym wieku wdzięki nasze nie narażą już nas pewno na podobny zarzut.

– Zapewne – dość kwaśno potwierdziła panna Murdstone – i z pewnością też o wiele szczęśliwiej byłoby dla mego brata, gdyby się nie wiązał tym małżeństwem. Zawsze byłam tego zdania.

– Nie wątpię o tym – rzekła ciotka, a zadzwoniwszy na służącą, dodała – Janet, poproś tu pana Dicka.

Czekając na przyjście przyjaciela, siedziała sztywna, milcząca, patrząc wprost przed siebie. Gdy wszedł pan Dick, przedstawiła go gościom:

– Pan Dick, stary i serdeczny mój przyjaciel, na którego zdaniu – słowa te wymówiła z emfazą, spoglądając poważnie na roztargnionego starca – polegam najzupełniej.

Pan Dick odjął od ust palec, stając się poważny i skupiony.

Ciotka skłoniła głową panu Murdstone, który tak zaczął:

– Po otrzymaniu listu pani uważałem za obowiązek i jako dowód uszanowania dla niej...

– Bardzom panu wdzięczna – przerwała, nie odwracając odeń bystrego wzroku – nie o mnie jednak tu chodzi.

– ...przybyć tu raczej osobiście – ciągnął pan Murdstone – pomimo dość trudnej podróży. Nieszczęsny ten chłopiec, który zbiegł od przyjaciół i zajęć...

– I którego sam wygląd – wtrąciła siostra, wskazując mój istotnie dziwaczny kostium – jest już skończonym skandalem.

– Jane Murdstone – ofuknął ją brat – nie przerywaj mi z łaski swojej. Nieszczęśliwy ten chłopiec, panno Trotwood, był powodem nieprzyjemnych domowych zajęć i niepokojów, tak za życia nieboszczki mej żony, jak i potem. Usposobienie ma ponure, buntownicze, jest porywczy, krnąbrny, niedający się nagiąć. Tak ja, jak siostra moja pracowaliśmy nad wykorzeniem jego przywar, daremnie, niestety! Oboje też z siostrą jesteśmy tego przekonania, że obowiązkiem naszym było osobiście zrobić przed panią niewesołe to zeznanie.

– Nie potrzebuję potwierdzać słów mego brata – dodała panna Murdstone – powiem tylko, że gorszego i bardziej zepsutego chłopca jak ten nie ma pod słońcem.

– Silnie! – rzekła krótko ciotka.

– Lecz wszystko to jest niczym w porównaniu z faktami – równie ostro odrzekła panna Murdstone.

– Ha! – mruknęła ciotka, zwracając się do pana Murdstone.

– I cóż dalej? – spytała.

– Miałem – ciągnął, a twarz mu się coraz bardziej chmurzyła pod baczynym okiem mej ciotki – miałem najsilniejsze przekonanie, że tylko taki, a nie inny system edukacji może mu być pożyteczny. Przekonanie to zasada się w części na dokładnej znajomości jego charakteru, w części na równie dokładnej znajomości moich własnych środków, za które odpowiedzialność na mnie samym ciąży. Tyle tylko powiem. Chłopca powierzyłem czujności przyjaciela, umieściłem go w miejscu pewnym, uczciwym, lecz to mu się nie podobało, nie wystarczyło mu, uciekł, stał się najpospolitszym włóczęgą, obdarty udał się do pani, panno Trotwood, o pomoc i opiekę. Oto, co chciałem przedstawić pani i zwrócić jej uwagę na następstwa popierania chłopca w jego złych nawykach.

– Dobrze – rzekła ciotka – zacznijmy od tego „pewnego” miejsca. Sądzę, że umieściłbyś tam pan i własnego syna? Co?

– Syn mego brata – wtrąciła panna Murdstone – nie mógłby mieć podobnych skłonności.

– O! A jeśliby to biedne dziecko, jego matka, żyła, czy umieszczono by go, jej syna, w tym „pewnym” miejscu?

– Sądzę – rzekł, pochylając głowę, pan Murdstone – że Klara zgodziłaby się na wszystko, co byśmy z siostrą uznali za stosowne.

Panna Murdstone mruknęła twierdząco.

– Biedne dziecko! – zauważyła ciotka.

Pan Dick, który właśnie pobrzękiwał pieniędzmi w kieszeni,

wprawił je w ruch tak gwałtowny, że aż ciotka musiała powstrzymać go spojrzeniem.

– A jej dochody? – spytała.

– Ustały wraz z życiem.

– Aha! Więc ten Wroni Bór, gdzie nigdy żadnej nie było wrony, nie jest dziedzictwem tego chłopca?

– Zostawiony był jego matce całkowicie i bezwarunkowo przez pierwszego jej męża – odrzekł pan Murdstone, lecz mu ciotka przerwała gwałtownie:

– Bój się Boga, człowiecze, nie tu miejsce mówić o tym „całkowicie i bezwarunkowo”. Mógłże¹⁵⁷ Dawid przewidzieć następstwa, chociaż były one jasne jak dzień? Spodziewam się, że zostawiał „całkowicie i bezwarunkowo”, lecz czyż nie znalazł się nikt, kto by stanął w obronie praw chłopca, gdy to dziecie powzięło nieszczęsne postanowienie powtórnego wstąpienia w małżeńskie związki z panem?

– Nieboszczka żona moja – ozwał się pan Murdstone – kochała drugiego swego męża i ufała mu.

– Nieboszczka – odrzekła, potrząsając głową, ciotka – była przy tym najniepraktyczniejszym¹⁵⁸ i najniezwyklejszym dzieckiem. Oto czym była! A teraz co dalej?

– To tylko, panno Trotwood – odrzekł – żem przybył tu

¹⁵⁷ *mógłże* – konstrukcja z partykułą pytającą *-że* (nadającą charakter pytania retorycznego); inaczej: czy mógł. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *najniepraktyczniejszy* – dziś popr. forma złożona: najbardziej niepraktyczny. [przypis edytorski]

po Dawida, aby go zabrać z sobą i postąpić z nim, jak to sam uznaję za stosowne. Sprawy z tego nie będę zdawał przed nikim, żadnych nie przyjmę warunków, żadnymi się nie zwiążę obietnicami. Pani go podżegasz w jego krnąbrności, widzę to jasno z postępowania i słów pani i muszę również jej oświadczyć, że jeśli mu chcesz udzielać schronienia, to już chyba na zawsze; jeśli masz stawać między mną a nim, to go musisz wziąć raz na zawsze, na swą odpowiedzialność. Żartów nie lubię i stroić takowych z siebie nie pozwolę. Przybyłem tu po raz pierwszy i ostatni, aby go zabrać. Czy gotów do drogi? Jeśli nie, jak to pani, Trotwood, utrzymujesz, drzwi moje zamykają się przed nim raz na zawsze i odchodzę w przekonaniu, że mu chyba otworzysz na oścież swoje.

Słów tych ciotka moja słuchała z natężoną uwagą, siedząc sztywna, z założonymi na kolanach rękoma, nie spuszczać mówiącego z oka. Gdy skończył, nie ruszając się wcale z miejsca, wzrok zwróciła na pannę Murdstone, pytając oschle:

– A pani co masz jeszcze do powiedzenia?

– Doprawdy – odrzekła zagadnięta – wszystko, co bym miała do powiedzenia, tak jasno wypowiedziane zostało przez mego brata, tak treściwie wyłuszczył on fakty i pobudki, że pozostaje mi chyba podziękować pani za jej uprzejme przyjęcie, nader uprzejme – dodała z ironią, która nie bardziej wzruszyła ciotkę, jak nocleg mój w Chatham wzruszył działo, pod którym spałem.

– Zobaczmy, co na to powie ten chłopak. Czy chcesz wrócić do ojczyzna, Davy? – spytała mnie łagodnie.

Odpowiedziałem, że nie chcę, i błagałem ją, aby mnie do tego nie zmuszała. Mówiłem, że ani pan, ani panna Murdstone nie lubili mnie nigdy, że nigdy nie okazali mi żadnej dobroci, że dręczyli moją biedną mamę za to, że mnie kochała, że rozumiałem to doskonale i Peggotty zaświadczyć może. Mówiłem, że byłem najniezwyklejszym pod słońcem dzieckiem, i błagałem – nie wiem już, jakimi słowy, lecz wiem, jak gorąco – ciotkę, aby mnie przez pamięć na mego ojca nie opuszczała.

– Co począć z tym chłopcem, panie Dick? – spytała przyjaciela.

Zawahał się, zebrał rozpierzchłe myśli, uśmiechnął się:

– Ależ naturalnie kazać mu zaraz zrobić odzienie.

Ciotka triumfowała.

– Podaj mi pan rękę, jedyny jesteś do dobrej rady.

Uściskawszy dłoń przyjaciela, postawiła mnie przed sobą i, zwracając się do pana Murdstone, rzekła:

– Możesz pan odejść, kiedy się panu podoba. Biorę na siebie odpowiedzialność za tego oto chłopca. Jeśliby nawet był istotnie taki, jakim go opisujesz, dam z nim sobie radę, najzupełniej jednak w to nie wierzę.

– Panno Trotwood – oburzył się powstając pan Murdstone – gdybyś była mężczyzną...

– Ba! Głupstwo! Skończyliśmy z sobą.

– Co za wytworna grzeczność! – zawołała, powstając z miejsca, panna Murdstone. – Naprawdę zdumiewająca!

– Sądzisz może, że się nie domyślam – rzekła ciotka, zwracając się do pana Murdstone, głucha zupełnie na słowa jego siostry. – Sądzisz, że się nie domyślam, jakie to musiało być życie tego biednego, wyzyskiwanego dziecięcia? Sądzisz, że nie wiem, jak nieszczęsny był dzień, w którym na wieczystą jej niedolę zacząłeś mizdrzyć się i zalecać do niej, i brać na wędkę gorących spojrzeń i słodkich słówek, wykrzywając się do tej biednej gąski?

– Co za wytworność wyrażeń! – zawołała panna Murdstone.

– Wiem o tym tak, jak gdybym przy tym była – ciągnęła ciotka. – Teraz, gdy patrzę na pana i słucham pana, co wyznaje, najmniejszej nie sprawia mi przyjemności, teraz rozumiem doskonale. Któż na pozór może być bardziej gładki, miękki niż pan Murdstone! Biedaczka nie знаła ludzi! Słodki był jak miód, wielbił ją, szalał za nią, pieścił nawet jej chłopca, same słodkie na ustach miał obietnice, że zastąpi mu ojca, pokieruje w życiu i tak im dobrze będzie żyć razem w tym różanym gniazdku... Pfe! Gadzina!

– Jak żyję nie spotkałam podobnej osoby – zawołała panna Murdstone.

– Co, może nie tak? – ciągnęła ciotka. – A gdyś odurzył, oplątał tę wariatkę... (niech mi nieba przebaczą, że ją tak nazywam!...) uważałeś, żeś nie dokonał jeszcze dzieła zniszczenia, nie nadręczywszy do woli biednych ofiar, zacząłeś więc wychowywać ją po swojemu, łamać skrzydła biednej uwięzionej ptaszynie, uczyć ją śpiewać na twą tylko nutę.

– Szalona czy pijana? – wołała panna Murdstone wściekła, że niczym nie może zwrócić na siebie uwagi ciotki. – Przekonana jestem, że się musiała upić!

Ciotka Betsey, nie zważając na te jej wykrzyki¹⁵⁹, zwracała ciągle mowę do pana Murdstone.

– Panie Murdstone – mówiła, grożąc mu palcem – byłeś tyranem tego biednego dziecięcia, złamałeś jej serce. Kochające to było stworzenie, wiem to, wiedziałam o tym dużo wcześniej, nim ją poznałeś. Uderzyłeś w najśłabsze jej struny, porwałeś je, umarła od zadanych przez ciebie jej kochaniu ran. Ciesz się pan swym dziełem, ciesz się wraz ze swymi współnikami.

– Czy mogę spytać panią, kogo to, z łaski swej, pani pod mianem współników rozumie? – wtrąciła rozwścieklona panna Murdstone.

Głucha na jej słowa panna Betsey ciągnęła dalej:

– Jasne to było jak dzień, na długo przedtem, zanim ją spotkałeś... (że też Nieba na podobne zezwoliły spotkanie!...), że nieboga wcześniej czy później da się uwieść słodkim słówkom, wyjdzie powtórnie za mąż. Ale żeby tak źle trafić miała, tego ja nawet nie przypuszczałam. Że wyjdzie prędzej czy później powtórnie za mąż, to wiedziałam od dnia urodzenia tego oto chłopca, nad którym znęcając się, dręcząc, zabiłeś ją niebogę, co właśnie czyni ci obecnie sam widok tego dziecka tak wstrętnym. Nie, nie masz co się pan tak wzdrygać. Wiem dobrze, co mówię.

Odkąd zaczęła mówić, stał we drzwiach, z lekceważącym

¹⁵⁹ wykrzyki – dziś: okrzyki a. wykrzykiwanie. [przypis edytorski]

zrazu uśmiechem, chociaż z groźnie zsuniętą brwią. Teraz zauważyłem, że przy ostatnich słowach zbladł; zdawało się, jak gdyby chciał uciec. Odetchnął głębiej.

– Żegnam pana – kończyła ciotka – żegnam! I panią także – dodała, zwracając się nagle do panny Murdstone. – Ostrzegam też, że jeśli raz jeszcze ujrzę cię na grzbiecie osła tratującego mą murawę, jak mnie tu widzisz, zerwę ci kapelusz z głowy i własnymi stratuję nogami.

Chciałbym, aby malarz, i to niepospolity, mógł widzieć moją ciotkę rzucającą te słowa najniespodziewaniej w twarz pannie Murdstone i tę ostatnią, przyjmującą cios niespodziewany. Głos towarzyszący słowom był taki, że panna Murdstone nawet nie zdobyła się na odpowiedź i wspierając się na ramieniu brata, wyszła wyniośle z domu. Ciotka z okna przyglądała się odchodzącym. Byłem pewny, że za lada wykroczeniem osłów gotowa jest w czyn wprowadzić dopiero co wyrzeczoną groźbę.

Pomału i w miarę ich oddalania się twarz jej pogodniała jednak i taki wreszcie rozświecił ją uśmiech, że chętnie bym ją uściskał, toteż idąc za pierwszym popędem serca zarzuciłem jej ramiona na szyję. Zwróciłem się potem do pana Dicka i zamieniałem z nim niezliczone uściski dłoni, którym wtórowały wybuchy głośnego jego śmiechu.

– Uważaj, proszę, siebie na przyszłość, łącznie ze mną, za opiekuna tego dziecka – rzekła do niego ciotka.

– Z miłą chęcią będę opiekunem syna Dawida – odrzekł.

– Wybornie! Wiesz co, myślę nazwać go Trotwood?

– Doskonale! Nazwiemy go Trotwood. Syn Dawida zostanie Trotwoodem.

– Trotwoodem Copperfield, jakeś się domyślił¹⁶⁰, kochany przyjacielu!

– Tak, o tak, zapewne, Trotwood Copperfield – powtarzał pan Dick.

Gotową, kupioną tegoż jeszcze wieczoru bieliznę ciotka własnoręcznie naznaczyła podwójnym tym imieniem, postanawiając, że je odtąd zawsze nosić będzie.

Tak tedy pod nowym mianem i w nowym otoczeniu nowe rozpocząłem życie. Teraz, gdy minęła niepewność co do dalszych mych losów, zdawało mi się, że wszystko dokoła mnie jest snem tylko. Nie zastanawiałem się nigdy nad tym, jak dziwną znalazłem parę opiekunów w osobie ciotki i pana Dicka. Myślałem o tym tylko, że Blunderstone cofa się w dal niezgłębioną, a na życie moje w handlu „Murdstone i Grinby” gęsta opuszcza się zasłona. Zasłona ta nie podniosła się odtąd ani razu. Niechętną dłonią, we wspomnieniach moich, uchylilem jej rąbka. Wspomnienia te, tak pełne dla mnie upokorzeń, cichych, pozbawionych wszelkiej nadziei żalów, że się przed nimi cofam mimo woli i nie chcę nawet liczyć dni trwania tych katuszy. Czy trwały rok, czy mniej, czy więcej? Nie wiem, wiem tylko, że istniały i minęły, zapisuję je tu i żegnam na zawsze.

¹⁶⁰ *jakeś się domyślił* – inaczej: jak się domyśliłeś; przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika. [przypis edytorski]

Rozdział XV. Nowy początek

Pan Dick i ja zostaliśmy w krótkim czasie najlepszymi przyjaciółmi i często, gdy skończył swą codzienną pracę nad memoriałem, puszczailiśmy razem wielkiego latawca. Codzienna ta pilna praca nie posuwała się jednakże naprzód. Wcześniej czy później zjawiał się zawsze Karol I, plątał wątek myśli i zmuszał autora do rozpoczynania od początku. Silne wrażenie wywierała na mnie cierpliwość, z jaką znosił ustawiczne te przeciwności, zdając sobie sprawę z tego, że ów Karol I bruździ, słabe czyniąc starania otrząśnięcia się z tego, w przekonaniu zresztą, że się go nigdy nie pozbędzie. Co zaś sobie rokował¹⁶¹ na przypadek skończenia swego memoriału, do czego miał mu służyć – tego sam pono¹⁶² nie wiedział. Nie potrzebował zresztą zaprzętać sobie tym głowy, gdyż najpewniejszą było pod słońcem rzeczą, że ów memoriał nigdy skończony nie będzie.

Dziwne też czynił wrażenie, gdy puszczał latawce. To, co mi mówił w swym pokoju o najlepszym sposobie rozpowszechniania myśli, budując latawce ze stronic niedokończonego memoriału, musiało być istotnym jego przekonaniem, z nieskończoną bowiem pogodą spoglądał na swe dzieło puszczone w górę, z rozkoszą lubując się, że mu ciągnie i szarpie ramię. Gdym siadywał wówczas obok niego na zielonym wzgórzu, zdawało

¹⁶¹ *rokować* (daw.) – przewidywać, zapowiadać. [przypis edytorski]

¹⁶² *pono* – podobno. [przypis edytorski]

mi się, że się mu rozjaśniają wraz ze wzrokiem i latawcem aż w niebiosy wzbite myśli. W miarę jak latawiec opadał i coraz niżej, niżej spuszczał się w słonecznych blaskach, pan Dick również zdawał się budzić ze snu, smutniał. Podnosił zakurzonego latawca ze wzrokiem tak błędnym, jak gdyby z latawcem sam spadł był na ziemię. Budził wówczas prawdziwą litość.

Robiąc postępy w przyjaźni z panem Dickiem, nie traciłem też łask mej ciotki. Dobra była dla mnie i w przeciągu kilku tygodni spieściła nadaną mi nazwę Trotwood na Trot, pozwalając cieszyć się nadzieją, że może, z czasem, posiadę w jej sercu i względach miejsce przeznaczone ongi siostrze mojej nieurodzonej – Betsey Trotwood.

– Trot – rzekła pewnego wieczoru, rozpoczynając zwykłą partię tryktraka¹⁶³ z panem Dickiem – nie powinniśmy zapominać o twym wychowaniu.

Był to właśnie jedyny przedmiot mych niepokojów. Uszczęśliwiony więc byłem, że poruszyła tę kwestię.

– Czy chciałbyś pójść do szkół w Canterbury¹⁶⁴? – spytała.

¹⁶³ tryktrak (ang. *backgammon*) – gra planszowa dla dwóch osób, każda z nich stara się przeprowadzić swoich 15 pionków do domu, dbając o to, żeby nie pozostawiać ich samotnie na polu, co umożliwia przeciwnikowi zabicie pionka. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ *Canterbury* – jedno z najważniejszych miast hrabstwa Kent w Anglii. Słynie z monumentalnej, późnogotyckiej katedry w stylu perpendykularnym (a. strzelistym), charakterystycznym dla ang. architektury od końca XIV do pocz. XVI w., którego cechami są: wertykalizm, podkreślenie liniowania (gł. pionowego), sklepienia sieciowe a. wachlarzowe oraz zastosowanie łuku ostrego obniżonego, czyli tzw. łuku Tudorów. Początki osady sięgają epoki brązu i neolitu, nazwa zaś stanowi pamiątkę ludu

Odpowiedziałem, że bardzo, zwłaszcza że było to w pobliżu miejsc przez nią zamieszkałych.

– Dobrze – odrzekła. – Czy chcesz pójść od jutra?

Znałem szybkość postanowień ciotki i ta nagłość nie zdziwiła mnie bynajmniej¹⁶⁵.

– Z przyjemnością – odrzekłem.

– Dobrze – zdecydowała. – Janet, najmiesz wózek z siwym koniem na godzinę dziesiątą jutro rano, a dziś wieczorem jeszcze spakujesz rzeczy panicza.

Uszczęśliwiony byłem, miałem jednak wyrzuty sumienia, dostrzegłszy wrażenie, jakie przygotowania te wywarły na panu Dicku. Posmutniał jakby i stał się tak roztargniony w grze, że ciotka złożyła karty, odkładając partię na później. Dopiero gdy się dowiedział, że będę przyjeżdżał na niedzielę, on zaś z ciotką odwiedzać mnie będzie we środy, ożywił się nieco i oświadczył, że zrobi nowego, większego latawca. Nazajutrz z rana był znów przybity i chciał ulżyć żalowi, oddając mi wszystkie, jakie posiadał w woreczku, złote i srebrne monety. Po wdaniu się ciotki datek musiał się ograniczyć do pięciu szylingów i dopiero na usilne prośby wzrósł do dziesięciu. U bramy ogrodu pożegnaliśmy się jak najczulej. Pan Dick stał, patrząc na nas, dopóki mógł nas dojrzeć.

celtyckiego Kantów zamieszkującego sąsiednie tereny, a tu posiadającego warownię. Canterbury jest siedzibą głównego arcybiskupstwa w kraju: arcybiskup Canterbury jest prymasem Anglii, głową Kościoła Anglii i całej wspólnoty anglikańskiej. [przypis edytorski]

¹⁶⁵ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

Ciotka, gardząc najzupełniej tym, co o niej powiedzą lub pomyślą, powoziła sama, siedząc wyprostowana, mając w ręku lejce i bacząc, by koń na krok nie zboczył z wytkniętej przez nią drogi. Dopiero za miastem dała mu nieco swobody i spoglądając na mnie, siedzącego obok niej niziutko, na poduszkach, spytała, czy się czuję zadowolony.

– Nadzwyczajnie – odrzekłem – i bardzo wdzięczny¹⁶⁶ cioci.

Zadowolona widać była z tego, gdyż, mając obie ręce zajęte, pogłaskała mnie po głowie biczem.

– Czy duża to i liczna szkoła? – pytałem ośmielony.

– Ha! Nie wiem. Udamy się najpierw do pana Wickfielda.

– Czy to on prowadzi szkołę?

– Wcale nie, jest mecenasem.

Nie pytałem więcej i rozmowa przeszła na inny przedmiot aż do wjazdu do Canterbury. Dzień był targowy i ciotka musiała wymijać nieskończoną ilość wozów, wózków, koszów z jarzynami, straganów, przekupniów różnego rodzaju. Zewsząd wołano na nas i krzyczano niezbyt uprzejmie, to wcale jednak nie działało na ciotkę. Torowała sobie drogę śmiało, niby przez zawojowaną krainę.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed bardzo starym domem wystającym na ulicę, z niskimi, choć szerokimi i okratowanymi oknami, z belkami u stropu rzeźbionymi i sterczącymi na zewnątrz tak, jak gdyby dom cały wychylał się naprzód, aby

¹⁶⁶ *bardzo wdzięczny* – forma skrócona; inaczej: bardzo jestem wdzięczny. [przypis edytorski]

lepiej móc oglądać całą wąską ulicę wzdłuż. Dom ten, choć stary, był nadzwyczaj czysty. Staroświecka kołatka u sklepionej bramy, ozdobna w rzeźbione równianki kwiatów i owoców, połyskiwała na kształt gwiazdy; kamienne stopnie odznaczały się niepokalaną bielą, a wszystkie gzymsy, rzeźby, szkła w oknach, choć wiekowe, lśniły śnieżną białością.

Gdy się wózek zatrzymał przed domem, dojrzałem w oknie, po jednej stronie domu, trupioblada twarz, która znikła natychmiast i po chwili ukazała się pod sklepieniem, w otwartej bramie. Twarz ta, jak już mówiłem, trupioblada, widziana z bliska posiadała odcień różowawy, zwykły rudowłosym ludziom, należała też do rudowłosego piętnastoletniego, jakem się potem dowiedział¹⁶⁷, gdyż wyglądał on o wiele starzej, chłopaka. Włosy na głowie miał zupełnie obcięte, nad oczyma zaledwie dostrzec można było ślad brwi, co zaś do rzęs, tych, zdaje mi się, wcale nie dostrzegłem u brzegu powiek nad brunatnymi oczyma, tak szeroko otwartymi i niczym nieprzysłoniętymi, żem wątpił niemal, czy i sen skleić je zdoła. Barczysty i kościsty, odziany był przyzwoicie, w czarny, szczelnie pod szyję zapięty surdut z białą kokardą. Zauważyłem długie, chude, kościste ręce, którymi, stojąc na progu, gładził szyję konia, spoglądając przy tym na nas.

– Uriah Heep! – zawołała ciotka. – Czy pan Wickfield w domu?

¹⁶⁷ *jakem się (...) dowiedział* – inaczej: jak się dowiedziałem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

– W domu, proszę panią¹⁶⁸ – odrzekł, wskazując długą ręką wniście.

Wysiedliśmy i, zostawiając mu kuca, weszliśmy do komnaty, przez której okno ujrzałem go dmuchającego w nozdrza konia i natychmiast przykładającego do nich swe dłonie, jak gdyby spełniał jakieś zaklęcie. Naprzeciw wysokiego kominka wisiały dwa portrety: mężczyzny z siwymi włosami (choćby bynajmniej¹⁶⁹ niestarego jeszcze) i z czarną brwią, spoglądającego na trzymane w ręku papiery przewiązane czerwoną wstążką, i kobiety o bardzo spokojnym i łagodnym wyrazie twarzy.

Oglądałem się, czy nie ujrzę gdzie czasem podobizny Uriaha, wtem otwarty się drzwi w głębi pokoju i ukazał się w nich mężczyzna tak podobny do wiszącego na ścianie portretu, że mimo woli obejrzał, czy to nie portret wyszedł czasem z ram swoich. Dopiero gdy się zbliżył, zauważyłem, że starszym jest o lat kilka od malowidła.

– Panno Betsey Trotwood – rzekł uprzejmie – proszę, proszę dalej. Zajęty byłem przed chwilą! Niech mi pani to wybaczy, wszak znany pani cel mój.

Ciotka powitała go i weszliśmy do następnego pokoju, gabinetu raczej, napełnionego księgami, papierami, szafami,

¹⁶⁸ *proszę panią* – zwrot towarzyszący zaproszeniu do wnętrza domu; zwrot czysto grzecznościowy wymusza użycie rzeczownika w D., nie zaś w B. i brzmiałby: „proszę pani”. [przypis edytorski]

¹⁶⁹ *bynajmniej* – wcale (dosł.: jak najmniej). [przypis edytorski]

z oknem na ogród, z żelazną szafą stojącą tak blisko kominka, żem się dziwił, któredy kominiarze przystęp do niego znajdują.

– Jakież tu panią sprowadzają interesy? – spytał pan Wickfield, gdy domyśliłem się, że on to był prawnikiem i rządcą obszernych dóbr bogatego w okolicy pana. – Czy aby pomyślnie?

– Nie po prawną przybywam tym razem poradę – odrzekła ciotka.

– Tym lepiej, pani, tym lepiej.

Włosy miał już zupełnie białe, brwi pozostały czarne. Twarz miał przyjemną i musiał być piękny kiedyś. Posiadał tę siną karnację, którą pod wrażeniem pana Peggotty, wraz z otyłością i brzmieniem głosu, przywykłem przypisywać użyciu spirytusowych trunków. Ubrany był starannie, w granatowy surdut, kamizelkę w prążki i nankinowe spodnie, miał kołnierz i gors od koszuli tak cienki, biały i miękki jak puch łabędzi.

– Oto mój wnuk, po bratanku – rzekła ciotka.

– Nie wiedziałem, że pani masz wnuka – zauważył.

– Adoptowałam go – odrzekła z obojętnym skinieniem dłoni, jakby obojętne jej było, co mu jest znane, a co nieznanne – i oto przywiozłam go tu, chcąc umieścić w szkole, gdzie by się mógł dobrze uczyć i dobrze być traktowany. Niechże mi pan powie, gdzie się mam udać.

– Zanim udzielę pani stosownej rady – rzekł prawnik – pozwolę sobie postawić pytanie. O! Zwykłe moje pytanie: jakie pobudki skłoniły panią do tego?

– Macie go! – zawołała ciotka. – Znów pobudki! Jak gdyby

nie były one widoczne jak na dłoni. Idzie mi o dobro dziecka.

– Jest to zapewne pobudka złożonej natury – potrząsnął głową z niedowierzającym uśmiechem.

– Złożonej! Pleciesz pan banialuki! – odparła żywo ciotka. – Sądziś, że tylko sam jeden posiadasz jakiś cel zupełny, jedyny, jak gdybyś pan był tylko jednym uczciwym na całym świecie człowiekiem.

– Aj – zauważył z uśmiechem – ja bo istotnie mam jeden tylko cel w życiu, inni mają ich po kilka, kilkanaście, nieraz po tysiąc najrozmaitszych. A ja mam jeden, jedyny, w tym rzecz. Nie wchodzi to jednak w tę sprawę. Najlepsza szkoła? Mniejsza o pobudki, żądasz pani najlepszej, co?

Ciotka skłoniła twierdząco głowę.

– W najlepszej, jaką posiadamy – rzekł rozważnie prawnik – wnuk pani mieszkania nie znajdzie.

– Trzeba przecie, aby gdziekolwiek mieszkał – wtrąciła ciotka.

Prawniki zgodził się z tym, a po długich naradach ofiarował się towarzyszyć jej do szkoły i do paru domów, gdzie można byłoby mnie umieścić. Ciotka przyjęła propozycję i mieliśmy już właśnie wychodzić, gdy nagle zatrzymał się, mówiąc:

– Mały nasz przyjaciel mógłby nam przeszkadzać. Czy nie byłoby więc lepiej zostawić go tutaj?

Już ciotka miała się temu oprzeć, gdy dla ułatwienia rzeczy oświadczyłem, że z miłą chęcią zostanę. Zostałem i, wróciwszy do gabinetu prawnika, usiadłem na zajmowanym przedtem

krzeselku, czekając cierpliwie ich powrotu.

Krzesło to stało jak raz naprzeciw wąskiego przejścia zakończonego w pół okrągłą komnatą i zobaczyłem wyglądającą z niej przez okno twarz Uriaha. Teraz, odwiódłszy kuca do stajni, siedział naprzeciw mnie za stołem, na którym piętrzyły się papiery. Przepisywał coś właśnie, a chociaż twarzą zwrócony był do mnie, sądziłem, że jest zajęty pisaniem i nie zważa na mnie wcale, dopiero po jakimś czasie dostrzegłem jego zaczerwienione, do słońc zarumienionych podobne oczy podnoszące się na mnie co chwila znad papierów. Próżno starałem się uchylić, przestawiałem krzesło i wpatrywałem się w wiszącą na ścianie mapę, przeglądałem dzienniki, spojrzenie oczu tych pociągało mnie i odwracając się, dostrzegłem je wlepione we mnie, podnoszące się na mnie lub dopiero co odwracające się ode mnie.

Nareszcie i po długiej nieobecności ciotka moja i prawnik wrócili, niezupełnie zadowoleni z wycieczki. Szkole wprawdzie ciotka nic nie miała do zarzucenia, lecz żaden ze zwiedzonych dla umieszczenia mnie domów nie zadowolili jej wymagań.

– Prawdziwa bieda, Trot – mówiła. – Sama nie wiem doprawdy, co począć.

– Bieda – wtrącił pan Wickfield – ale mam na to radę.

– Jaką? – spytała.

– Pozostawić go tymczasem u mnie. Spokojne to dziecko nie będzie mi przeszkadzało, a dom mój odpowiedni jest dla nauki, cichy, spokojny i niemal tak obszerny jak klasztor. Zostaw go tu

pani.

Projekt ten podobał się widocznie ciotce, wahała się jednak przez delikatność zapewne.

– Zgódź się pani – nalegał prawnik – nie ma innego jak na teraz wyjścia, zresztą umowa czasowa i jeśli nam wzajemnie okaże się niedogodna, znajdziemy coś stosowniejszego, na teraz najlepiej byłoby pozostawić go tutaj.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.